

JULIUSZ VERNE

W osiemdziesiąt dni dookoła świata

Przełożył - Zbigniew Florczak

Słowniczek terminów morskich

Awanport (przedporcie) - przylegająca do portu część redy (patrz: reda), sztucznie zakryta przed działaniem fal i wiatru.

Bejdewind - kurs okrętu według wiatru, przy którym wiatr uderza w żagiel z przodu i z ukosa.

Boja Albo pława - pływający, zakotwiczony znak nawigacyjny, przeważnie w kształcie beczki, służy do oznakowania torów wodnych.

Bukszpryt - maszt pochyły na dziobie żaglowca.

Burta - ściana boczna, bok statku.

Cuma - lina roślinna lub stalowa, służąca do zacumowania statków.

Dryf - znoszenie statku z kursu na skutek wiatru lub prądu; stawać w dryf, lec w dryf - ustawić statek dziobem do wiatru i fali, by przetrwać sztorm.

Fał (podnośnica) - lina, za pomocą której pociąga się żagiel lub drewno, do którego żagiel jest przymocowany.

Fokmaszt - pierwszy maszt, licząc od przodu statku.

Fordewind - wiatr pełny, wiatr z tyłu (od rufy).

Grotżagiel - główny żagiel na grotmaszcie, tj. na drugim maszcie od przodu.

Kardan - zestaw pierścieni metalowych, ustawionych koncentrycznie, w których zawieszony jest kompas, lampa itp. dla zniwelowania przechyłów statku.

Kil (stęпка) - belka ciągnąca się przez całą długość spodu statku.

Log - przyrząd, który wskazuje szybkość statku.

Luk - zamykany pokrywą otwór w pokładzie statku, służący do ładowania i wyładowywania towarów.

Marsel - żagiel prostokątny rozpięty na drugiej lub trzeciej od dołu rei na maszcie.

Maszt gaflowy - maszt o żaglowaniu skośnym.

Messa - jadalnia i salon dla oficerów na statku.

Nadburcie - część burty wystająca ponad pokład.

Reda - obszar morski przed portem, gdzie statki stoją na kotwicy.

Reja - poziome drzewce u masztu, utrzymujące żagiel.

Rudel - ster.

Rufa - tylna część statku.

Rufówka - nadbudówka na rufie.

Rumpel - drzewce steru, drążek sterowy.

Stewa - sztaba lub zagięta ku górze łukowata sztuka drzewa, stanowiąca przedłużenie kilu (patrz: kil).

Szkwał - poryw wichru uderzający nagle z wielką siłą.

Sztafok - trójkątny żagiel rozpięty między bukszprytem A fokmasztem.

Sztorm - bardzo silny, długotrwały wiatr, wiejący z szybkością 17-25 m8sek.

Szyper - dowódca mniejszego statku, np. holownika, statku rybackiego itp.

Światła pozycyjne - światła oznaczające burtę lewą (światło czerwone) i prawą (światło zielone).

Topsel (skośnik górny) - trójkątny żagiel przymasztowy.

Topstenga (nastawa masztu) - najwyższa część masztu składającego się z kilku części.

Trap - schody lub pomost łączący statek z przystanią.

Wanty - stalowe liny podtrzymujące maszt od strony obu burt.

Węzeł - miara szybkości statku, równa 1 mili morskiej na godzinę.

Rozdział pierwszy

w którym pan Fileas Fogg i jego nowy służący są z siebie wzajem bardzo zadowoleni

W 1872 roku dom pod numerem siódmym przy Saville Row w Burlington Gardens w Londynie, dom, gdzie w 1816 roku zmarł Sheridan, [komediopisarz i polityk Angielski.] zamieszkiwał Fileas Fogg "esquire". Dżentelmen ten, Aczkolwiek zdawał się robić wszystko, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi, uchodził za jednego z najznamienitszych i najbardziej osobliwych członków londyńskiego klubu "Reforma".

Tak tedy dawną siedzibę wielkiego mówcy, którym szczyciła się ongi cała Anglia, zajmował pan Fogg, osobistość w gruncie rzeczy zagadkowa. Tyle tylko wiadano, że jest mężczyzną urodziwym i wytwornym, jak najgodniej reprezentującym wyborowe towarzystwo Angielskie.

Mówiono, że przypomina Byrona, rzecz prosta, z twarzy, bo zgrabnym jego nogom ubliżałoby porównanie z kulawą nogą poety. A więc wyobraźcie sobie Byrona, Ale takiego, który nosi wąsy i faworyty, odznacza się imponującą równowagą ducha i może być wielki bez uszczerbku dla swej młodości.

Anglik w każdym calu, nie był jednak typowym londyńczykiem. Nie widywano go nigdy Ani na giełdzie, Ani w banku, Ani w żadnym z kantorów City. Baseny i doki londyńskiego portu Ani razu nie gościły statku, którego Armatorem byłby Fileas Fogg. Ani jedna rada nadzorcza nie zaliczała Fogg'a do swoich członków i nikt nie wymieniał jego nazwiska w Izbie Adwokackiej, w Temple, w Lincoln's-Inn Albo Gray's-Inn, Archiwiszczy Izby Skarbowej, jak i Najwyższego Trybunału Królowej, Sądu Kanclerskiego i Biskupiego nie pamiętali, Aby w ich księgach zanotowano kiedykolwiek wniesienie skargi przez dżentelmena nazwiskiem Fileas Fogg. Nie był przemysłowcem, kupcem, pośrednikiem czy rolnikiem, nie figurował na liście członków Królewskiego Instytutu Wielkiej Brytanii, nie należał Ani do Instytutu Londyńskiego, Ani do Związku Rzemieślników, Ani do Towarzystwa Russel, Ani do Zachodniego Instytutu Literackiego, Ani do Instytutu Prawa, Ani do Instytutu Zjednoczonych Sztuk i Nauk, pozostającego pod najwyższym patronatem Jej Królewskiej Mości. Nie miał też nic wspólnego z Towarzystwem Armonica czy z Towarzystwem Entomologicznym, słowem, wystrzegał się tego rodzaju zrzeszeń, które w Angielskiej stolicy rosną jak grzyby po deszczu. Fileas Fogg był członkiem klubu "Reforma" - oto i wszystko.

Można by się dziwić, że człowiek tak mało znany ma zaszczyt należeć do tak szacownego stowarzyszenia, A jednak sprawa była prosta: pan Fogg został przyjęty do klubu z polecenia braci Baring, finansistów, u których miał otwarty kredyt. Stanowiło to Absolutną rękojmię jego solidności, tym bardziej że czeki Fogga były wszędzie przyjmowane bez wahania, gdyż miały zapewnione pokrycie z sum znajdujących się na jego rachunku bieżącym.

Czy Fileas Fogg był człowiekiem bogatym? Bez wątplenia tak. Ale nawet najlepiej poinformowani nie wiedzieli, w jaki sposób doszedł do majątku, A on sam, jedyny, który mógłby zaspokoić ogólną pod tym względem ciekawość, nie kwapił się do zwierzeń. Nie był rozrzutny, Ale nie był też i skąpy. Gdy chodziło o sprawę szlachetną, pożyteczną czy cel dobroczynny, nie omieszkiał ich wesprzeć w sposób dyskretny.

Rzadko można było spotkać kogoś równie zamkniętego w sobie. Mówił mało i lakonicznie, co jeszcze podkreślało jego tajemniczość. Właściwie prowadził najzupełniej jawny tryb życia, Ale ponieważ co dzień z matematyczną dokładnością czynił to samo, wyobraźnia ciekawych nie znajdowała zaspokojenia i skłonna była doszukiwać się rzeczy, które nie istniały.

Czy pan Fogg podróżował? Było to rzeczą bardzo prawdopodobną, bo nikt, tak jak on, nie znał się na mapie. Zdawało się, że najdalsze zakątki świata są mu znane niczym własna kieszeń. Niejednokrotnie, gdy w klubie spierano się o los zaginionych czy zabłąkanych podróżników, Fogg zabierał głos i wypowiadał w tej materii swoją opinię w krótkich i zwięzłych słowach. Podsuwał wówczas iście prorocze wyjaśnienia, zawsze potwierdzone przez rozwój wypadków. Wyglądało na to, że Fileas Fogg przemierzył całą ziemię, przynajmniej w wyobraźni.

Jedno nie ulegało wątpliwości: od wielu lat nie opuszczał Londynu. Zobaczyć go było można jedynie na trasie, którą codziennie przebywał, to znaczy między domem A klubem; zupełnie nie pamiętano, żeby kiedykolwiek ukazał się w jakimś innym miejscu, przynajmniej tak twierdziły osoby, które miały zaszczyt znać go nieco bliżej. Co dzień czytywał dzienniki i grał w wista; zdaje się, że tylko te dwie czynności uważał za właściwy sposób spędzania czasu. Szczególnie odpowiadała jego naturze gra w karty, można było bowiem przy niej milczeć. Wygrywał na ogół dużo, Ale wygrane kwoty nigdy nie pozostawały w jego kieszeni, natychmiast wciągał je do swojego budżetu na cele dobroczynne. Oczywiście, że Fileas Fogg grywał tylko dla przyjemności, gra była dla niego walką, zmaganiem się z trudnościami, A co najważniejsze, była tym rodzajem walki, który

nie wymagał ruchu i zmiany miejsca, oszczędzał wszelkiej fadygi, a to właśnie dogadzało jego usposobieniu.

Nie słyszano, żeby ten człowiek miał kiedykolwiek żonę czy dzieci, co się nawet najprzyszoitszym osobnikom przytrafia, nie słyszano również, żeby miał krewnych czy przyjaciół, co zresztą zdarza się doprawdy jeszcze rzadziej. Fileas Fogg żył samotnie w domu swoim przy Saville Row, w domu, którego progów nie przekraczał żaden gość. Toteż o jego życiu prywatnym nigdy nie było mowy. Pan Fogg zadowalał się jednym służącym. Śniadania i obiady jadał w klubie w godzinach określonych z dokładnością chronometru, zawsze w tej samej sali, przy tym samym stole; z nikim wówczas nie rozmawiał i nigdy nie szukał towarzystwa. Punkt o dwunastej w nocy udawał się do domu na spoczynek, pod żadnym pozorem nie dając się nakłonić do skorzystania z luksusowych sypialni klubowych. Dziesięć godzin na dobę spędzał u siebie, poświęcając ten czas na sen i toaletę. Czasem, krokiem ściśle odmierzonym, przechadzał się po mozaikowej posadzce westybulu albo półkolistej galerii, nad którą wznosiła się szklana kopuła o niebieskich szybkach, wsparta na dwudziestu jońskich kolumnach z czerwonego porfiru. Jeżeli jadł śniadanie lub obiad, miał do swego rozporządzenia kuchnię, spiżarnię, mleczarnię i piwnicę klubu "Reforma", skąd szły na jego stół najsmakowitsze potrawy. Czarno odziani lokaje klubowi, bezszelestnie stąpający na miękkich podszewkach, z niezmiernie uroczystą miną usługiwali mu przy posiłkach podawanych na specjalnej porcelanie i na obrusie z najcieńszego płótna. W specjalnie dla klubu rżnięte kryształowe nalewano likier, porto lub lekkie wino, zaprawione korzeniami. Nawet lód, który trunki przygotowane dla pana Fogg'a utrzymywał w pożądanej temperaturze, sprowadzał klub, nie licząc się z kosztami, aż z odległych jezior Amerykańskich.

Jeżeli taki tryb życia uznamy za dziwactwo, to przynajmniej, że dziwactwa mają jednak swoje przyjemne strony!

Dom przy Saville Row nie odznaczał się zbytkiem, ale urządzony był z najwyższą dbałością o wygodę mieszkańców. Przy panu, którego cechował tak regularny tryb życia, służący niewiele miał do roboty. Wymagano od niego tylko dwóch rzeczy: punktualności i systematyczności bez zarzutu. Właśnie dziś, dnia 2 października, pan Fogg odprawił swego dotychczasowego sługę Jakuba Forstera za to, że woda, którą ten podał do golenia, miała 84) ciepła według Fahrenheita, a nie 86), jak to było przykazane. Następca niefortunnego lokaja miał się stawić między jedenastą a pół do dwunastej.

Pan Fileas Fogg, wyprostowany i sztywny, siedział w głębokim fotelu. Nogi zestawiał jak żołnierz na paradzie, ręce oparł na kolanach. Oczywiście śledził wskazówki zegara -

mechanizmu, nawiasem mówiąc, wielce skomplikowanego, który pokazywał nie tylko godziny, minuty i sekundy, Ale także dni, tygodnie i miesiące oraz lata. Z wybiciem jedenastej trzydzięści Fileas Fogg miał zamiar wstać i udać się według zwyczaju do klubu.

W tej chwili zapukano do drzwi małego salonu, gdzie znajdował się pan Fogg. Ukazał się zwolniony ze służby Jakub.

- Nowy służący - oznajmił.

Przybyły, mężczyzna lat około trzydziestu złożył pełen szacunku ukłon. Pan Fogg powitał go pytaniem:

- Jesteście Francuzem i nazywacie się John?

- Jan, za pozwoleniem jaśnie pana. Jan Obieżyświat, które to przezwisko przyłgnęło do mnie od dawna i ma niejako świadczyć, że daję sobie radę w różnych sytuacjach. Jestem uczciwym człowiekiem, Ale po prawdzie to już z niejednego pieca chleb się jadło. Próbowałem różnych fachów, byłem wędrownym śpiewakiem, potem ujeżdżałem konie w cyrku i robiłem wołtyżerkę nie gorzej od Leotarda, następnie występowałem jako linoskok, któremu sam Blondin mógłby pozazdrościć zręczności, po czym zacząłem pracować jako nauczyciel gimnastyki, A na koniec, Aby moje talenty stały się bardziej użyteczne, zaciągnąłem się w Paryżu do straży pożarnej. Dosłużyłem się stopnia sierżanta i, daję słowo uczciwości, mam na swoim koncie kilka wcale ładnych pożarów! Lecz oto już piąty rok mija, jak opuściłem Francję i, spragniony życia domowego, zostałem w Anglii lokajem. Słyszałem, że jaśnie pan jest najbardziej Akuratnym człowiekiem w całym Zjednoczonym Królestwie, A także domatorem, który nie ma sobie równego. A ponieważ jestem ostatnio bez zajęcia, nie zwlekając przybiegłem ofiarować swoje służby. Święcie wierzę, że znajdę w tym domu niczym nie zmacony spokój, który pozwoli mi zapomnieć z czasem nawet o moim nieszczęsnym nazwisku.

- "Obieżyświat" całkiem mi odpowiada - odparł dżentelmen. - Polecono mi was, wyrażając się nader pochlebnie o waszej osobie. Czy znacie moje wymagania?

- Tak, jaśnie panie.

- Dobrze, która jest u was godzina?

- Jedenasta dwadzieścia dwie - odpowiedział Obieżyświat wyciągnąwszy z czeluści kieszeni pokaźnych rozmiarów srebrny zegarek.

- Wasz zegarek się spóźnia.

- Proszę mi wybaczyć, jaśnie panie, to wykluczone!

- Spóźnia się o cztery minuty. Mniejsza o to. Wystarczy, jeżeli zapamiętacie różnicę. A więc, począwszy od tej chwili, to jest od godziny jedenastej minut dwadzieścia dziewięć rano, środa, 2 października 1872 roku, jesteście u mnie na służbie.

Powiedziawszy to Fileas Fogg wstał, wziął kapelusz lewą ręką, umieścił go na głowie ruchem Automatu i oddalił się nie dorzucając Ani słowa więcej.

Obieżyświat usłyszał, jak zamykają się drzwi frontowe - to jego nowy pan wychodził na miasto. Po chwili znów dobiegł go odgłos zamykanych drzwi. "Mój poprzednik, Jakub Forster - pomyślał sobie - opuszcza służbę".

Obieżyświat został sam.

Rozdział drugi

w którym Obieżyświat nabiera pewności, że nareszcie ziściły się jego marzenia

“Na honor - myślał Obieżyświat nieco zbity z tropu - u pani Tussaud [salon figur woskowych] widziałem jegomościów mających w sobie Akurat tyle życia, co mój nowy pan”.

Wypada w tym miejscu wyjaśnić, że “jegomościowie” pani Tussaud - to cieszące się w Londynie wielkim powodzeniem lalki z wosku, którym nic, prócz mowy, nie brakuje.

W czasie krótkiej rozmowy z panem Foggiem, Obieżyświat zdołał pośpiesznie, lecz dokładnie przyjrzeć się swemu przyszłemu chlebodawcy. Stwierdził, że jest to mężczyzna lat około czterdziestu, o twarzy szlachetnej i pięknej, o wysokiej postaci, której nie szpeciła lekko już zaznaczająca się tusza, blondyn o jasnych faworytach, z czołem gładkim i szerokim, o bladej cerze i wspaniałych zębach. Zdawał się w najwyższej mierze posiadać to, co fizjonomiści nazywają “aktywnym spokojem”, właściwość cechującą ludzi czynnych, którzy mało mówią. Spokojny, flegmatyczny, o jasnym, badawczym spojrzeniu, był typowym Anglikiem o zimnej krwi, jakiego spotykamy dość często na ziemiach Zjednoczonego Królestwa. Pędzel Angeliki Kauffmann [malarka szwajcarska] potrafił znakomicie oddać nieco sztywną postawę.

Obserwując Fileasa Fogga w najważniejszych momentach jego życia, dochodziło się do wniosku, że jest to istota pod każdym względem cudownie zrównowazona, tak niechybnie funkcjonująca i doskonała jak chronometr Leroya czy Earnshawa.

I rzeczywiście, pan Fogg był uosobieniem ścisłości, co zresztą każdy mógł poznać po “wyrazie jego stóp i rąk”, bo u człowieka, tak samo jak u zwierząt, członki ciała mówią o stanie jego uczuć.

Fileas Fogg należał do rzędu ludzi matematycznie dokładnych, którzy, nigdy się nie spiesząc, zawsze są gotowi na czas, A to dlatego, że potrafią stosować doskonałą ekonomię ruchów. Nie zdarzyło się, Aby pan Fogg postawił choć jeden krok zbędny - zawsze obierał drogę najkrótszą. Nigdy nie błędził wzrokiem po suficie i nie pozwalał sobie na zbyteczne gesty. Nigdy też nie widziano pana Fogga w stanie wzruszenia czy niepokoju. Wszędzie zjawiał się o właściwej porze, choć nie było skądinąd człowieka mniej skłonnego do pośpiechu niż on. To wyjaśniało, dlaczego żył samotnie i, Aby tak rzec, poza nawiasem społeczeństwa; rozumiał dobrze, że w życiu istnieje zjawisko tarcia, A ponieważ tarcie opóźnia ruch, więc nie ocierał się o nikogo.

Co do Jana, zwanego Obieżyświatem, to był on nieodrodnym synem Paryża; od pięciu lat, to jest odkąd przybył do Anglii i służył w domach londyńskich, bezskutecznie rozglądał się za panem godnym jego przywiązania.

Obieżyświat w niczym nie przypominał obwiesiów w rodzaju Frontinów czy Mascarillów, [popularne postacie lokajów z dawnych komedii francuskich.] tych wałkoniów o zadartych nosach, głowach wciśniętych w ramiona i bezczelnym oku. Nic podobnego! Obieżyświat był zacnym chłopcem; miał miłą fizjonomię, cokolwiek wydatne wargi, jakby złożone do smakowania wszelkich dobrych rzeczy, naturę łagodną i życzliwą oraz poczciwą, okrągłą głowę, jaką się zawsze z przyjemnością widzi u przyjaciela. Oto jego wizerunek: niebieskie oczy, rumiana cera, twarz do tego stopnia puciołowata, że mógł przy uśmiechu ujrzeć własne policzki, pierś szeroka i masywna postać, która kazała się domyślać niepośledniej krzepy, istotnie znakomicie rozwiniętej w czasach młodzieńczych przygód. Ciemna czupryna odznaczała się naturą wybitnie niesforną. Podczas gdy rzeźbiarze starożytni znali aż osiemnaście sposobów ułożenia włosów Minerwy, Obieżyświat najzupełniej zadowalał się jednym: trzy energiczne ruchy grzebieniem i fryzura gotowa.

Byłoby lekkomyślnością twierdzić, że żywe usposobienie Obieżyświata odpowiadało charakterowi Fileasa Fogg. Czy nowy służący zdoła zadowolić pedantyczne wymagania swego chlebobdawcy? Oto pytanie, na które dopiero przyszłość odpowie.

Jak już wiemy, Obieżyświat spędziwszy młode lata na włóczędze, wzdychał do życia bardziej ustatkowanego. A że wiele słyszał o przysłowiowej systematyczności i zimnym temperamentie synów Albionu, zapragnął wśród nich poszukać szczęścia. Ale jak dotąd los się do niego nie uśmiechnął - Obieżyświat nigdzie nie zagrzał miejsca. Zmienił już dziesięć domów, wszędzie spotykając się z dziwactwami, zmiennością humorów, żyłką do przygód lub włóczęgi, co mu obecnie tak bardzo nie odpowiadało. Jego ostatni pracodawca, młody lord Lonsferry, członek Parlamentu, hulał nocami w wesołych lokalach przy Hay-Market i wracał do domu o świcie, zwykle na barkach policjanta. Obieżyświat, pragnący nade wszystko zachować szacunek dla swego pana, nie mógł się powstrzymać od paru grzecznych uwag, Ale zostały one źle przyjęte i lokaj musiał opuścić służbę. W tym czasie dowiedział się, że wielmożny Fileas Fogg poszukuje służącego. Postarał się zasięgnąć języka o jego osobie. Zachwyciła go sposobność urządzenia się przy panu, który prowadził tak uregulowany żywot, który zawsze sypiał u siebie, nie podróżował nigdy, nawet na jeden dzień nie opuszczał domu. Obieżyświat zgłosił się nie zwlekając i został przyjęty w wiadomych już nam okolicznościach.

W ten sposób, po wybiciu godziny wpół do dwunastej, Obieżyświat znalazł się w domu przy Saville Row. Zabrał się skwapliwie do oględzin swojej nowej siedziby i wkrótce poznał ją od piwnic do strychu. Dom ten, czysty, surowy, wzorowo urządzony i utrzymany, podobał mu się bardzo. Przyrównał go w myśli do pięknej muszli ślimaka, Ale muszli dobrze ogrzanej i oświetlonej - gaz węglowy dostarczał tu potrzebnego ciepła i światła.

Bez trudu odszukał na drugim piętrze przeznaczony dla siebie pokój i obejrzał go z zadowoleniem. Elektryczne dzwonki i tuby Akustyczne pozwalały szybko komunikować się z Apartamentami na Antresoli i na pierwszym piętrze. Elektryczny zegar na kominku miał połączenie z zegarem w sypialni Fileasa Fogga: oba jednocześnie odmierzały każdą mijającą sekundę.

- W to mi graj! W to mi graj! - powtarzał Obieżyświat oglądając wszystko po kolei.

Nad kominkiem spostrzegł zawieszoną kartę z regulaminem codziennych zajęć. Regulamin zawierał, począwszy od godziny ósmej, kiedy pan Fogg wstawał, Aż do godziny jedenastej trzydzieści, gdy opuszczał dom udając się do klubu, szczegółowy wykaz posług; A więc: podanie herbaty i grzanek o ósmej dwadzieścia trzy, wody do golenia - o dziewiątej trzydzieści siedem, ułożenie fryzury - o dziewiątej pięćdziesiąt itd. Podobnie między pół do dwunastej A północą, godziną, o której systematyczny dżentelmen szedł na spoczynek, wszystko było w najmniejszych szczegółach przewidziane, wykazane i uporządkowane. Obieżyświat z wielką satysfakcją wczytywał się w ten plan i nie omieszkiał wyryć sobie w pamięci wszystkich kolejnych paragrafów.

Jeżeli chodzi o garderobę pana Fogga, była ona w imponującym stanie: cudownie zaopatrzona i przystosowana do wszelkich okazji. Spodnie, surduty i kamizelki miały numery porządkowe, spisane w osobnym rejestrze, który przejrzyście wykazywał datę wydania i zwrotu każdej sztuki. W ten sposób zawsze można było odczytać, w jakim dniu, stosownie do pory roku, dana część ubioru winna być noszona. Takiej samej reglamentacji podlegało obuwie.

Jednym słowem, dom, który w czasach znakomitego, Ale roztargnionego Sheridana najprawdopodobniej przedstawiał żaloszny widok, stał się za rządów Fileasa Fogga siedzibą idealnie wygodną i pod każdym względem dostatnią. Nie dostrzegłbyś jednak w tym domu żadnego księgozbioru, zresztą nie miałby on tutaj racji bytu, bo klub "Reforma" oddawał do dyspozycji pana Fogga Aż dwie biblioteki: jedną - poświęconą literaturze pięknej, i drugą - zagadnieniom prawa i polityki. W sypialni znajdowała się kasa ogniotrwała średniej wielkości, Ale dostatecznie solidna, żeby bezpiecznie chronić swą zawartość przed

ogniem i włamaniem. W całym domu nie było broni, przyborów myśliwskich czy wojennych. Wszystko tu świadczyło o upodobaniach najzupełniej pokojowych.

Obejrzawszy siedzibę jak najskrupulatniej, Obieżyświat zatarł ręce; jego szeroka twarz rozpromieniła się i powtórzył jeszcze raz:

- W to mi graj! Życ tu, nie umierać! Będziemy, widzę, pasowali do siebie z jaśnie panem jak ulał! Człowiek sympatyczny, zasiedziały! Istny Automat! Ano, będę służył Automatowi. Wcale mi to nie przeszkadza!

Rozdział trzeci

w którym nawiązuje się ryzykowna rozmowa, mogąca słono kosztować pana Fogga

Fileas Fogg opuścił swój dom przy Saville Row o jedenastej trzydzieści; potem, postawiwszy pięćset siedemdziesiąt sześć razy prawą nogę przed lewą oraz pięćset siedemdziesiąt pięć razy lewą przed prawą, dotarł do obszernej siedziby klubu "Reforma" na Pall-Mall; jej wzniesienie musiało kosztować przedsiębiorcę co najmniej trzy miliony funtów.

Bezzwłocznie udał się do jadalni, której dziewięć okien wychodziło na piękny ogród już wyłożony jesienią. Zajął swoje zwykłe miejsce przy stole, gdzie czekało już nakrycie. Śniadanie składało się z przystawek, gotowanej ryby w wybornym sosie "reading", porcji krwawego rostbefu, szpikowanego kawałeczkami rzewienia i Agrestem, i kawałka chesteru, [sera] do tego parę filiżanek znakomitej herbaty, specjalnie zbieranej dla smakoszów klubu "Reforma".

Czterdzieści siedem minut po dwunastej czcigodny dżentelmen wstał i skierował się do głównego salonu, ozdobionego pysznie oprawnymi obrazami. Tu odebrał z rąk lokaja nie przecięty numer "Timesa" i z namaszczeniem tudzież ogromną wprawą oddał się mozolnej czynności rozkładania jego stronic. Lektura tego pisma pochłaniała pana Fogga. Aż do trzeciej czterdzieści pięć, następnie przeglądanie "Standardu" trwało aż do obiadu. Posiłek ten odbywał się podobnie jak śniadanie, wszelako z dodatkiem nowego sosu, zwanego "royal British sauce".

O godzinie piątej czterdzieści pan Fogg wrócił do salonu i pogrążył się w czytaniu "Morning Chronicle".

W pół godziny potem do salonu weszło kilku innych członków klubu i zbliżyło się do kominka, gdzie trzeszczał wesoły ogień.

Wszyscy byli stałymi partnerami pana Fileasa, z równą jak on pasją oddającymi się grze w wista: inżynier Andrew Stuart, bankierzy John Sullivan i Samuel Fallentin, bogaty piwowar Thomas Flanagan oraz Gauthier Ralph, jeden z dyrektorów Banku Angielskiego. Byli to bogacze wyróżniający się nawet tutaj, gdzie widok najgrubszych ryb przemysłu i finansjery nikogo nie zadziwiał.

- No i cóż, Ralph? - pytał Thomas Flanagan. - Co tam słyhać nowego w tej Aferze z kradzieżą?

- Ano - odparł Stuart - Bank będzie się musiał pożegnać ze swoimi pieniędzmi.

- Przeciwnie - powiedział Ralph - sądzę, że złodzieja nakryjemy. Już wysłano do Europy i Ameryki najzdolniejszych detektywów. W tej chwili obsadzili ważniejsze porty pasażerskie i przeładunkowe, więc nie ma mowy, żeby się ptaszek wymknął.

- Ale czy macie chociaż rysopis złodzieja? - spytał Andrew Stuart?

- Przede wszystkim to nie jest złodziej - zaczął z powagą Ralph.

- Jak to? Nie jest złodziejem osobnik, który zwędził pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów w banknotach?

- Nie - krótko odpowiedział Ralph.

- Uważasz go tedy za przemysłowca? - rzekł Sullivan.

- "Morning Chronicle" zapewnia, że chodzi tu o dżentelmena.

Słowa te wyszły z ust pana Fileasa Fogga, który wytknął w tej chwili głowę zza stosu gazet, przesyłając równocześnie stosowny ukłon swoim partnerom; ci oddali mu go skwapliwie.

Zajście, o którym była mowa, dyskutowane w tym czasie gwałtownie przez wszystkie pisma Zjednoczonego Królestwa, miało miejsce przed trzema dniami, to jest 29 września. Oto paczka banknotów zawierająca olbrzymią sumę pięćdziesięciu pięciu tysięcy funtów zniknęła z pulpitu głównego kasjera Banku Angielskiego.

Jeżeli ktoś wyrażał głośno zdumienie, że kradzież tej miary mogła być tak łatwo dokonana, wicedyrektor Banku, pan Gauthier Ralph, odpowiadał krótko, że kasjer zajęty był w tym momencie wciąganiem do ksiąg wpłaty w wysokości trzech szylingów sześciu pensów, nie mógł więc pilnować wszystkiego naraz.

Ale trzeba przy tym zauważyć, bo to w pewnym stopniu tłumaczy fatalne wydarzenie, że przesławna owa instytucja "Bank of England" ma zwyczaj w niespotykany gdzie indziej sposób troszczyć się o wrażliwość swoich klientów. Nie ma tu dozorców Ani woźnych, nigdzie nie dostrzeżesz jakiegoś okratowania. Złoto, srebro i banknoty leżą beztrąsko na wierzchu, zdane na łaskę byle przechodnia. Dyrekcja nie poważałaby się pod żadnym pozorem wątpić o uczciwości odwiedzających tę instytucję. Jeden ze świetnych znawców obyczaju Angielskiego opowiada następującą Anegdotę. Wstąpiwszy raz do jednej z sal Banku, zapragnął z bliska zobaczyć sztabę złota wagi siedmiu do ośmiu funtów, która spoczywała na pulpicie kasjera. Ujął ją, obejrzał, przełożył do drugiej ręki, oddalił się w ciemny koniec korytarza, A gdy po półgodzinie kładł sztabę na swoje miejsce, kasjer nie podniósł nawet głowy.

Ale 29 września sprawa przybrała inny obrót. Pakiet banknotów nie powrócił i kiedy wspaniały bankowy zegar wybił piątą, o której to godzinie Bank zamykał swoje podwoje,

dyrekcji nie pozostało nic innego, jak zapisać w rubryce strat pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów.

Kiedy fakt kradzieży stwierdzono bezspornie, wybrano najlepszych detektywów i natychmiast wysłano ich do Liverpoolu, Glasgow, Hawru, Suez, Brindisi, Nowego Jorku i innych miast z obietnicą wysokiej nagrody w razie pomyślnego wyniku poszukiwań: szczęśliwy znalazca miał dostać dwa tysiące funtów oraz pięć procent od odzyskanej kwoty.

W oczekiwaniu na wynik dochodzenia, które miało dostarczyć danych potrzebnych do odkrycia przestępcy, zastęp detektywów pilnie obserwował tymczasem wszystkich wyjeżdżających i przybywających do portów.

Były podstawy, aby przypuszczać, zgodnie z tym, co twierdził "Morning Chronicle", że osobnik, który popełnił kradzież, nie należał do żadnej z szajek złodziejskich, istniejących na terenie Anglii. Owego pamiętnego dnia, 29 września, zauważono dobrze ubranego mężczyznę o nienagannych manierach i dystygowanej sylwetce przechadzającego się po sali wypłat, która miała niebawem stać się terenem kradzieży.

Dochodzenie pozwoliło odtworzyć ze względną ścisłością cechy charakterystyczne sprytnego jegomościa, po czym sporządzono jego rysopis i bezzwłocznie przesłano go do wszystkich placówek policyjnych w Zjednoczonym Królestwie i na kontynencie. Rozsądni ludzie uważali więc, że nadzieja zatrzymania przestępcy jest w tych warunkach więcej niż uzasadniona. Do liczby optymistów należał także i Gauthier Ralph.

Jak łatwo odgadnąć, wypadek ten był na ustach wszystkich zarówno w Londynie, jak i na prowincji. Toczone dysputy, robiono hazardowe zakłady za i przeciw powodzeniu Akcji śledczej. Nic tedy dziwnego, że członkowie klubu "Reforma" byli również pochłonięci tą kwestią, tym bardziej, że znajdował się wśród nich jeden z dyrektorów Banku.

Czcigodny pan Ralph nie dopuszczał żadnych wątpliwości co do zadowalającego rezultatu poszukiwań, wierzył głęboko, że obiecana detektywom nagroda wzmoże tysiąckrotnie ich zapał i inteligencję. Inaczej myślał Andrew Stuart, który wcale nie podzielał optymizmu swego przyjaciela. Toteż przy stoliku karcianym, gdzie siedzieli panowie - Stuart naprzeciw Flanagan i Fallentin, mający za partnera pana Fileasa Fogga - trwał zawzięty spór. W czasie gry panowie zachowywali milczenie, za to w przerwach między jednym a drugim robrem podejmowano ożywioną dyskusję. Andrew Stuart mówił:

- Utrzymuję w dalszym ciągu, że wszystkie szanse są po stronie złodzieja, który dał dowód nadzwyczajnego sprytu.

- Co znowu! Nie ma kraju, gdzie by mógł się schronić! - wykrzyknął Ralph.

- Czyżby!

- Dokąd według pana mógłby uciec?

- Nie wiem, nie wiem - upierał się Stuart. - W każdym razie ziemia jest dość przestronna.

- BYła nią niegdyś - zauważył pan Fileas Fogg podsuwając talię kart w stronę Thomasa Flanagana. - Pan przekłada - dorzucił.

Podczas całego robra panowało milczenie. Jednak zaraz potem pan Stuart odezwał się zaczepnie:

- Niegdyś? Czyżby teraz ziemia się skurczyła?

- Bez wątpienia - rzekł Gauthier Ralph. - Zgadzam się co do tego z panem Foggiem. Ziemia w pewnym sensie skurczyła się po prostu dlatego, że dziś można ją przemierzyć dziesięć razy szybciej niż sto lat temu. W wypadku, który nas interesuje, to właśnie przyczyni się do szybkiego ukończenia poszukiwań.

- A także do ułatwienia ucieczki złodziejowi.

- Pan wychodzi - odezwał się Fileas Fogg.

Jednak niewierny Stuart nie dał się przekonać i po skończonej grze znów wysunął swe wątpliwości:

- Musi pan przyznać, panie Ralph, że tylko dla żartu można utrzymywać, że ziemia uległa jakiemuś skurczeniu... Niby dlaczego? Że ktoś tam objechał ją w trzy miesiące?

- W osiemdziesiąt dni - poprawił Fileas Fogg.

A John Sullivan podjął:

- To prawda. Tylko w osiemdziesiąt dni, od czasu gdy kompania "Great Indian Peninsular Railway" (linie kolejowe Półwyspu Indyjskiego) oddała do użytku połączenie między Rothalem i Allahabadem. Mogę panom przeczytać obliczenie, które podaje "Morning Chronicle".

"Z Londynu do Suezu przez Mont Cenis i Brindisi koleją i parostatkiem - 7 dni.

Z Suezu do Bombaju parostatkiem - 13 dni.

Z Bombaju do Kalkuty koleją - 3 dni.

Z Kalkuty do Hongkongu (Chiny) parostatkiem - 13 dni.

Z Hongkongu do Jokohamy (Japonia) parostatkiem - 6 dni.

Z Jokohamy do San Francisco parostatkiem - 22 dni.

Z San Francisco do Nowego Jorku koleją - 7 dni.

Z Nowego Jorku do Londynu parostatkiem i koleją - 9 dni.

Razem 80 dni".

- Zgoda! W osiemdziesiąt dni! - zakrzyknął Andrew Stuart zrzucając w roztargnieniu kartę Atutową. - Ale nie bierze się pod uwagę niepogody, przeciwnych wiatrów, możliwości zatonięcia i wykolejenia.

- Owszem. To wszystko jest wzięte pod uwagę - odpowiedział sucho Fileas Fogg rzucając kartę. Od pewnego czasu dysputa toczyła się także w czasie gry.

- Dobrze, Ale przypuśćmy, że Indianie czy Hindusi zniszczą tory - niecierpliwił się Andrew Stuart - że zatrzymają pociąg, obrabują wagony i oskalpują podróżnych!

- Wszystko to jest przewidziane - powtórzył pan Fogg i rozłożył karty. - Dwa bez Atu!

Stuart, na którego przypadła teraz kolej rozdawania kart, zabrał je i rzekł:

- Teoretycznie ma pan rację, Ale praktycznie...

- Praktycznie też, proszę pana.

- Chciałbym to widzieć!

- Zależy to tylko od pana. Wyruszamy razem!...

- Niech Bóg broni! - krzyknął Stuart. - Ale trzymam zakład o cztery tysiące funtów, że taka podróż jest w obecnych warunkach niemożliwa!

- Przeciwnie, najzupełniej możliwa - odparł pan Fogg.

- Więc spróbuj pan!

- Objechać świat w osiemdziesiąt dni?

- Tak!

- Chętnie.

- Kiedy?

- Natychmiast. Ale uprzedzam: na pana koszt.

- To czyste szaleństwo! - irytował się Andrew Stuart, rozdrażniony nieustępliwością swego partnera. - Lepiej grajmy dalej!

- Wobec tego proszę jeszcze raz przetasować karty - odpowiedział Fogg. - Były źle rozdane.

Stuart gorączkowo zebrał karty i naraz rzucił je na stół.

- Zgoda, panie Fogg! Zakładam się o cztery tysiące funtów.

- Drogi panie Andrew - przemówił Fallentin. - Niech się pan uspokoi. Nikt z nas nie bierze tego serio.

- Jeżeli mówię, że się zakładam, to mówię to zawsze serio.

- Przyjmuję zakład - oświadczył pan Fogg i dodał zwróciwszy się ku reszcie towarzystwa: - Mam dwadzieścia tysięcy funtów złożonych u "Braci Baring". Postawię je z przyjemnością.

- Dwadzieścia tysięcy? - John Sullivan aż podskoczył. - Taki kawał grosza może pan stracić przez jakieś nieprzewidziane opóźnienie!

- Rzeczy nieprzewidzianych nie ma - odparł pan Fogg.

- Ale, drogi panie! Niech pan pomyśli, że ów okres osiemdziesięciodniowy obliczono jako minimum!

- Dobrze wyzyskane minimum w zupełności wystarcza.

- Jednak żeby go nie przekroczyć, musiałby pan chyba z matematyczną dokładnością skakać z pociągu wprost na pokład parostatku i z parostatku do wagonu!

- Będę skakał z matematyczną dokładnością.

- Pan raczy żartować!

- Anglik nigdy nie żartuje, gdy chodzi o rzecz równie poważną, jak zakład. Trzymam zakład o dwadzieścia tysięcy funtów z każdym, kto wątpi, że odbędę podróż dookoła świata najwyżej w osiemdziesiąt dni, to znaczy w tysiąc dziewięćset dwadzieścia godzin albo sto piętnaście tysięcy dwieście minut. Zgoda, panowie?

Panowie Stuart, Fallentin, Sullivan, Flanagan i Ralph chwilę porozumiewali się, potem skinęli głowami.

- Zgoda.

- A więc dobrze - powiedział pan Fogg. - Pociąg do Dover odchodzi o ósmej czterdzieści pięć. Pojadę tym pociągiem.

- Jeszcze dziś? - zdumiał się Stuart.

- Jeszcze dziś - odpowiedział Fogg. Wyciągnął z kieszeni kalendarzyk, zajrzał do niego i oświadczył: - A więc, ponieważ dziś mamy środę, 2 października, muszę być w Londynie w tym salonie w sobotę 21 grudnia o godzinie ósmej czterdzieści pięć wieczorem. W przeciwnym razie dwadzieścia tysięcy funtów, złożonych w tej chwili u "Braci Baring", przejdzie zarówno formalnie, jak i faktycznie na własność panów. A oto czek opiekujący na tę sumę.

Nie zwlekając, sześciu zainteresowanych spisało protokół i złożyło pod nim nazwiska. Pan Fogg Ani na chwilę nie stracił zimnej krwi. Widać było, że nie o wygraną mu chodzi. Nie zastanawiając się, postawił na kartę owe dwadzieścia tysięcy funtów, połowę swego majątku, bo wiedział, że druga połowa wystarczy mu do przeprowadzenia tej trudnej, aby nie powiedzieć - niewykonalnej gry. Natomiast przeciwnicy jego wydawali się

wzruszeni. Nie chodziło im o wysokość pieniężnej stawki, Ale odczuwali wyrzuty sumienia, że przyjmują zakład na podobnych warunkach.

Zegar wybił godzinę siódmą. Partnerzy zaproponowali panu Fileasowi przerwanie partii, Aby miał czas na niezbędne przygotowania do podróży.

- Jestem zawsze gotów - odparł z całym spokojem niezwykle dżentelmen i rozdając karty rzekł:

- Odpowiadam karem. Pan wychodzi, panie Stuart.

Rozdział czwarty

w którym pan Fogg zdumiewa i uprawia w przerażenie swego nowego lokaja

Do godziny siódmej dwadzieścia pięć Fileas Fogg zdążył jeszcze wygrać około dwudziestu gwinei, po czym pożegnał swych czcigodnych towarzyszy i udał się do domu. O siódmej pięćdziesiąt otworzył drzwi i wszedł na schody.

Obieżyświat, któremu dobrze utkwiał w głowie rozkład dnia obowiązujący w tym domu, zdumiał się niepomiernie, widząc swego pana o tak niezwykłej porze. Według planu powinien on być zjawić się punktualnie o północy.

Pan Fileas udał się do siebie. Po chwili rozległ się jego głos:

- Janie!

Lokaj Ani drgnął. Wołanie nie mogło dotyczyć jego osoby. Nie była po temu odpowiednia pora.

- Janie! - powtórzył pan Fogg nie podnosząc zresztą głosu. - Już po raz drugi cię wołam - rzekł, gdy Obieżyświat z zegarkiem w ręku stanął we drzwiach.

- Przecież nie ma jeszcze dwunastej! - odparł Obieżyświat.

- Wiem i nie robię ci wyrzutów. Za dziesięć minut jedziemy do Dover i Calais.

Przelotny grymas ukazał się na puciołowatym obliczu Francuza. Nie miał wątpliwości, że zaszło tu jakieś nieporozumienie.

- Jaśnie pan wyjeżdża? - spytał.

- Tak jest, jedziemy w podróż dookoła świata.

W tej chwili Obieżyświat zamienił się w żywy symbol graniczącego z osłupieniem zdumienia. Wytrzeszczył oczy, boleśnie podniósł brwi, opuścił ramiona; kolana ugięły się pod nim. Ledwie zdołał wyszeptać:

- Dookoła świata...

- I to w osiemdziesiąt dni - uzupełnił jego pan. - Jak więc widzisz, nie mamy chwili do stracenia.

- A bagaże? - wybełkotał Obieżyświat, nieświadomie chwiejąc w obie strony głową.

- Bagaży nie będzie. Mały neseser podróżny, w nim dwie wełniane koszule i trzy pary pończoch. To samo weźmiesz dla siebie. Resztę dokupimy w drodze. Zabierz także mój płaszcz nieprzemakalny i pled. Zaopatrz się w solidne buty. Zresztą chodzić będziemy mało albo wcale.

Obieżyświat chciał zaprotestować, nie starczyło mu jednak sił. Wrócił chwiejnym krokiem do siebie i tam upadł na krzesło. Jęknął z głębi zboląłego serca:

- Masz, diable, kaftan! I to na mnie spadło, na mnie, który tak chciałem wreszcie odsapnąć.

I machinalnie wziął się do pakowania... Dookoła świata w osiemdziesiąt dni! Słyszane to rzeczy! Czyżby jaśnie pan był trochę nie tego?... Ale nie. Może to taki żart? Jedziemy do Dover. Niech tam! Do Calais... i na to zgoda. Prawdę rzekłszy, nawet nie powinno to specjalnie martwić kogoś, kto od pięciu lat nie dotknął stopą rodzinnej ziemi. Kto wie? Może zawadzi się o Paryż? Do diaska! Nie byłoby w tym nic zdrożnego zobaczyć znowu starą stolicę. Lecz szkoda gadać, taki nieruchawy pan zapewne nie zechce tam popasać. Swoją drogą, prędzej by się człek gromu z jasnego nieba spodziewał niż tego, że pan Fogg, taki piecuch, taki domator, ni z tego, ni z owego wybierze się w podróż.

O ósmej Obieżyświat, wciąż jeszcze oszołomiony, zamknął starannie swój pokój i z niedużą torbą w ręku, w której mieścił się skromny zapas bielizny dla niego i dla jego pryncypała, stawiał się przed obliczem pana Fogg.

Ten był już gotów. Pod pachą trzymał "Rozkład jazdy kolei żelaznych i statków na wszystkich kontynentach i oceanach", który miał dostarczyć informacji niezbędnych w podróży. Wziąwszy torbę z rąk służącego, otworzył ją i wsunął do wnętrza sporą paczkę banknotów.

- Nie zapomniałeś Aby czegoś?

- Nie, proszę pana.

- A płaszcz i pled?

- Są!

- W porządku. Weź torbę.

Wręczając torbę Obieżyświatowi, pan Fogg powiedział:

- Pilnuj jej dobrze; wewnątrz jest dwadzieścia tysięcy funtów.

Ręce służącego o mały włos nie wypuściły torby, tak jakby jej ciężar zwiększył się o dwadzieścia funtów złota.

Pan i służący zeszli ze schodów i zamknęli bramę na dwa spusty. Do postoju dorożek nie było daleko. Doszedłszy do krańca Saville Row, wzięli powóz i ruszyli w stronę dworca Charing-Cross, który jest końcową stacją jednej z odnóg słynnej magistrali kolejowej South-Eastern.

O ósmej dwadzieścia dorożka zatrzymała się przed dworcem. Obieżyświat wysiadł z powozu, za nim jego pan, który zapłacił należność stangretowi. W tym momencie do wysiadających zbliżyła się wynędzniała kobieta w łachmanach, bosa, okryta postrzępioną

chustą, w obszarpanym kapeluszu, z którego zwisała żalosna resztką pióra. Za rękę trzymała blade dziecko i prosiła o datek.

Pan Fogg wyciągnął dwadzieścia gwinei, które wygrał w wista, i podając żebraczce, rzekł:

- Weźcie to, dobra kobieto. Dobrze się stało, że was spotkałem.

Obieżyświat poczuł wilgoć pod powieką. Miejsce, które pan Fogg zajmował w sercu swego służącego, znacznie się powiększyło. Weszli obaj do obszernej hali dworca; tu Obieżyświat otrzymał polecenie nabycia dwóch biletów pierwszej klasy do Paryża. Gdy lokaj się oddalił, pan Fileas niespodzianie natknął się na swoich pięciu przyjaciół klubowych.

- Jadę, panowie - rzekł do nich. - Biorę ze sobą paszport - wizy na nim będą świadczyły po moim powrocie, jakie kraje przebyłem.

- Ależ, panie - zaprotestował z wielką uprzejmością pan Ralph - to całkiem zbyteczne. Pańskie słowo wystarczy nam Aż nadto.

- A jednak tak będzie lepiej - stwierdził Fileas Fogg.

- A zatem, kiedy powinien pan być z powrotem? - przypomniał mu Andrew Stuart.

- Za osiemdziesiąt dni, w sobotę 21 grudnia 1872 roku, o godzinie ósmej czterdzieści pięć wieczorem. Do widzenia panom!

O godzinie ósmej czterdzieści Fileas Fogg i jego służący zajęli miejsca w przedziale. Po pięciu minutach rozległ się gwizd lokomotywy i pociąg ruszył.

Noc była czarna. Mżył drobny deszczyk. Pan Fogg, wsunięty w swój kąt, milczał. Obieżyświat, który nie otrząsnął się jeszcze ze stanu osłupienia, kurczowo przyciskał do boku ciemną torbę z banknotami. Naraz, gdy pociąg zbliżał się do Sydenham, z piersi lokaja wydarł się rozpaczliwy okrzyk.

- Co ci się stało? - spytał pan Fogg.

- Stało się, że... w tym pośpiechu... straciłem głowę i...

- I co?

- I zapomniałem zamknąć gaz w moim pokoju!

- Cóż, mój chłopcze - odrzekł chłodno pan Fogg - od tej chwili gaz pali się na twój koszt.

Rozdział piąty

w którym na giełdzie londyńskiej ukazują się nowe Akcje

Fileas Fogg Ani przypuszczał odjeżdżając, że jego podróż odbije się Aż tak głośnym echem. Nowina o zakładzie rozniosła się najpierw po klubie "Reforma" i wprawiła w podniecenie jego członków. Za pośrednictwem reporterów podniecenie to udzieliło się wkrótce prasie, A gazety zaraziły nim z kolei prawie całą ludność Londynu i Zjednoczonego Królestwa.

"Sprawa podróży dookoła świata" stała się przedmiotem dyskusji, sporów i rozważań, prowadzonych z taką zaciekłością, jakiej nie pamiętano chyba od czasów Afery z "Alabamą". [pancernik] Jedni wzięli stronę Fileasa Fogga, inni - którzy okazali się niebawem większością - oświadczyli się przeciw niemu. Przy obecnych warunkach komunikacyjnych objechać świat w tak krótkim czasie wydawało się, mimo pięknych wyliczeń na papierze, nie tylko czymś niemożliwym, Ale i niedorzecznym!

"Times", "Standard", "Evening Star", "Morning Chronicle" i dwadzieścia innych najpoczytniejszych dzienników zajęło wobec pana Fogga stanowisko negatywne. W pewnej mierze podtrzymywał go jedynie "Daily Telegraph".

O panu Fileasie mówiono jak o maniacu Albo wariacie i Atakowano ostro jego przyjaciół z klubu za to, że przyjęli zakład świadczący o wyraźnym osłabieniu władz umysłowych projektodawcy.

W dziennikach ukazały się na temat tej sprawy gwałtowne, Ale dobrze uzasadnione wywody.

Wiadomo powszechnie, jak wielkie zainteresowanie wzbudza w Anglii wszystko, co ma związek z geografią. Dlatego też nie było chyba czytelnika, obojętnego, z jakiej warstwy pochodził, który by nie pochłaniał przede wszystkim szpalt poświęconych sprawie Fileasa Fogga.

W ciągu kilku pierwszych dni śmielsze umysły, A przede wszystkim kobiety, trzymały za Foggiem. Było to w okresie, gdy "Illustrated London News" zamieściły jego fotografię, wydobytą z Archiwum klubu "Reforma".

Byli tacy, co przebąkiwali: "Ha, dlaczegóż by nie? Pamięta się rzeczy bardziej zdumiewające..." Śmiałkowie tego rodzaju należeli przeważnie do czytelników "Daily Telegraph". Ale niebawem zorientowano się, że nawet i to pismo zachwiało się w swoim przekonaniu.

7 października ukazał się w “Biuletynie Królewskiego Towarzystwa Geograficznego” długi Artykuł, w którym rozpatrywano kwestię ze wszystkich możliwych punktów widzenia i w oczywisty sposób udowodniano szaleństwo całej imprezy. Według Autora wspomnianego Artykułu wszystko sprzysięgło się przeciw lekkomyślnemu podróżnikowi, zarówno ludzie jak i natura. Aby uwierzyć w powodzenie takiego przedsięwzięcia, trzeba by założyć, że koleje funkcjonują z punktualnością wprost cudowną, z punktualnością, która nie istnieje i istnieć nie może.

Ostatecznie w Europie, gdzie chodzi o odległości względnie krótkie, można liczyć na punktualne kursowanie pociągów. Ale tam, gdzie wchodzi w grę okres trzydniowy, potrzebny do przebycia Indii, siedmiodniowy - do przejechania Stanów Zjednoczonych, czyż można na punktualności kolei opierać jakąkolwiek kalkulację? Nie mówiąc już o Awariach, wykolejeniach i zderzeniach, o złej pogodzie, zamieci śnieżnej, bo wszystko to czyhało na Fileasa Fogga! Czyż ten fantasta, wsiadłszy na pokład, nie znajdzie się na łasce mgieł i wiatrów? Nawet najlepszym parowcom transoceanicznym zdarzają się nieraz dwu- i trzydniowe opóźnienia. A w tym wypadku starczyłoby jednego tylko, Aby teoretycznie obliczony łańcuch połączeń został bezapelacyjnie zerwany. Niechby Fileas Fogg spóźnił się choć parę godzin na któryś z parowców, co skazałoby go na czekanie na następny, A zamiar jego obróci się wniwecz.

Artykuł narobił wiele hałasu. Prawie wszystkie pisma przedrukowały go i Akcje pana Fogga spadły na łeb, na szyję.

Zaraz po wyjeździe dżentelmena z Londynu zaczęto robić fantastyczne zakłady na temat szans jego wyprawy. Wiadomo, czym jest w Anglii świat miłośników zakładu, bez wątpienia inteligentniejszy i bardziej ciekawy niż świat nałogowych graczy. Robienie zakładów leży w naturze Anglika. Tak więc nie tylko członkowie klubu “Reforma” postawili znaczne sumy za czy przeciw panu Fileasowi, Ale także i szeroka publiczność została wciągnięta w tę hazardową grę. Fogg stał się oto koniem wyścigowym, stawką powszechnego totalizatora. Wreszcie zrobiono zeń papier wartościowy, który momentalnie oszacowano na giełdzie. Ofiarowywano i poszukiwano Akcji “Fileas Fogg”, dokonując kolosalnych obrotów. Jednak w pięć dni po odjeździe pana Fogga, w momencie ukazania się Artykułu w “Biuletynie Królewskiego Towarzystwa Geograficznego”, zaofiarowania sprzedaży zaczęły być coraz częstsze. Akcje “Fileas Fogg” zaczęły spadać. Ofiarowywano je całymi pakietami, w których było już nie po pięć, czy dziesięć Akcji, Ale po dwadzieścia, pięćdziesiąt, A nawet sto. Panu Fileasowi pozostał jeden jedyny stronnik: stary, sparaliżowany lord Albermale. Czcigodny starzec, przygwożdżony od dawna do fotela,

byłby oddał cały swój majątek, byle móc odbyć podróż dookoła świata, i to niekoniecznie w osiemdziesiąt dni - Ale choćby w dziesięć lat! Lord postawił na Fogga cztery tysiące funtów. Gdy mu przedstawiano niewykonalność i bezsensowność całego przedsięwzięcia, upierał się: "Tak, Ale jeśli rzecz ta jest w ogóle możliwa do przeprowadzenia, niech pierwszy uczyni to Anglik!"

Tak więc szeregi stronników Fogga rzedły coraz bardziej. Wszyscy powoli odwracali się od niego, i nie bez racji. Stawiano teraz najmniej sto pięćdziesiąt, A nawet dwieście przeciw jednemu.

Aż nagle, w siedem dni po jego wyjeździe, niesłychane zdarzenie odebrało tym Akcjom resztę wartości.

Dnia tego do naczelnika policji nadeszła depeza następującej treści:

"Suez do Londynu

Rowan, naczelnik policji,

Dyrekcja Główna

Scotland Yard

Jestem na tropie złodzieja z Banku - Fileasa Fogga. Przesłać natychmiast rozkaz Aresztowania do Bombaju (Indie Angielskie).

Fix, detektyw"

Skutek depezy był piorunujący. Miejsce szanowanego obywatela zajął złodziej pieniędzy bankowych. Przyjrzano się uważnie fotografii Fogga znajdującej się w kolekcji klubu "Reforma". Odkryto, że każdy jej rys zgadza się z opisem złodzieja ustalonym w wyniku dochodzenia. Przypomniano sobie tajemniczy tryb życia Fileasa Fogga, jego odosobnienie, nagły odjazd... Stało się rzeczą oczywistą, że ten osobnik, używszy sprytnego pretekstu podróży dookoła świata i zasłoniwszy się Absurdalnym zakładem, miał tylko jedno na celu: zmylić ślady i wywieść w pole policję Angielską.

Rozdział szósty

w którym detektyw Fix objawia całkowicie uzasadnioną niecierpliwość

Oto w jakich okolicznościach wysłano depezę dotyczącą imci pana Fogga.

Dnia 9 października, we środę, w Suezie oczekiwano parostatku "Mongolia", należącego do "Towarzystwa Żeglugi Wschodnio-Indyjskiej". Statek miał przybyć o godzinie jedenastej rano. Był to żelaznej konstrukcji parowy statek pasażerski, śrubowy, wyposażony w pomost spacerowy, o wyporności dwu tysięcy ośmiuset ton, dysponujący nominalną siłą pięciuset koni parowych. Kursował regularnie między Brindisi a Bombajem przez Kanał Sueski. Uważano "Mongolię" za jeden z najszybszych statków, jakimi rozporządzało przedsiębiorstwo. Stale przekraczał szybkość przewidzianą w rozkładzie żeglugi, to znaczy owe przepisowe dziesięć mil na godzinę między Brindisi a Suezem oraz dziewięć i pięćdziesiąt trzy setne mili - między Suezem a Bombajem.

Na molu toczyła się ciżba tubylców i cudzoziemców. Od jakiegoś czasu obcokrajowcy wezbraną falą napływali do tego miasta, które jeszcze niedawno było pospolitą dziurą nadmorską, a dziś, dzięki wspaniałemu dziełu pana Lessepsa [budowniczy kanałów Sueskiego i Panamskiego] kroczyło ku świetnej przyszłości.

W tłumie oczekujących na "Mongolię" wyróżniało się dwóch ludzi. Jednym z nich był miejscowy konsul brytyjski, który od czasu przybycia na tę placówkę oglądał co dzień - wbrew sceptycznym przewidywaniom rządu i ponurym prorocstwom inżyniera Stephensona - coraz liczniej zawijające do portu statki angielskie. Dzięki otwarciu Kanału Sueskiego skracały one o połowę dawną swą trasę z Anglii do Indii, wiodącą wokół Przylądka Dobrej Nadziei.

Drugi mężczyzna, przechadzający się po molu, był chudy i mały, o nerwowej, inteligentnej twarzy, który z podziwu godnym uporem ciągle marszczył brwi. Spod długich rzęs błyskały ogniste oczy, których blask zresztą w razie potrzeby tłumila czujna wola właściciela. W tej chwili mały człowieczek zdradzał wyraźne zniecierpliwienie, chodził tam i z powrotem, nie mogąc snadź wytrzymać na tym samym miejscu. Nazywał się Fix, a był jednym z falangi detektywów i tajnych Agentów rozesłanych po głośnym okradzeniu Banku do licznych portów świata. Zadaniem Fixa było pilnie obserwować wszystkich przejeżdżających przez Suez, a w razie potrzeby iść w ślad za podejrzanym osobnikiem dopóty, dopóki nie nadejdzie nakaz aresztowania.

Akurat dwa dni temu Fix otrzymał z dyrekcji policji londyńskiej rysopis przypuszczalnego sprawcy kradzieży. Wyłaniał się z niego obraz wytwornego, eleganckiego

pana, którego pamiętnego dnia zauważono w sali wypłat Banku Angielskiego. Detektyw mocno się przejął wysokością nagrody, którą obiecano wypłacić w razie schwywania przestępcy, i z łatwo zrozumiałą niecierpliwością czekał teraz na przybycie "Mongolii".

- Więc utrzymuje pan, panie konsulu, że spóźnienie jest wykluczone? - po raz dziesiąty chyba pytał towarzyszącego mu urzędnika.

- Wykluczone. Wczoraj sygnalizowano obecność statku na pełnym morzu na wysokości Port Saidu, A przecież sto sześćdziesiąt kilometrów kanałem dla takiego wyścigowca jest igraszka. Powtarzam panu, że "Mongolia" zawsze zagarnia premię dwudziestu pięciu funtów, którą rząd ofiarowuje za każde dwadzieścia cztery godziny zyskane na tej trasie.

- Czy parostatek płynie wprost z Brindisi?

- Wprost z Brindisi, gdzie wziął ładunek dla Indii i skąd odpłynął w sobotę o godzinie piątej po południu. Miej pan przeto cierpliwość, tylko go patrzeć... Jednego natomiast nie mogę pojąć, w jaki sposób, mając jedynie schematyczny rysopis, zdoła pan rozpoznać owego ptaszka, jeżeli w ogóle jest on na pokładzie "Mongolii"?

- Panie konsulu, ludzi tego gatunku nie tyle rozpoznaje się, co odczuwa instynktem. Po prostu trzeba mieć "nosa", czyli ów szósty zmysł, z którym zawzięcie współzawodniczą wzrok, słuch i węch. W ten sposób przytrzymałem już niejednego takiego dżentelmena i jeżeli mój ptaszek rzeczywiście płynie na "Mongolii", nie ma mowy, żeby zdołał mi się wymknąć!

- Życzę powodzenia, bo chodzi tu o nie byle jaką kradzież.

- O wspaniałą kradzież! - wykrzyknął z entuzjazmem Fix. - Pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów! Rzadko się zdarza podobna gratka! Złodzieje zadowolają się dziś byle czym. Rasa Sheppardów karleje. Łakomią się teraz na kilka szylingów.

- Panie Fix, mówi pan o tym z takim zapalem, że z całego serca życzę panu sukcesu! Ale zwracam jeszcze raz uwagę, że w tych warunkach sukces nie będzie łatwy! Wie pan doskonale, że jak można wnosić z nadesłanego rysopisu, złodziej jest z pozoru ładząco podobny do uczciwego człowieka.

- Panie konsulu - tonem wyroczni powiedział Fix - najczęściej bywa tak, że wielcy złodzieje mają pozory uczciwych ludzi. Tym, którzy wyglądają na łajdaków, jedno tylko pozostaje: prowadzić uczciwe życie, w przeciwnym razie zostaliby nakryci w mgnieniu oka. I dlatego w naszym fachu najbaczniejszą uwagę trzeba zwracać na tak zwanych porządnym ludzi. Przyznaję, że praca moja - dodał z pewną melancholią - nie należy do łatwych. Właściwie jest to raczej bardzo trudna sztuka, A nie taki sobie zawód jak inne...

Jak z tego wykładu widać, detektywowi nie zbywało na zarozumiałości. Tymczasem na molu zaczynał się ruch; przybywali gromadnie marynarze wszelkich narodowości, tragarze, drobni kupcy, pośrednicy i fellachowie (chłopi egipscy). Moment przybycia parostatku zdawał się zbliżać.

Było na ogół pogodnie, wiał jednak chłodny wschodni wiatr. W promieniach bladego słońca majaczyły z dala delikatne zarysy minaretów.

Ku południowi ciągnęło się dwukilometrowe molo, osłaniające port jakby ramieniem od wód Morza Czerwonego. Po morzu sunęły statki rybackie i statki żeglugi przybrzeżnej, które zachowały w swej sylwetce coś ze szlachetnej linii starożytnych galer.

Fix kręcił się wśród pospólstwa i z nałogu starego wyżła policyjnego taksował każdego przechodnia błyskawicznym rzutem oka. Było pół do jedenastej.

- Ten przeklęty statek chyba nigdy nie przyjedzie! - wykrzyknął słysząc bicie portowego zegara.

- Już powinien być niedaleko - odpowiedział konsul.

- Jak długo zatrzyma się w Suezie?

- Cztery godziny, Akurat tyle ile trzeba na załadowanie węgla. Musi należycie zaopatrzyć się w paliwo, bo od Suezu do Adenu, położonego na drugim krańcu Morza Czerwonego, jest tysiąc trzysta dziesięć mil.

- I z Suezu płynie wprost do Bombaju?

- Bezpośrednio do Bombaju, nigdzie nie zawijając.

- W takim razie złodziej, jeśli odbywa swą podróż na "Mongolii", wysiądzie najprawdopodobniej w Suezie i jakąś inną drogą dotrze do posiadłości francuskich czy holenderskich w Azji. Musi się orientować, że w Indiach, które należą do Anglii, byłoby mu zbyt ciasno.

- Chyba że jest to człowiek wyjątkowo przebiegły. Pan wie najlepiej, że Angielski przestępca znajdzie pewniejsze schronienie w Londynie niż gdziekolwiek indziej.

Wypowiedziawszy to zdanie, które wprawiło Fixa w głęboką zadumę, konsul wrócił do swego biura znajdującego się nie opodal. Detektyw pozostał sam, pełen niecierpliwości, nurtowany dziwnym przeczuciem, że złodziej jest na pewno na pokładzie przybywającego statku. Istotnie, jeżeli ten genialny łajdak ma zamiar dostać się do Ameryki, to musi obrać drogę na Indie, mniej strzeżoną, bo trudniejszą do ustrzeżenia niż szlak Atlantycki.

Ale nie było już czasu na rozmyślania. Ostry gwizd syreny oznajmił wejście statku do portu. Najpierw u wejścia do kanału ukazał się wysoki dziób "Mongolii", a gdy zegar

wydzwaniał godzinę jedenastą, parostatek rzucił kotwicę, wypuszczając z piekielnym hałasem resztki pary.

Podróżnych na statku było sporo. Niektórzy pozostali na górnym pomoście, napawając się malowniczym widokiem miasta; inni powiadali do czółen przewoźników, które natychmiast po wejściu "Mongolii" do portu otoczyły ją gęstą chmarą.

Fix nie spuszczał oka z wysiadających. W tej chwili jakiś mężczyzna, bezceremonialnie rozepchnąwszy gromadę fellachów, zbliżył się do detektywa i zapytał go grzecznie o biuro konsula Angielskiego. Jednocześnie pokazał mu paszport, który chciał zaopatrzyć w wizę.

Fix, wiedziony instynktem, wziął paszport do ręki i szybkim rzutem oka sprawdził rysopis jego właściciela.

Omali nie zdradził się ze swoim wzruszeniem: palce trzymające dokument zdrząły. Rysopis sporządzony w paszporcie odpowiadał najdokładniej temu, który nadesłał naczelnik londyńskiej policji.

- To nie jest pański paszport? - spytał.

- Nie, to paszport mego pana.

- A gdzie on jest?

- Został na statku.

- Trzeba jednak, żeby zgłosił się osobiście w konsulacie w celu stwierdzenia tożsamości.

- A bez tego się nie obejdzie?

- To jest nieuniknione.

- Więc gdzie jest ten konsulat?

- Tam, w rogu placu - odpowiedział Agent wskazując ręką budynek stojący o dwieście kroków dalej.

- Wobec tego wracam po mego pana. Wcale nie będzie zachwycony całą tą mitręgą.

I nieznamy pasażer skłoniwszy się zawrócił w stronę statku.

Rozdział siódmy

z którego wynika, że w pewnych sytuacjach paszporty tracą swą użyteczność

Inspektor opuścił przystań i skierował się pośpiesznie do biura konsulatu. Wymógł na urzędniku, by go natychmiast wpuszczono do konsula. Tam oświadczył bez wstępu:

- Panie konsulu, mam wszelkie dane, Aby twierdzić, że nasz jegomość odbywa przejażdżkę na pokładzie "Mongolii".

I zdał sprawę z rozmowy ze służącym, który pokazał mu paszport swego tajemniczego pana.

- To dobrze, panie Fix, będzie mi przyjemnie z bliska obejrzeć tego filuta - rzekł konsul. - Ale nie wiadomo, czy zechce się tutaj stawić, jeżeli jest w samej rzeczy tym, za kogo pan go ma. Złodziej nie lubi zostawiać za sobą wyraźnych śladów pobytu. Zresztą formalności paszportowe już nie obowiązują.

- Panie konsulu, jeżeli jest rzeczywiście kuty na cztery nogi, jak obaj przypuszczamy, to powinien tu przyjść!

- Aby przedstawić paszport do wizowania?

- Tak jest. Paszporty istnieją po to, żeby zatruwać życie ludziom porządnym, natomiast łajdakom tylko ułatwiają ucieczkę. Zobacz pan, że w tym wypadku paszport będzie w idealnym porządku, Ale mam nadzieję, że pieczęci pan do niego nie przyłoży.

- Niby dlaczego? Jeżeli paszport jest formalny, nie mam najmniejszego prawa odmówić wizy jego właścicielowi.

- Jednak musimy za wszelką cenę przytrzymać tego człowieka, dopóki nie nadejdzie rozkaz Aresztowania.

- To już jest pańska rzecz, panie inspektorze - powiedział konsul. - Co do mnie, nie mogę...

Nie skończył zdania, bo zapukano do drzwi i woźny wprowadził dwóch mężczyzn, z których jeden był służącym znanym już detektywowi. Drugi, najwidoczniej jego pracodawca, podał konsulowi swój paszport, prosząc go krótko o poświadczenie.

Konsul wziął papiery i oglądał je z uwagą, gdy tymczasem Fix, wciśnięty w kąt pokoju, obserwował, A raczej pożerał oczyma zagadkowego podróżnika.

Konsul podniósł głowę i spytał:

- Czy pan Fileas Fogg?

- Tak jest - odparł dżentelmen.

- A to jest pański służący?

- Tak. Francuz nazwiskiem Obieżyświat.

- Jedzie pan z Londynu?

- Tak.

- Do...?

- Do Bombaju.

- W porządku. Pan zapewne wie, że poświadczenie paszportu przestało już obowiązywać i że praktycznie do niczego nie jest potrzebne?

- Wiem o tym - odparł pan Fogg - chcę jednak za pomocą pańskiej wizy uzyskać dowód mego pobytu w Suezie.

- Służę panu.

Konsul podpisał, postawił datę i przyłożył do dokumentu pieczęć. Pan Fogg uiścił opłatę manipulacyjną i złożony chłodny ukłon, wyszedł ze swym służącym z biura.

Fix wysunął się z kąta.

- No i...? - spytał.

- Ten człowiek wygląda na wzorowego dżentelmena - odpowiedział konsul.

- Być może, Ale nie o to chodzi. Czy nie zauważył pan, panie konsulu, uderzającego podobieństwa między tym flegmatycznym jegomościem A złodziejem, którego rysopis nadszedł z Londynu?

- Zauważyłem. Jednak, wie pan, wszystkie te rysopisy...

- Już ja się postaram to zbadać. Lokaj wydaje mi się mniej trudny do odcyfrowania niż pryncypał. Zresztą powinien się okazać, jak każdy Francuz, klasycznym gadułą. Do widzenia, panie konsulu!

Wyszedłszy z biura, detektyw puścił się na poszukiwanie Obieżyświata.

W tym czasie pan Fogg zdążył do przystani. Wydał parę zleceń lokajowi i przeprowił się łódką na statek. Znalazłszy się w swojej kabinie, wyciągnął notes i odczytał porobione w nim zapiski:

“Wyjazd z Londynu - środa, 2 października, -8:45 wieczór.

Przybycie do Paryża - czwartek, 3 października -7:20 rano.

Przybycie do Turynu przez Mont Cenis - piątek, 4 października, -6:35 rano.

Wyjazd z Turynu - piątek, 4 października, -7:20 rano.

Przybycie do Brindisi - sobota, 5 października, -4:00 po południu.

Zaokrętowanie na “Mongolię” - sobota, 5 października, -5:00 po południu.

Przybycie do Suez - środa, 9 października, -11:00 rano.

Ogółem ilość godzin zużytych: 158 1/2, czyli dni: 6 1/2.”

Notes pana Fogga był podzielony na szereg rubryk, które dawały w sumie szczegółowy obraz podróży od dnia 2 października do 21 grudnia. Wpisane w nie były dokładne daty: dzień tygodnia i miesiąca, godzina przybycia według rozkładu i przybycia rzeczywistego do wszystkich głównych punktów przedsięwziętej podróży, A więc do Paryża, Brindisi, Suez, Bombaju, Kalkuty, Singapuru, Hongkongu, Jokohamy, San Francisco, Nowego Jorku, Liverpoolu, Londynu. Schemat taki pozwalał się zorientować, ile zyskano czy stracono na czasie w każdym etapie podróży. Dzięki tej metodycznej statystyce pan Fogg zawsze był świadom, jakie są jego szanse wygrania zakładu. Dziś na przykład, dnia 9 października, zanotował swoje przybycie do Suez, co odpowiadało dacie widniejącej w rozkładzie i nie stanowiło Ani wygranej, Ani straty.

Dokonawszy przeglądu kazał sobie przynieść śniadanie. Nawet nie przeszło mu przez myśl, Aby zwiedzić miasto. Należał do tego typu Anglików, którzy mijane w podróży kraje oglądają oczyma swoich służących.

Rozdział ósmy

w którym Obieżyświat zbyt folguje swemu językowi

Fix niewiele czasu poświęcił na odnalezienie Obieżyświata. Zastał go w porcie. Lokaj włóczył się i gapił do woli, uważając, w przeciwieństwie do swego pana, że powinien wszystko zobaczyć na własne oczy.

- I cóż, przyjacielu, załatwiliście sprawę wizy? - zagadnął go Fix zbliżając się niespodzianie.

- Ach, to pan! Dziękuję za pamięć. Już wszystko w porządeczku.

- Zwiedzasz pan miasto?

- Ano tak. Cała bieda w tym, że podróżujemy tak szybko, jakby się leciało gdzieś we śnie. No i, jak się zdaje, jesteśmy w Suezie?

- Tak jest, w Suezie.

- To znaczy, w Egipcie?

- Rozumie się, w Egipcie.

- Z czego by wychodziło, że w Afryce?

- W Afryce.

- W Afryce! - powtórzył z podziwem Obieżyświat. - Kto by to powiedział! Na razie, wie pan, nie spodziewałem się zajechać dalej niż do Paryża, Ale cóż z tego wyszło? Zachwycającą stolicę widziało się raptem od godziny siódmej do ósmej czterdzieści, tłukąc się dorożką z Dworca Północnego na Lyoński, i to podczas paskudnej pluchy! Aż żal pomyśleć!

- Widać strasznie panom śpieszno - wtrącił inspektor.

- Mnie nie, do kaduka, tylko memu panu! Ale zaraz: miałem przecież kupić skarpetki i koszule! Wyjechaliśmy bez bagażu, z jedną torbą ręczną.

- Zaprowadzę pana do bazaru, gdzie znajdzie pan wszystko, co trzeba.

- Pan ogromnie łaskaw!

I obaj puścili się w drogę. Obieżyświatowi nie zamykały się usta:

- Najważniejsze, żeby się nie spóźnić na statek.

- Jeszcze czas - uspokajał go Fix. - Dopiero południe.

Obieżyświat wyciągnął swoją "cebule".

- Południe? Co znowu, dopiero dziewiąta pięćdziesiąt dwie minuty.

- Pański zegarek spóźnia się.

- Co? Mój zegarek, rodzinna pamiątka, pochodząca jeszcze od mego pradziadka! Ona ma się spóźnić? Wszystko, tylko nie to! Ten zegarek nie zaśni nawet pięciu minut na rok! To prawdziwy chronometr.

- Rozumiem, na czym rzecz polega - objaśnił Fix. - Ma pan wciąż jeszcze czas londyński, który w stosunku do sueskiego jest o dwie godziny spóźniony. Niech pan nie zapomina regulować swego zegarka w każdym kraju według słońca.

- Miałbym majstrować przy moim zegarku? Nigdy!

- W takim razie nie będzie się zgadzał ze słońcem.

- Tym gorzej dla słońca! - wykrzyknął Obieżyświat. - To ono będzie teraz spóźnione.

I ruchem pełnym godności wsunął zegarek do kieszeni. Po paru minutach Fix odezwał się:

- Więc z takim pośpiechem wyjechaliście z Londynu?

- I z jakim jeszcze! We środę, uważa pan, pryncypał wraca do domu o godzinie ósmej, wbrew swoim zwyczajom. A w trzy kwadranse potem już siedzimy, jakby nigdy nic, w pociągu.

- Dokąd on tak pędzi, ten pański pryncypał?

- Wciąż przed siebie. Naokoło świata!

- Naokoło świata! - wykrzyknął Fix.

- Ma się rozumieć, i to w osiemdziesiąt dni. Podobno stoi taki zakład, Ale, mówiąc między nami, ja tam w to nie wierzę. Trzeba by nie mieć piątej klepki. W tym tkwi coś innego...

- To pan Fogg jest takim oryginałem?

- Ja myślę!

- Czy bogaty?

- To się wie. Wieziemy ze sobą całkiem ładną sumkę, i to w nowiutkich banknotach. A z gotówką mój pan się nie cacka. Na przykład mechanikowi z "Mongolii", jeżeli doprowadzi statek wcześniej, niż stoi w rozkładzie, obiecał taki napiwek, że Aż mi dech zapało!

- Czy od dawna zna pan swego chlebodawcę?

- Ja? Gdzie tam! Wstąpiłem na służbę w dniu wyjazdu.

Można sobie wyobrazić wrażenie, jakie uczyniły odpowiedzi Obieżyświata na rozgorączkowanym umyśle detektywa. Gwałtowny wyjazd z Londynu wkrótce po słynnej kradzieży w Banku, duża suma pieniędzy, którą podróżny wiozł ze sobą, cały ów dziwaczny wyścig z czasem i przestrzenią, wiodący zagadkowego pasażera w najodleglejsze punkty

globu, wreszcie nieprawdopodobny zakład, służący za pretekst do pośpiechu - wszystko to całkiem słusznie utwierdziło pana Fixa w powziętym mniemaniu. Sprytnie ciągnął za język rozmownego Francuza i zdołał się jeszcze dowiedzieć, że ten nie znał zupełnie pana Fogga, że pan Fogg żył w ścisłym odosobnieniu, że cieszył się opinią bogatego, choć nikt nie wiedział o pochodzeniu jego fortuny, że był to człowiek trudny do zgłębienia - i wiele innych szczegółów.

Jednocześnie, na podstawie tych wynurzeń, Fix upewnił się, że pan Fileas w Suezie na ład nie wysiądzie i rzeczywiście udaje się do Bombaju.

- Czy to daleko ten Bombaj? - spytał Obieżyświat.

- Dość daleko - odpowiedział Agent. - Około dziesięciu dni trzeba płynąć morzem.

- A gdzie to jest?

- W Indiach.

- Tam do licha! Bo widzi pan, jest jedna rzecz... która mnie gryzie... Gaz!

- Co za gaz?

- Gaz, który zapomniałem zamknąć przed wyjazdem i który teraz pali się na mój rachunek. Obliczyłem sobie, że ten interes będzie mnie kosztował dwa szylingi na dobę, jednym słowem, o sześć pensów więcej niż zarabiam. A gdy pomyślę, że się ta cała podróż przedłuży...

Czy Fix zrozumiał historię z gazem? Wydaje się to rzeczą mało prawdopodobną. Nie słuchał już gadatliwego służącego, układając w myśli plan działania. Tymczasem przybyli do bazaru. Tu Agent przypomniał swemu towarzyszowi o godzinie odjazdu "Mongolii" i pospiesznie udał się do konsulatu. Odkąd nabrał pewności, że jego przypuszczenia są słuszne, odzyskał swą zwykłą zimną krew.

- Panie konsulu - zawołał od progu - pozbyłem się resztek wątpliwości! Mam ptaszka w garści. Ten spryciarz, odstawia oryginała, który rzekomo przedsięwziął podróż dookoła świata w osiemdziesiąt dni.

- Kuty na cztery nogi! - potwierdził konsul. - Wróci potem do Londynu, wystawiwszy do wiatru policję obu kontynentów.

- To się jeszcze pokaże - rzekł Fix.

- Jednak czy pan się nie myli? - jeszcze raz spytał konsul.

- O tym mowy być nie może.

- W takim razie czemuż mu zależało na potwierdzeniu swego pobytu w Suezie?

- Nie wiem - odrzekł Fix - Ale niech pan posłucha...

I w kilku słowach powtórzył rewelacyjne szczegóły, których się dowiedział od Obieżyświata.

- To prawda - rzekł konsul - wszystkie poszlaki świadczą przeciw temu osobnikowi. Więc cóż pan zamierza?

- Przede wszystkim zadepeszować do Londynu o natychmiastowe przysłanie do Bombaju nakazu Aresztowania, potem załadować się na "Mongolię", dotrzymać kompanii memu Ananasowi Aż do Indii i tam, na gruncie Angielskim, jedną rękę położyć mu łagodnie na ramieniu, A drugą podsunąć pod nos nakaz Aresztowania.

W kwadrans po tej rozmowie pan Fix, wzięwszy lekką walizkę i wsunąwszy do portfela świeży ładunek banknotów, udał się na statek. Wkrótce szybkobieżny parowiec ruszył na wody Morza Czerwonego.

Rozdział dziewiąty

w którym Morze Czerwone i Ocean Indyjski okazują wielką przychyłność zamiarom pana Fogg

Odległość między Suezem a Adenem wynosi równe tysiąc trzysta dziesięć mil i według planu Towarzystwa winna być pokonana w ciągu stu trzydziestu ośmiu godzin.

“Mongolia” szła pełną parą i nie ulegało wątpliwości, że przybędzie do celu przed terminem.

Większość pasażerów, którzy weszli na statek w Brindisi, udawała się do Indii. Niektórzy spieszyli do Bombaju, inni przez Bombaj do Kalkuty, bo - od czasu gdy linia kolejowa przecina Półwysep Indyjski w całej jego szerokości - nie trzeba już okrążyć cypla cejlońskiego.

Wśród podróżnych znajdowało się wielu urzędników i wojskowych wszelkich stopni. Ci ostatni byli to zarówno oficerowie właściwej Armii brytyjskiej, jak i dowodzący oddziałami krajowych wojsk sepojów. [żołnierze indyjscy] Jedni i drudzy byli znakomicie uposażeni, spędzano tedy czas na pokładzie “Mongolii” w sposób przyjemny i wykwinny. Prócz urzędników państwowych było tam kilku młodych zapaleńców, którzy z milionami w kieszeni ciągnęli do Indii w zamiarach handlowych. Intendent, mąż zaufania Armatorów, dzierżący na statku władzę równą władzy kapitana, dbał o to, żeby pasażerom nie zbywało na niczym. Podczas pierwszego śniadania, podczas lunchu o godzinie drugiej, przy obiedzie o pół do szóstej i przy kolacji o ósmej - stoły uginały się od świeżego mięsiva i smakowitych przystawek dostarczanych przez kuchnie i spiżarnie parowca. Pasażerki, których było kilka na statku, przebierały się dwa razy dziennie. W przerwach między posiłkami słuchano muzyki, a nawet, gdy morze na to pozwalało, tańczono.

Lecz Morze Czerwone, jak wszystkie zatoki wąskie a wydłużone, jest kapryśne i złośliwe. Gdy dał wiatr, czy to od brzegów Azjatyckich, czy też od strony Afryki, “Mongolia” - podługowate wrzeciono opatrzone śrubą - zataczała się gwałtownie pod naciskiem bijących w burtę fal. W takich chwilach damy kryły się w kabinach, fortepiany milkły, urywały się śpiewy i tańce. A jednak statek mimo wichury, mimo wzburzonego morza, party swą potężną maszyną, zdążył bez opóźnienia do cieśniny Bab el-Mandeb.

Czymże się podczas tej podróży zajmował pan Fileas Fogg? Zapewne przypuszczacie, że niespokojny i przerażony nieprzewidzianymi harcami wiatru i morza śledził z zapartym tchem drżenie kadłuba statku, wstrząsy i skoki, które mogły przecież

stać się powodem Awarii, przymusowego postoju w przygodnym porcie i w rezultacie popsuć jego wielką grę?

Nie, ten pan nie ulegał żadnemu z powyższych wzruszeń, A w każdym razie - nie okazywał tego po sobie. Był w dalszym ciągu człowiekiem chłodnym i opanowanym, przynoszącym prawdziwy zaszczyt klubowi, do którego należał. Odnosiło się wrażenie, że nie ma takiej okoliczności, takiego wypadku, który mógłby przełamać jego obojętność. Zaiste, nie wydawał się bardziej czymkolwiek przejęty niż chronometry okrętowe. Rzadko wychodził na pokład. Morze Czerwone, bogaty skarbiec wspomnień historycznych, świadek niemowlęcego okresu ludzkości, nie nęciło jego wyobraźni. Nie wypatrywał na horyzoncie fantastycznych zarysów przedziwnych miast nadmorskich. Nigdy nie dumał o niebezpieczeństwach Zatoki Arabskiej, o których z trwogą wspominają najstarsi historycy: Strabon, Arrien, Artemidor, Edrisi, A na którą starożytni żeglarze nie ośmielali się wyruszać bez błagalnych modłów i dymów ofiarnych.

Cóż tedy porabiał ten najczcigodniejszy z dziwaków zamknięty w kabinie "Mongolii"? Przede wszystkim spożywał z Apetytem wszystkie cztery posiłki dziennie, bez względu na skoki i podrygi miotanego falami statku. Nie wyglądało na to, by jakakolwiek burza mogła rozstroić mechanizm jego znakomicie funkcjonującego organizmu. Poza tym grywał w wista. Tak jest, zdołał odkryć na statku trzech partnerów równie rozmiłowanych w tej grze, jak on sam: jakiegoś poborcę podatków jadącego na nowe stanowisko w Goa, pewnego pastora, wielebnego Decimusa Smitha, który powracał do Bombaju, i generała wojsk królewskich, który dążył do swego garnizonu w Benares. Wszyscy trzej oddawali się grze w wista z równą pasją, jak pan Fogg, i nie wstawali od stolika całymi godzinami.

Także i do Obieżyświata choroba morska nie miała przystępu. Zajmował kabinę na przodzie okrętu i tak samo, jak jego pan, zmiatał sumiennie wszystkie dania, które mu przynoszono. Przyznawał w duchu, że podróż w podobnych warunkach nie ma w sobie nic przykrego. Zaczynał wręcz chwalić sobie to wszystko. Jadło się tu niezgorzej, dobrze spało, przy tym można było pogapić się na ciekawe rzeczy, A zresztą pocieszał się, że cała ta Awantura skończy się prawdopodobnie w Bombaju.

Nazajutrz po wyruszeniu z Suez, 10 października, nie bez przyjemności spotkał na pokładzie owego uprzejmego pana, do którego zwrócił się był po wylądowaniu w Egipcie, szukając konsulatu.

- Chyba mnie oczy nie mylą! - zakrzyknął uśmiechając się szeroko do pana Fixa. - Przecie to pan oprowadzał mnie tak grzecznie po Suezie!

- Prawda, i ja poznaję... - odpowiedział Agent. - Jest pan, zdaje mi się, na służbie u tego oryginała z Londynu...

- Zgadza się, panie...

- Fix.

- Otóż to, panie Fix... Okropniem rad, że tu pana widzę. To i pan dokądś płynie?

- Tam gdzie i pan: do Bombaju.

- Świetnie się składa! Czy pan już kiedy próbował tej przejażdżki?

- Niejednokrotnie - odparł detektyw. - Jestem Agentem "Towarzystwa Żeglugi Wschodnio-Indyjskiej".

- To pan zapewne zna Indie?

- No... naturalnie... - mruknął Fix, który nie chciał za daleko posunąć się w kłamstwie.

- Jest tam co ciekawego w tych Indiach?

- Jest wiele rzeczy ciekawych: meczety, minarety, świątynie, fakirzy, pagody, tygrysy, węże, bajadery! Miejmy nadzieję, że nie zabraknie panu czasu, żeby to wszystko obejrzeć.

- Niby i ja mam tę nadzieję, proszę pana. Człowiek ze wszystkimi klepkami w głowie nie powinien spędzać swego żywota na skakaniu z parowca na pociąg i z pociągu na parowiec pod głupim pretekstem, że chodzi o podróż dookoła świata w osiemdziesiąt dni. Tego nie lubię! Ale niech się pan nie boi, te łamańce skończą się w Bombaju, żebyś tak zdrów był.

- A jakże się czuje pan Fogg? - spytał uprzejmie pan Fix.

- Jak najlepiej, dziękuję panu. I ja też, chwalić Boga, niezgorzej. Apetycik mam, nie przymierzając, jak ludożerca na czczo. A wszystko przez to morskie powietrze!

- Ale pańskiego chlebodawcy jakoś na pokładzie nie widać.

- To prawda. Jaśnie pan nie jest ciekawy.

- Wie pan, co mi chodzi po głowie? Że cała ta rzekoma podróż naokoło świata może kryć w sobie jakąś sekretną misję... Misję dyplomatyczną na przykład.

- Nic o tym nie wiem - wyznał Obieżyświat. - I między nami mówiąc, nie dałbym Ani pół korony za zdobycie tej tajemnicy.

Odtąd Obieżyświat i Fix często ze sobą gawędzili. Inspektorowi zależało na tym, aby zacieśnić znajomość ze służącym pana Foggą; w pewnym momencie mogło się to przydać. Ciągnął go tedy przy każdej okazji do baru, tam stawiał wódkę lub jasne piwo, a Obieżyświat przyjmował to bez ceregieli. Raczyli się zresztą wzajemnie, bo lokaj nie chciał

pozostać mu dłużnym, A poza tym nabierał do swego kompana coraz więcej przekonania i sympatii.

Tymczasem statek szybko mknął naprzód. 13 października ujrano Mokkę otoczoną pasem rozsypujących się murów, od których odbijała świeża zieleń palm daktylowych. Z dala, wśród gór, ciągnęły się plantacje kawy. Obieżyświat ucieszył się widokiem sławnego miasta, A nawet dowodził, że krąg jego murów i na pół zburzona baszta - stercząca niby ucho dzbana - do złudzenia przypominają filiżankę do czarnej kawy.

- Też nocy przebyto cieśninę Bab el-Mandeb, co po Arabsku znaczy "Brama Łez". Nazajutrz "Mongolia" zawinęła do Steamer-point, na północo-zachód od redy Adenu. Miała się tam zaopatrzyć w paliwo, co z dala od ośrodków węglowych jest sprawą niezwykle trudną. Trzeba było w wielu portach świata założyć swego rodzaju spiżarnie. Na tych oddalonych morzach płaci się osiemdziesiąt franków za tonę węgla. Samo tylko "Towarzystwo Żeglugi Wschodnio-Indyjskiej" łoży na ten cel rocznie osiemset tysięcy funtów, inaczej mówiąc - dwadzieścia milionów franków w złocie.

"Mongolia" miała jeszcze przed sobą tysiąc sześćset pięćdziesiąt mil drogi, A cztery godziny musiała poświęcić na postój w Steamer-point, Aby zapełnić węglem swoje składy. Zwłoka ta była przewidziana i w niczym nie szkodziła planom pana Fogga. W dodatku parowiec przybył do Adenu nie 15 października rano, jak przewidywał oficjalny rozkład, Ale już 14 wieczorem. Zyskiwało się przez to piętnaście godzin czasu.

Pan Fogg i jego lokaj zeszli na ląd z zamiarem poświadczenia paszportu. Fix posuwał się w pewnej odległości za nimi. Natychmiast po załatwieniu formalności pan Fileas wrócił na pokład i zasiadł do przerwanej partii wista.

Obieżyświat został w mieście i, swoim zwyczajem, włóczył się wśród tłumu Somalisów, Parsów - wyznawców Zaratustry, Żydów, Arabów i Europejczyków tworzących dwudziestopięćdziesiątą masę ludności Adenu. Podziwiał silne fortyfikacje, które czynią z tego miasta istny Gibraltar wód indyjskich.

- Ciekawe, bardzo ciekawe! - mrucał do siebie Obieżyświat wracając na statek. - Widać, że i podróże są coś warte, jeśli się pragnie zobaczyć nowe rzeczy.

Już o szóstej po południu "Mongolia" biła skrzydłami swej śruby wodę redy Adenu i wkrótce statek znalazł się na Oceanie Indyjskim. W ciągu stu sześćdziesięciu ośmiu godzin powinien był pokonać przestrzeń dzielącą go od Bombaju. Morze sprzyjało żegludze. Utrzymywał się wiatr północno-zachodni, co pozwoliło użyć dodatkowo żagli. Statek znalazł mocniejsze oparcie i kołysanie prawie ustało. Zaraz też wylegli na pokład wyświeżeni pasażerowie. Znow zaczęły się koncerty i bale. Podróż odbywała się w

sprzyjających warunkach. Zadowolony był zwłaszcza Obieżyświat i bardzo sobie chwalił towarzystwo Fixa, które mu zesłał łaskawy przypadek.

Okolo południa, w niedzielę 20 października, ujrano brzegi Indii. W dwie godziny później na pokład wszedł pilot. W dali, na horyzoncie, wzgórza zlewały się łagodnie z błękitnym tłem nieba. Wkrótce można już było rozróżnić sylwetki palm. Statek wsunął się do naturalnej redy utworzonej przez wyspy Salcette, Colaba, Elephanta i Butcher. O czwartej trzydzieści przybił do mola w porcie Bombaju.

Fileas Fogg skończył Akurat trzydziestego trzeciego robra w tym dniu. On i jego partner, dzięki mistrzowskiemu zagranu, wzięli wszystkie trzynaście lew i, jakby na ukoronowanie pięknej podróży, zapisali sobie licytowanego szlema.

Zamiast 22 października "Mongolia" zawijała do Bombaju dwudziestego. Stanowiło to w całości trasy Londyn - Bombaj zysk dwóch dni, których pan Fogg nie omieszkiał wpisać w odpowiednią rubrykę.

Rozdział dziesiąty

w którym Obieżyświat czuje się szczęśliwy, że stracił jedynie parę butów

Wiadomo powszechnie, że Indie - ów odwrócony trójkąt, którego podstawa leży na północy, a szczyt na południu - zajmują obszar o powierzchni miliona czterystu tysięcy mil kwadratowych i że mieszka na tym terenie ludność składająca się ze stu osiemdziesięciu milionów głów (dane z drugiej połowy XIX w.).

Rzeczywista władza Administracji Angielskiej rozciąga się jedynie na część tego olbrzymiego terytorium. Kalkuta jest siedzibą gubernatora generalnego. W Madrasie, w Bombaju, w Bengalu siedzą gubernatorzy prowincjonalni, a w Agrze - zarządca.

Właściwie Indie Angielskie mają siedemset tysięcy mil kwadratowych powierzchni i sto do stu dziesięciu milionów ludności (dane z drugiej połowy XIX w.). Jak widać, spory kawał tego kraju wymyka się dotychczas spod władzy królewskiej; w głębi Półwyspu Indyjskiego panują jeszcze butni i srodzy radzowie [książęta] całkowicie niezależni od Anglików.

Począwszy od roku 1756 - kiedy to w miejscu, gdzie dziś wznosi się miasto Madras, postawiono pierwszy urzędowy budynek Angielski - aż do wybuchu wielkiego powstania sepjów najpotężniejszym organem władzy Angielskiej była tutaj tak zwana Kompania Wschodnio-Indyjska. Skupując od radzów coraz to nowe tereny i płacąc za nie mało lub nic, Kompania opanowywała prowincję po prowincji. Mianowała własnego gubernatora i wszystkich urzędników zarówno cywilnych, jak i wojskowych; od pewnego wszakże czasu Kompania Wschodnio-Indyjska przestała istnieć i posiadłości Angielskie w tym kraju należą bezpośrednio do Korony.

Równocześnie wygląd półwyspu, obyczaje i stosunki zmieniają się z każdym dniem. Poprzednio przenoszono się tu z miejsca na miejsce, zadowolając się starożytnymi środkami lokomocji: pieszo, konno, na wozie, w lektyce, palankinie, [lektyka] na grzbiecie ludzkim, w powozie i tak dalej.

Obecnie po rzekach Indus i Ganges uwijają się szybkie parostatki, a cały kraj pokrywa bogato rozgałęziona sieć kolejowa, dzięki której z Bombaju do Kalkuty można się dostać w ciągu trzech dni.

Odległość między tymi dwoma miastami w linii prostej wynosi nie więcej niż tysiąc do tysiąca stu mil i pociąg średniej szybkości nie potrzebowałby aż trzech dni, aby ją przebyć. Lecz odległość ta zwiększa się przynajmniej o jedną trzecią z powodu łuku, który opisują szyny dążące na północ półwyspu do Allahabadu.

Oto, z grubsza biorąc, główne punkty, przez które przechodzi magistrala kolejowa Półwyspu Indyjskiego: po opuszczeniu Bombaju przecina Salcette, wbiega na kontynent na wysokość Tannah, pokonawszy łańcuch Ghatów Zachodnich kieruje się na północ-wschód ku Burhanpur, mknie prawie niepodległym terytorium Bundelkundu, wspina się Aż do Allahabadu, potem zwraca się na wschód i spotyka Ganges w Benaresie; ucieka z tych stron w kierunku południowo-wschodnim, poprzez Burdwan i francuskie miasto Czandarnagar, Aby wypaść w końcu na prosty szlak zdążający do Kalkuty.

O wpół do piątej pasażerowie "Mongolii" wylądowali w Bombaju; pociąg do Kalkuty odchodził o godzinie ósmej.

Pan Fogg, rozstawszy się ze swymi partnerami, zszedł ze statku, polecił służącemu poczynić konieczne zakupy i przypomniał mu, że przed ósmą powinien znaleźć się na dworcu. Potem miarowym krokiem, który rozlegał się w ciszy jak bicie zegara, oddalił się w kierunku biura paszportowego. Cuda Bombaju nie nęciły jego wyobraźni: Ani ratusz, Ani przepyszne zbiory biblioteczne, Ani forty, Ani doki, Ani nawet sławny targ na bawełnę, Ani bazary, meczety, synagogi, świątynie Armeńskie, wspaniała pagoda dzielnicy Malabar Hill, zdobna w dwie graniaste wieżyce - nic nie pociągało naszego dżentelmena. Wzgardził Arcydzielniami sztuki na Wyspie Elephanta i tajemniczymi grobowcami, ukrytymi w jej podziemiach na południowo-wschodniej stronie wybrzeża, jak również grotami kanheryjskimi na wyspie Salcette, które są wspaniałymi zabytkami Architektury buddyjskiej.

Tak, pan Fogg wzgardził tym wszystkim. Gdy zamknęły się za nim podwoje konsulatu, ruszył na dworzec i tam w bufecie zamówił obiad. "Maitre d'hotel" [starszy kelner] namówił go na spożycie potrawki z miejscowego królika. Zalecał ją jako specjał.

Pan Fileas zgodził się, Ale gdy z powagą skosztował przyniesionego dania, uznał je za niejadalne mimo sosu mocno przyprawionego korzeniami. Przywołałszy kelnera, wycedził:

- Czy to miał być królik?

- Ja myślę! - odparł bezczelnie dostojnik w białym fartuchu. - Prawdziwy królik z dżungli.

- Czy ten królik nie miauczał, gdy go zabijano?

- Miauczał! Milordzie! Królik? Daję słowo...

- Mój panie! - oświadczył zimno pan Fogg. - Niech pan nie szafuje swoim słowem i zapamięta sobie, co następuje: był czas, gdy koty uważano w Indiach za stworzenia nietykalne. Były to dobre czasy.

- Dla kotów, jasnie panie?

- I dla podróżnych również! - wyjaśnił krótko pan Fogg i zabrał się z powrotem do obiadu.

W chwilę po zejściu na ląd pana Fogg opuścił także statek inspektor Fix i pobiegł śpiesznie do naczelnika policji w Bombaju. Przedstawił odpowiednie papiery świadczące, że jest detektywem, któremu powierzono taką A taką misję, i skreślił zwięźle historię pościgu za odkrytym na "Mongolii" złoczyńcą. Spytał, czy z Londynu nadszedł już nakaz Aresztowania. Okazało się, że nakazu nie ma. Było to w gruncie rzeczy zrozumiałe, że papier, który wysłano dopiero po odjeździe Fogg, nie miał jeszcze czasu dojść do celu.

Ale Fix był zbity z tropu. Usiłował wydobyć nakaz od miejscowego naczelnika policji. Ten odmówił. Twierdził, że to sprawa dyrekcji londyńskiej i że tylko stamtąd może legalnie wyjść tego rodzaju polecenie. Fix pojął, że nic nie wskóra, i zdecydował się czekać na nakaz.

W każdym razie postanowił nie tracić z oczu tajemniczego ptaszka podczas jego pobytu w Bombaju. Wspominając wynurzenia Obieżyświata, miał nadzieję, że pan Fogg zatrzyma się w tym mieście dostatecznie długo, Aby rozkaz policji londyńskiej miał czas nadejść.

Co do Obieżyświata, ten, na podstawie ostatnich poleceń swego pana, pojął nareszcie, że z popasem w Bombaju będzie tak samo, jak było z pobytem w Paryżu i w Suezie, słowem, że o zakończeniu szalonej podróży w tym mieście nie ma mowy i że przeciągnie się ona Aż do Kalkuty, A kto wie, czy nie dalej. Zaczął się zastanawiać, czy ów słynny zakład nie miał miejsca naprawdę i czy fatalność nie zadrwiła zeń okrutnie, rzucając jego, człowieka, który marzył tylko o zacisznym kącie, w osiemdziesięciodniową Awanturę i wlokąc go w najdalsze strony świata.

Należało czekać na rozwój wypadków. Tymczasem zakupił potrzebną bieliznę i zaczął spacerować po ulicach Bombaju. Zapełniał je gwarny tłum Europejczyków wszystkich narodowości, Persów w spiczastych myckach, Bunhyów w okrągłych zawojach, Sindusów w czworokątnych beretach, Armeńczyków w długich szatach i Parsów w czarnych, wysokich jak mitry czapach. Okazało się, że tego dnia było święto Parsów, czyli Gebrów, bezpośrednich spadkobierców starożytnego wyznania Zaratustry, rasy wśród różnorodnych plemion hinduskich najinteligentniejszej i najbardziej cywilizowanej, Ale też najbardziej wrogiej białym. Z niej to wywodzą się bogaci kupcy dzisiejszego Bombaju.

Obchodzono właśnie rodzaj karnawału religijnego, z procesją i różnymi Atrakcjami. Najbardziej nęciły oczy bajadery w różowych, srebrem i złotem przetykanych gazach. Przy

odgłosie tam-tamów i dźwięku wioli tańczyły przepięknie, bez cienia zalotności zresztą. Obieżyświat gapił się na to i miał minę nie najlepiej świadczącą o jego inteligencji: po prostu zgłupiał wobec tej cudnej sceny, wytrzeszczył oczy i rozdziawił gębę. W rezultacie tak się zapamiętał w podziwianiu miejscowego folkloru, że, jak się niżej okaże, omal nie pokrzyżował planów swego pana.

Nasyciwszy się widokiem niezwyklej procesji, ruszył w kierunku dworca. Nieszczęście chciało, że mijając w dzielnicy Malabar Hill przepiękną świątynię, powziął nagle zamiar zwiedzenia jej wnętrza. Biedak nie miał pojęcia o dwóch rzeczach: najpierw, że wejście do niektórych świątyń hinduskich jest surowo zabronione chrześcijanom, a po wtóre, że nawet wchodzący tam krajowcy muszą przed drzwiami zostawiać obuwie. Zaznaczamy przy okazji, że rząd Angielski wydał prawo surowo karzące każdego, kto by odważył się złamać czy obrazić religijne przepisy hinduskie.

Obieżyświat w naiwności ducha przestąpił próg świątyni i z rozkoszą prawdziwego turysty oddał się oglądaniu przedziwnej ornamentacji ścian pułapu. W tym momencie został obalony na święte płyty kamiennej posadzki. Zamachu tego dokonali trzej rozwścieczeni kapłani. Okładając biedaka kułakami i dziko wrzeszcząc, zaczęli mu zdzierać z nóg buty i skarpetki.

Na szczęście Francuz był mocny jak tur i żwawy w ruchach. Porwał się na równe nogi, otrząsnął z siebie dwóch napastników, którzy zaplątali się niefortunnie w nazbyt długie szaty, i pomagając sobie zarówno pięściami, jak nogami, wyskoczył za próg świętego miejsca. Uciekał co sił w nogach i wkrótce zostawił daleko w tyle trzeciego kapłana, który biegł za nim i podjudzał tłum.

Pięć minut przed ósmą, na kilka chwil zaledwie przed odejściem pociągu, bez kapelusza i bez butów, zgubiwszy w bijatyce paczkę ze sprawunkami, zziąjany lokaj wpadł na dworzec.

Na peronie znajdował się już pan Fix, który przez cały dzień deptąc po piętach Foggowi, doszedł do rozpaczliwego wniosku, że spryciarz rzeczywiście zamierza opuścić Bombaj. Fix bez wahania zdecydował się jechać za nim do Kalkuty, a nawet dalej, jeżeli zajdzie potrzeba.

Obieżyświat nie zauważył Agenta ukrywającego się w cieniu, za to pan Fix nie stracił ani słowa z krótkich a dramatycznych zeznań, które lokaj złożył swemu panu.

- Mam nadzieję, że to się już nie powtórzy - rzekł krótko pan Fileas wchodząc do jednego z wagonów.

Obieżyświat, boso, upokorzony i skonfundowany, wsunął się za nim. Natomiast Fix, który już trzymał nogę na stopniach, doznał nagłego olśnienia i raptownie zmienił zamiar.

- Nie - szepnął w duchu - ja zostaję! Przesłstwo popełnione na terytorium indyjskim... Tego mi było potrzeba! Teraz się nie wywiniesz, kochanku!

W tej chwili parowóz gwizdnął przeraźliwie i pociąg wkrótce zniknął w mrokach nocy.

Rozdział jedenasty

w którym pan Fogg płaci bajeczną cenę za niezwykłego wierzchowca

Pociąg odszedł według rozkładu. Wiózł niezbyt liczną grupę podróżnych: kilku wojskowych, urzędników oraz paru handlarzy opium i indygo. W przedziale, w którym jechali Obieżyświat i jego pan, znajdował się jeszcze trzeci pasażer, generał sir Francis Cromarty. On to, jadąc do swego garnizonu w okolicach Benaresu, był przez cały czas podróży z Suezu do Bombaju wytrwałym partnerem pana Fogga w wiście.

Wysoki blondyn, liczący około pięćdziesiątki, generał Cromarty dał się poznać w czasie tłumienia rozruchów sepojów. Można go było uważać prawie za tubylca. Przebywał w Indiach od lat młodszych, w Anglii pojawiał się rzadko, w wyjątkowych okazjach. Był człowiekiem znającym dokładnie obyczaje, historię i organizację narodu hinduskiego i chętnie podzieliliby się swymi wiadomościami z panem Fileasem, gdyby ten ostatni zdradził choćby najmniejszą chęć słuchania. Ale pan Fileas nie był nigdy niczego ciekaw. Rzec można, nie podróżował, raczej zakreślał sobą obwód koła. Był po prostu pewnym ciałem stałym posuwającym się po orbicie kuli ziemskiej zgodnie ze znanym prawem mechaniki. W tej chwili sumował w myśli czas zużyty od wyjazdu z Londynu i w wyniku tych refleksji byłby niezawodnie zatarł z radością ręce, gdyby w jego naturze istniała możliwość uczynienia jakiegokolwiek zbędnego gestu.

Sir Francis Cromarty od dawna uznał swego towarzysza podróży za rzadki okaz oryginała, choć mógł go obserwować jedynie z kartami w ręku i w krótkich przerwach między jednym a drugim robrem. Pytał się w duchu, czy pod tą chłodną powłoką biło w ogóle ludzkie serce, czy drgało tam jakieś żywsze uczucie, na przykład w obliczu piękna przyrody, czy istniały w tym Automacie jakiegokolwiek wyższe dążenia i cele. Generał skłonny był o tym wątpić. Żadnego ze znanych mu dziwaków nie można było porównać z tą bezduszną indywidualnością - produktem nauk ścisłych.

Fileas Fogg nie krył przed oficerem Ani zamiaru objechania kuli ziemskiej, Ani niezwykłych warunków, w których miała się odbyć podróż. Cromarty widział w tym zakładzie jedynie dziwactwo pozbawione godziwej intencji, Awanturę, której nie mogła przyświecać szlachetna dewiza każdego porządnego człowieka: "transire bene faciendo" (łac. - iść przez życie, czyniąc dobrze). Pan Fileas Fogg przebędzie najwidoczniej drogę swego żywota, nie uczyniwszy nic dobrego, Ani dla siebie, Ani dla innych.

W godzinę po opuszczeniu Bombaju pociąg wjechał na wiadukt, przebył wyspę Salcette i znalazł się na kontynencie. Minąwszy Kalian, zostawił po prawej stronie odnogę

kolejową, która przez Kandallah i Pune schodzi ku południowo-wschodnim rubieżom kraju, i dotarł do stacji Pauwell. Zostawiwszy ją za sobą, zapuścił się w spiętrzone na wielkiej przestrzeni Ghaty Zachodnie, bazaltowe góry, których najwyższe nawet szczyty okryte są gęstwą lasów. W przedziale od czasu do czasu padały skąpe słowa, rozmowa utykała. Generał uczynił jeszcze jeden wysiłek, żeby ją podtrzymać.

- Kilka lat temu - rzekł - napotkałby pan w tej okolicy przeszkodę, która zapewne obróciłaby wniwecz pańskie plany.

- Jaką przeszkodę? - spytał pan Fileas.

- Oto linia kolejowa urywała się u podnóża tych gór i trzeba je było przebywać na grzbiecie górskich koników albo w palankinie aż do stacji Kandallah po drugiej stronie łańcucha.

- Zwłoka tego rodzaju nie mogłaby w żadnym razie wpłynąć na przebieg mojej podróży. Podobne przeszkody przewidziałem.

- Ale przychodzi mi na myśl - podjął po chwili generał - że może się panu zwalić na kark diablo przykra sprawa w związku z przygodą pańskiego służącego.

Obieżyświat spał w najlepsze z nogami obwiniętymi kocem i nawet mu się nie śniło, że o nim mowa. Tymczasem Cromarty ciągnął:

- Gubernator Angielski jest nieubłagany w wypadku przekroczeń podobnej natury i ma zresztą rację. Kładzie szczególny nacisk na to, aby szanowano hinduskie zwyczaje religijne. Więc gdyby służący pański został przychwycony...

- Cóż z tego? - przerwał pan Fogg. - Gdyby go przychwycono, zostałby skazany, odsiedziałby swoją karę i wróciłby najspokojniej do Europy. Nie widzę przyczyn, dla których sprawa ta mogłaby obchodzić jego pana.

Rozmowa znów się urwała. W nocy pociąg przedostał się na drugą stronę Ghatów, minął miasto Nasik i nazajutrz, 21 października, zaczął posuwać się przez nizinny kraj, należący do prowincji Czandesz. Ziemia była tu starannie uprawiona, sioła zasobne, z charakterystycznymi świątyniami, w których minarety zastępowały dzwonnice kościołów europejskich. Mnóstwo strumieni, wpadających do Godaweri, znakomicie nawadniało żyzną krainę.

Obieżyświat ocknął się i przez pewien czas nie mógł uwierzyć, że znajduje się w pociągu pędzącym przez Półwysep Indyjski. Wydawało mu się to czymś nieprawdopodobnym, a jednak było rzeczywistością. Dym parowozu snuł się po plantacjach bawełny, kawy, czerwonego pieprzu, po drzewach muszkatowych i goździkowych. Kłęby pary kładły się na grupach palm, wśród których widać było

malownicze bungalowy, stare, często opuszczone klasztory i przedziwne świątynie, pokryte misternymi i przepyszными ornamentami, tak charakterystycznymi dla Architektury hinduskiej. Naokoło ciągnęły się nie objęte dla oka przestrzenie, dżungle zamieszkane przez węże i tygrysy, które płoszył w legowiskach gwizd pociągu, lasy przecięte szynami, A nawiedzane jeszcze przez słonie, które teraz uważnym okiem spoglądały na trzęsący się, hałaśliwy sznur wagonów.

W godzinach rannych, zostawiwszy za sobą stację Malligaum, podróżni znaleźli się w ponurych okolicach, niejednokrotnie zroszonych krwią przez wyznawców okrutnej bogini Kali. Nie opodal znajdowało się miasto Eluru, słynne ze swoich świątyń, A także Aurangabad, ongiś stolica okrutnego Aureng Zeba - dziś zaledwie główne miasto jednej z prowincji oderwanych od Królestwa Nizama. W tych okolicach sprawował niegdyś bezlitosną władzę Feringhee, wódz Thugów, głośny król Dusicieli, potajemnej A nieuchwytniej sekty, która mordowała swe ofiary na cześć bogini śmierci, Kali.

O wpół do pierwszej pociąg przystanął w Burhanpur. Skorzystał z tego Obieżyświat i za grube pieniądze kupił parę pantofli przyozdobionych szklanymi paciorkami. Włożył je nie ukrywając zadowolenia. Podróżni posilili się naprędce i pociąg odjechał do stacji Assurghur, posuwając się czas jakiś brzegiem rzeczki Tapti, która nie opodal Suratu wpada do Zatoki Kambajskiej.

Nie będzie od rzeczy poznać teraz myśli, które przebiegały przez głowę Obieżyświata. Aż do przyjazdu do Bombaju łudził się, że cała Awantura na tym się skończy. Ale teraz, od czasu, gdy pełną parą pędził przez Indie, w umyśle lokaja dokonał się raptowny zwrot. Stara natura odezwała się znowu, poczuł się jak koń cyrkowy na Arenie. Odżyła naraz cała fantazja lat młodzieńczych. Obieżyświat zaczął brać poważnie zamiary swego pana, uwierzył w rzeczywistość zakładu, A więc i w ową podróż dookoła świata, która miała trwać w ciągu ściśle określonego czasu. Z góry już troskał się o możliwe spóźnienia i wypadki. Poczuł się jakby osobiście zainteresowany w szalonej grze i pot mu wystąpił na czoło, gdy wspomniał, że mógłby ją bezpowrotnie zepsuć przez swoje wczorajsze gapiostwo. Będąc o wiele mniej opanowanym od pana Fogga, okazywał o tyleż więcej niepokoju. Przeliczał raz po raz dni, które już upłynęły, przeklinał każdy postój pociągu, A nawet oskarżał w duchu pana Fogga, że ten nie przyobiecał mechanikowi odpowiedniego napiwku. Nie wiedział poczciwiec, że to, co było możliwe na parostatku, stawało się wykluczone w pociągu przebiegającym trasę ściśle według rozkładu jazdy.

Pod wieczór zagłębiono się w góry Satpura, których wyniosłe grzebienie oddzielają prowincję Czandesz od Bundelkundu. Gdy nazajutrz, 22 października, sir Francis

Cromarty zapytał Obieżyświata o godzinę, ten spojrzął na zegarek i odpowiedział, że jest trzecia nad ranem. Sławetny czasomierz, idący w dalszym ciągu według południka Greenwich, który oddalony jest stąd mniej więcej o 77) na zachód, spóźniał się oczywiście o cztery godziny.

Sir Francis ustalił właściwy czas, a co do zegarka Obieżyświata uczynił tę samą uwagę, którą kiedyś zrobił już detektyw Fix. Starał się wytłumaczyć upartemu Francuzowi, że ponieważ posuwają się ku wschodowi, to znaczy na spotkanie słońca, dzień z każdym przebytym stopniem geograficznym staje się krótszy o cztery minuty i że wobec tego Obieżyświat powinien regulować swój zegarek według każdego nowego południka. Ale perswazje generała na nic się nie zdały. Nie wiadomo, czy lokaj pojął wykład pana Cromarty, czy nie - w każdym razie uparł się, by nie posuwać zegarka naprzód, i trzymał się czasu obowiązującego w Londynie. Niewinne było to dziwactwo, które w gruncie rzeczy nie mogło nikomu zaszkodzić.

O ósmej z rana, piętnaście mil przed stacją Rothal, pociąg zatrzymał się na obszernej polanie, którą otaczało kilka bungalowów i robotniczych lepianek. Dał się słyszeć głos konduktora przechodzącego wzdłuż wagonów:

- Wsiadać! Proszę wsiadać!

Fileas Fogg spojrzął na Francisca Cromarty, który zdawał się nie rozumieć, co znaczy ten nagły przystanek wśród lasu tamaryndowców. Obieżyświat, nie mniej zdumiony, wyskoczył na peron i po chwili wrócił z dziwną wiadomością:

- Jaśnie panie, jazda skończona!

- Cóż to znaczy? - spytał Cromarty.

- To znaczy, że pociąg dalej nie idzie.

Generał wysiadł. Pan Fogg udał się za nim bez zbytniego pośpiechu. Na peronie zatrzymali konduktora.

- Gdzie się znajdujemy? - zadał mu pytanie Cromarty.

- W wiosce Czolby - odpowiedział funkcjonariusz.

- I nie jedziemy dalej?

- Nie. Linia jeszcze nie wykończona...

- Jak to? Linia nie wykończona?

- Ano, jeszcze spory kawałek do zrobienia. Całe pięćdziesiąt pięć mil aż do Allahabadu.

- A dlaczego pisano w gazetach o otwarciu całej linii?

- Widać gazety się pomyliły, panie generale.

- I wy mimo to sprzedajecie bilety z Bombaju do Kalkuty? - zaczynał się gorączkować generał.

- Owszem, Ale podróżni wiedzą, że z Czolby do Allahabadu muszą dostać się własnym przemysłem.

Sir Francis poczerwieniał z gniewu. Obieżyświat miał ochotę zatłuc konduktora, który był zresztą w całej sprawie całkiem niewinny. Strapiony lokaj bał się podnieść oczy na swego pryncypała.

Wówczas dał się słyszeć spokojny głos pana Fogga:

- Sir Francis, chodźmy rozejrzeć się w możliwościach przejazdu do Allahabadu.

- Drogi panie! - wybuchnął wojskowy. - Czyż pan jeszcze nie pojął, że ta głupia historia zaważy na pańskich interesach?

- Nie zaważy. To było przewidziane.

- Co? Przewidział pan, że ta linia nie jest...

- Tego nie byłem w stanie przewidzieć. Ale wiedziałem od początku, że prędzej czy później jakaś przeszkoda znajdzie się na mojej drodze. A więc nic straconego. Mam w zapasie dwa dni, które zyskałem dotychczas i które mogę teraz poświęcić. Parostatek z Kalkuty do Hongkongu odchodzi 25 października. Dziś mamy dopiero dwudziesty drugi, więc zdążymy na czas.

Trudno było oponować wobec tej pewności siebie i takiego zdecydowania. Było jasne jak dzień, że roboty przy torze urywały się w tym właśnie miejscu. Gazety, tak jak niektóre zegarki, mają manię przyspieszania czasu i tym razem też przedwcześnie podały nowinę o wykończeniu linii. Większość podróżnych wiedziała, że pociąg zatrzymuje się w tym miejscu, i zapewniła sobie zawczasu najrozmaitsze środki lokomocji, których mogła dostarczyć mała miescina; zajęto tedy wszystkie czterokołowe "palkingharis", wózki ciągnięte przez zebu, rodzaj bawołów o jednym garbie, podróżne wozy przypominające ruchome pagody, palankiny, konie górskie i tak dalej. Panowie Fogg i Cromarty na próżno przetrząsnęli całą miescinę w poszukiwaniu jakiego bądź wehikułu.

- Pójdę pieszo - oświadczył wówczas pan Fileas.

Obieżyświat zbliżył się właśnie i słysząc, co mówi jego pan, z wymownym skrzywieniem spojrzął na swoje obuwie, stanowczo nie nadające się do marszu, Acz skądinąd wspaniałe. Na szczęście i on ze swej strony przeszukał osiedle. Z pewnym wahaniem odezwał się:

- Za pozwoleniem jaśnie pana... Zdaje się, że znalazłem coś, co by nas mogło wyprowadzić z kabały.

- Cóż to takiego?

- Słoń! Należy on do pewnego Hindusa, który mieszka o sto kroków stąd.

- Zobaczymy więc tego słonia - zawyrokował pan Fileas.

W pięć minut potem stali przed wysokim ogrodzeniem, do którego przylegała trzciniowa chata. W chacie mieszkał Hindus, a za płotem widać było słonia. Na prośbę podróżnych Hindus wprowadził pana Foggę i jego towarzyszy za ogrodzenie.

Znaleźli się przed wspaniałym zwierzęciem, w pół oswojonym, które Hindus chował dla celów wojennych. Tresował je z piekielną przebiegłością, dążąc cierpliwie do odmienienia charakteru zwierzęcia, z natury łagodnego. Co pewien czas pobudzał je do paroksyzmów wściekłości, a osiągał to najprostszym w świecie sposobem: w ciągu trzech miesięcy karmił słonia masłem i cukrem. Ta słodka dieta przynosi, wbrew pozorom, nieoczekiwane rezultaty, bo stopniowo potęguje zdenerwowanie zwierzęcia i wreszcie doprowadza je do paroksyzmów wściekłości, zwanych po hindusku "mutsh". Wszyscy doświadczeni hodowcy uciekają się do tej metody. Szczęściem dla pana Foggę, słonia, o którym mowa, zaczęto dopiero poddawać temu systemowi i jak dotąd nie objawiał on jeszcze skutków perfidnej hodowli. Kiuni, bo takie nosił imię, mógł z łatwością - jak zresztą wszystkie słonie - wytrzymać długotrwały i szybki bieg. Pan Fogg nie miał innego wierzchowca na widoku, więc nie namyślał się długo. Ale słonie, coraz radsze na terenie Indii, mają w tym kraju wysoką cenę. Specjalnie poszukiwane są samce, bo jedynie one nadają się do walk w cyrkach. Słonie w niewoli rozmnażają się bardzo rzadko, tak że tylko polowanie dostarcza handlarzom tego towaru. Oto dlaczego otacza się je wielką pieczołowitością i nie należy się dziwić, że Hindus, zagadnięty przez pana Foggę o wypożyczenie zwierzęcia na jakiś czas, odmówił dżentelmanowi krótko i stanowczo.

Anglik natychmiast zaproponował nadzwyczajne wynagrodzenie: dziesięć funtów, czyli dwieście pięćdziesiąt franków w złocie za każdą godzinę. Hindus poruszył przecząco głową. Dwadzieścia funtów? Znowu odmowa. Czterdzieści funtów? Hindus ani drgnął. Za to Obieżyświat podskakiwał przy każdym skoku ceny. Ofiarowana suma była rzeczywiście niezwykła, jednak hodowca nie dawał się skusić. Przypuśćmy, że słoń zużyje piętnaście godzin, aby dotrzeć do Allahabadu. Hindus wyciągnie wówczas z całej tej awantury sześćset funtów.

Prowadząc dziwaczny targ, Fileas Fogg nie zdradzał żadnej emocji. Nagle z zimną krwią zaproponował Hindusowi kupno słonia za tysiąc funtów, czyli dwadzieścia pięć tysięcy franków w złocie.

Ale Hindus nie uległ pokusie. Może zwęszył jeszcze wspanialsze możliwości. Cromarty odciągnął pana Foggę na bok, tłumacząc mu, że powinien dobrze się namyślić przed dalszymi ustępstwami. Pan Fileas odparł, że po pierwsze, nie zwykł nic czynić bez namysłu; po drugie, chodzi tu o zakład wartości dwudziestu tysięcy funtów, a słoń jest niezbędny do jego wygrania, i po trzecie, że nabędzie to zwierzę, choćby miał dwudziestokrotnie przepłacić jego wartość. Wrócili więc do Hindusa. Płonące pożądliwością oczka tego człowieka świadczyły aż nadto wyraźnie, że chodzi mu tylko o cenę. I tak pan Fileas ofiarowywał kolejno: tysiąc dwieście funtów, tysiąc pięćset, tysiąc osiemset i wreszcie dwa tysiące funtów. Hindus ustąpił. Obieżyświat, zazwyczaj rumiany, pod koniec tej transakcji był blady jak płótno.

- Na moje piękne pantofle! - wykrzyknął. - Ileż w takim razie musi kosztować kilogram słoniowego mięsa?

Pozostawało tylko znaleźć sprawnego przewodnika. To poszło łatwiej. Trafił się młody Pars o inteligentnej twarzy, który ofiarował swe usługi. Pan Fogg obiecał mu suty napiwek, co powinno było znakomicie spotęgować inteligencję młodzieńca. Przyprawiono słonia i w mig osiodłano. Sprytny Pars znał doskonale zawód kornaka. [przewodnik kierujący słoniem.] Zarzuciwszy na grzbiet olbrzyma coś w rodzaju czapraka, umocował po bokach dwa kosze, które z biedą mogły uchodzić za siedzenia.

Pan Fogg zapłacił Hindusowi banknotami, które wyciągnął ze sławetnego podróznego worka. W czasie tej czynności Obieżyświat doznawał okropnego wrażenia, że wyciągają zeń wnętrzności. Następnie pan Fogg zaproponował panu Cromarty, aby podróż do Allahabadu odbył razem z nim na grzbiecie słonia. Generał przyjął zaproszenie.

Przed wyruszeniem w drogę kupiono nieco żywności. Sir Francis ulokował się w jednym koszu, pan Fogg włożył do drugiego. Obieżyświat dosiadł słonia okraciem między obu dżentelmenami, a przewodnik znalazł miejsce na szyi zwierzęcia. O godzinie dziewiątej opuszczono wioskę i wkrótce zagłębiono się w gęsty las palmowy.

Rozdział dwunasty

w którym pan Fileas i jego towarzysze zapuszczają się w gąszcz lasów indyjskich i co z tego wynika

Aby skrócić sobie drogę, przewodnik zostawił po prawej stronie ów nie dokończony szlak kolejowy. Nowa trasa, zależna od kapryśnego falowania terenu, zwłaszcza w podgórskim pasie łańcucha Windhaja, nie przebiegała po linii najkrótszej, tak jak tego życzyłby sobie pan Fogg. Pars, dobrze obeznany ze wszystkimi drogami i ścieżkami okolicy, zapewnił, że idąc lasem na przełaj, potrafi zaoszczędzić ze dwadzieścia mil drogi. Zdano się na jego spryt i znajomość terenu.

Panowie Cromarty i Fogg siedzieli zanurzeni po uszy w koszach, nieznośnie podrzucani przy każdym stąpieniu olbrzymiego wierzchowca. Jego chód, z natury niezbyt lekki, nabierał gwałtowności pod razami poganiacza. Wszelako obaj podróżni znosili te przykrości z flegmą iście Angielską, usiłowali nawet gawędzić, choć jeden drugiego ledwie mógł dojrzeć.

Inaczej się działo z Obieżyświatem. Siedział okrakiem na samym szczycie galopującej góry i cierpiał okrutnie od wstrząśnień, A jeszcze bardziej od uderzeń o twarde grzbiet zwierzęcia. Pamiętał dobrze radę swego chlebobdawcy, by pilnie trzymać język za zębami, bo w przeciwnym razie ten niezbędny organ może być łatwo i doszczętnie ucięty. Biedaczysko raz lądował na szyi, to znów na zadzie słonia, fruwał w powietrzu jak kłown cyrkowy odbijający się od trampoliny. Ale nie tracił humoru, żartował i śmiał się wśród tych karpich susów, nawet raz po raz wyciągał kawałek cukru, który mądry słoń brał końcem trąby, nie przerywając zresztą swego miarowego kroku.

Po dwóch godzinach biegu przewodnik zatrzymał zwierzę i dał mu godzinny odpoczynek. Kiuni napił się najpierw w pobliskim jeziorku, A potem zabrał się do pożerania gałęzi i krzewów. Sir Francis błogosławił ten postój. Czuł się zupełnie rozbity. Co do pana Fileasa ten miał wygląd tak świeży, jakby przed chwilą wyszedł z pościeli.

- Ten człowiek jest chyba z żelaza - powiedział generał spojierając z podziwem na niezłomnego dżentelmena. Obieżyświat, zajęty przyrządzaniem posiłku, nie omieszkiał żarliwie mu przyświadczyć.

- I to z kutego żelaza, proszę pana, z kutego!

W południe przewodnik dał znak do dalszej drogi. Okolica stawała się coraz dziksza. Wysokopienne lasy ustąpiły miejsca krzewiastym zaroślom tamaryszków i karłowatych palm, potem ukazały się bezkresne jałowe stopy, najeżone rzadkimi krzaczkami i usiane

blokami kamieni. Była to część górnego Bundelkundu, rzadko nawiedzana przez podróżników, zamieszkała przez ludność fanatyczną, oddaną najokrutniejszym praktykom hinduskiej religii. Anglicy nie zdołali tu utrwalić swojej władzy. Kraj pozostawał pod wpływem radżów, których niczyja ręka nie mogła osiągnąć w ich niedostępnych schronieniach w górach Windhaja.

Parokrotnie mijano groźnie wyglądające gromady Hindusów, którzy na widok biegnącego czworonoga gniewnie potrząsali rękami. Pars starał się unikać spotkań tego rodzaju, uważając, że nic dobrego nie może z nich wyniknąć. Zwierzęta nie ukazywały się prawie wcale. Kilka małych pierzcho przed słońmi, czyniąc nieprawdopodobne grymasy, z czego Obieżyświat śmiał się do rozpuku.

Wiernego lokaja gnębiła nade wszystko jedna myśl: co pan Fogg zamierza zrobić ze słońmi, gdy dotrą do Allahabadu? Czy zabierze go ze sobą? Niemożliwe. Do ceny kupna dorzucić cenę transportu - zrujnowałoby to najbogatszego człowieka! Chyba go sprzeda albo puści na wolność. Sympatyczne zwierzę zasługiwało na jakieś względy. A gdyby panu przyszła do głowy myśl podarowania go Obieżyświatowi, prawdę mówiąc, nie wiedziałby, co z takim prezentem zrobić.

Lokaj nie mógł się oderwać od tych rozważań.

O ósmej wieczór pokonano trudny do przebycia łańcuch gór Windhaja i podróżni zatrzymali się u stóp północnego stoku w zrujnowanym bungalowie. W tym dniu przebyli dwadzieścia pięć mil, a drugie tyle czekało ich na szlaku ciągnącym się do Allahabadu.

Noc była chłodna. Pars zebrał nieco chrustu i we wnętrzu bungalowu rozniecił ogień, mile powitany przez podróżnych. Z prowiantu kupionego w Czolby przygotowano wieczerzę i rozprawiono się z nią w mgnieniu oka, jak przystało na ludzi tego wytrzesionych w drodze. Rozmowa, rwąca się co chwila, zakończyła się wkrótce potężnym chrapaniem. Przewodnik pilnował słońia, który spał stojąc oparty o gruby pień drzewa.

Aż do rana nie wydarzyło się nic szczególnego. Kilkakrotnie odezwały się w okolicy gepardy i pantery, czasem przenikliwie pisnęły małpy. Ale drapieżniki ograniczyły się do groźnych pomruków, nie podejmując nieprzyjaznych kroków w stosunku do nieproszonych gości w bungalowie. Pan Cromarty, zmęczony drogą, spał mocnym, żołnierskim snem. Obieżyświat przeżywał we śnie raz jeszcze jazdę na słońmi, przynajmniej tak można było sądzić z jego niespokojnych poruszeń. Za to pan Fogg spoczywał tak spokojnie, jakby się znajdował w swoim cichym domu przy Saville Row.

O szóstej ruszono w dalszą drogę. Przewodnik miał nadzieję, że jeszcze tego wieczoru przybędą do Allahabadu. W ten sposób pan Fogg straciłby tylko część z czterdziestu ośmiu godzin zaoszczędzonych od wyjazdu z Londynu.

Spuszczono się z ostatnich wzniesień gór Windhaja. Kiuni znów ruszył szybkim kłusem. Około południa okrążono wioskę Kallenger nad rzeką Kani, dopływem Gangesu. Przewodnik, jak poprzedniego dnia, omijał osiedla tubylców; o wiele bezpieczniej czuł się na rozległych stepach, które zapowiadały obniżenie się terenu i bliskość doliny Gangesu. Allahabad znajdował się o dwanaście mil na północo-wschód. Zatrzymano się w cieniu kępy drzew bananowych, których owoce, według zdania podróżników, "zdrowe jak chleb, A pożywne jak śmietana", wszystkim bardzo smakowały.

O drugiej podróźni znaleźli się pod sklepieniem gęstego lasu, którym mieli posuwać się na przestrzeni wielu mil. Przewodnik wybrał tę drogę, uważając, że drzewa dadzą najpewniejsze schronienie. Wydawało się już, że podróż minie bez złej przygody, gdy wtem słoń zatrzymał się z oznakami niepokoju.

Była czwarta po południu.

Pan Cromarty wysunął głowę ze swego kosza.

- Co się stało? - zapytał.

- Nie wiem, panie oficerze - odparł Pars i nadstawił uszu. Poprzez gęstwinę gałęzi dochodził niewyraźny szmer.

Ale już po chwili szmer ten zbliżył się o tyle, że można było rozeznaczyć głosy ludzkie i dźwięki miedzianych instrumentów. Obieżyświat cały zamienił się w słuch i wzrok. Pan Fogg czekał cierpliwie, nie mówiąc Ani słowa.

Nagle przewodnik zsunął się na ziemię, przywiązał słońca do drzewa i zagłębił się w gąszcz. Po kilku minutach zjawił się z powrotem mówiąc:

- Procesja braminów idzie w naszą stronę. Ukryjmy się.

Odwiązał słońca, odprowadził go daleko za osłonę drzew i krzaków i zalecił naszym podróżnym, Aby nie schodzili na ziemię. Sam gotów był w każdej chwili wdrapać się na kark zwierzęcia. Żył jednak nadzieję, że gromada wiernych przejdzie mimo, nic nie zauważywszy, gąszcz leśny bowiem ukrywał całkowicie podróżnych.

Tymczasem jazgot głosów i instrumentów przybliżał się. Przeciągłe zawodzenia mieszały się z warkotem bębnów i dzwonieniem cymbałów. Niebawem wynurzyło się spośród drzew - zaledwie o pięć czy dziesięć kroków od kryjówki pana Fogg'a i jego towarzyszy - czoło procesji. Poprzez gałęzie można było dobrze się przyjrzeć uczestnikom tego niezwykłego pochodu. Przodem, w bogato wyszywanych szatach i wysokich czapach,

postępowali kapłani. Za nimi tłoczyła się gromada mężczyzn, kobiet i dzieci. Śpiewali coś w rodzaju pogrzebowego psalmu, który przerywało miarowe dudnienie tam-tamu i dźwięki cymbałów. Wreszcie z tyłu, na wozie o wysokich kołach, których obręcze i szprychy wyobrażały misterne sploty węzłów, ciągnionym przez czwórkę zebu w bogatych czaprakach, ukazał się poczwarny posąg. Miał czworo ramion, krwawo pomalowany tułów, błędne oczy, skołtunione włosy, wywieszony język oraz usta umazane na czerwono henną i betelem. Szyję bożka otaczał naszyjnik z głów ludzkich, biodra opasywał pas pleciony z uciętych ramion. Bóstwo stało na powalonym bezgłowym olbrzymie.

Pan Cromarty szepnął:

- Bogini Kali, patronka miłości i śmierci.

- Że śmierci, to zgoda - rzekł Obieżyświat. - Ale miłości? Przecież to wstrętny babsztyl.

Pars nakazał mu gestem milczenie. Dookoła posągu miotła się w tanecznych konwulsjach grupa nagich starców o ciałach pomalowanych w żółte pasy, w wielu miejscach ponacinanych na krzyż i ociekających krwią. Byli to fakirzy. Zdarzało się, że ci fanatycy rzucali się w religijnym obłędzie pod koła świętego wozu.

Za fakirami kilku braminów, odzianych w pełne przepychu wschodnie stroje, wlokło ślaniającą się kobietę.

Kobieta była młoda, skórę miała białą jak Europejka. Jej głowa, szyja, uszy, ramiona, palce rąk i nóg były obwieszane klejnotami, naszyjnikami, bransoletami, kolczykami i pierścieniami. W lamowanej złotem tunice, pod narzuconym na nią muślinem rysowała się jej wiotka postać.

Jakiż kontrast stanowiła straż krocząca za młodą kobietą! Szli z nagimi szablickami u pasów, z długimi pistoletami o polerowanych lufach. Dźwigali palankin, w którym leżał trup starca ubrany w książęce szaty. Na głowie miał, jak za życia, turban wysadzany perłami, na sobie szatę jedwabną przetykaną złotem, pas kaszmirowy, zdobny w diamenty i wspaniałą broń.

Z tyłu kroczyli muzycanci, a pochód zamykał tłum fanatyków zagłuszających krzykami i wyciem dźwięki kotłów i trąb.

Pan Cromarty spozierał na pompatyczny kondukt ze szczególnym przygnębieniem.

- "Sutty" - rzekł do przewodnika.

Pars skinął twierdząco głową i położył palec na ustach. Długi orszak przesunął się powoli między drzewami i wkrótce znikł w głębi lasu. Głosy wsiąkły w ciszę. Z oddali dobiegało jeszcze kilka mocniejszych tonów pieśni; po czym wszystko umilkło.

Fileas Fogg zapamiętał dziwne słowo, wymówione przez generała, i gdy tylko procesja znikła z oczu, zapytał:

- "Sutty"? Co to jest?

- "Sutty" to ofiara złożona z człowieka, Ale ofiara dobrowolna. Kobieta, którą pan widział, jutro o świcie spłonie na stosie.

- O łajdaki! - wykrzyknął Obieżyświat nie posiadając się z oburzenia.

- A ten zmarły? - pytał dalej pan Fogg.

- To książe, mąż tej kobiety - odrzekł przewodnik. - Udzielny radża Bundelkundu.

- Jak to? - pytał niewzruszony pan Fogg. - To te barbarzyńskie obyczaje istnieją jeszcze? Czyż Anglicy nic nie zrobili, Aby je wytepić?

- Obrządki tego rodzaju na ogół w Indiach już nie istnieją - odpowiedział pan Cromarty.

- Nieszczęśliwa! - wyszeptał Obieżyświat. - Spalą ją żywcem!

- Ano tak - podjął generał. - Ta kobieta zostanie spalona. Trudno zresztą wyobrazić sobie, jak ciężkie miałyby życie, gdyby uniknęła stosu. Krewni ogoliliby jej głowę, za całe pożywienie dostawałaby przygarść ryżu na dzień, zaczęto by jej unikać, jej otoczenie uważałoby ją za stworzenie nieczyste i w końcu zmarłaby gdzieś w kącie jak parszywy pies. Myśl o tym życiu pełnym upokorzeń silniej wpływa na decyzję nieszczęsnych kobiet niż miłość, czy religijne uniesienie. Ale zdarza się niekiedy, że ofiara jest rzeczywiście dobrowolna; w takich razach tylko stanowcza interwencja władz może jej przeszkodzić. Pamiętam, gdy mieszkałem lat temu kilka w Bombaju, jakaś młoda wdowa prosiła władze, Aby jej pozwolono spłonąć wraz z ciałem męża. Rząd odmówił. Wówczas kobieta opuściła miasto, uciekła się pod opiekę pewnego niezawisłego radży i tam dopełniła zamierzonej ofiary.

Przysłuchujący się tym słowom przewodnik potakiwał ruchem głowy, A gdy generał skończył, rzekł:

- Ofiara, która dokona się jutro o świcie, nie będzie dobrowolna.

- Skąd wiesz o tym?

- To historia znana w całym Bundelkundzie.

- A jednak nie było widać, Aby skazana stawiała jakiś opór - zauważył pan Cromarty.

- Bo ją odurzono dymem konopi i opium.

- Więc gdzież ją wiodą?

- Do świątyni w Piladzi, o dwie mile stąd. Spędzi tam noc w oczekiwaniu na śmierć.

- Kiedy nastąpi spalenie?

- Jutro o pierwszym brzasku.

To rzekłszy przewodnik wyprowadził z gęstwiny słonia i wdrapał się na jego grzbiet. Miał już gwizdnąć sposobem poganiaczy, Aby zwierzę ruszyło z miejsca, gdy pan Fileas Fogg powstrzymał go, A potem zwrócił się do generała Cormarty:

- A gdybyśmy tak uratowali tę kobietę?

- Pan chce ją ratować?! - wykrzyknął Cromarty.

- Mam jeszcze przed sobą dwanaście godzin czasu i mogę je na to poświęcić.

- Niesłychane! Więc pan ma serce, panie Fogg? - zdumiał się sir Francis.

- Niekiedy - odparł po prostu Fileas Fogg. - Gdy czas na to pozwala.

Rozdział trzynasty

w którym Obieżyświat dowodzi raz jeszcze, że szczęście sprzyja zuchwałym

Zamiar był nader śmiały, najeżony trudnościami, kto wie, czy w ogóle wykonalny. Pan Fogg stawiał na kartę swoje życie, a co najmniej wolność, w każdym razie ryzykował przegranie swego wielkiego zakładu. Ale nie wahał się. W panu Cromarty znalazł zresztą zdecydowanego sprzymierzeńca.

Co do Obieżyświata, ten był gotów ważyć się na wszystko, czekał tylko rozkazów. W zachwytyt wprawiła go decyzja jego pana. Pod lodowatą powłoką poczuł serce i duszę - zaczął kochać tego człowieka.

Pozostawał przewodnik. Jak się wobec zamierzonej wyprawy zachowa? Nie było rzeczą pewną, czy nie stanie po stronie Hindusów. Jeżeli nie zechce pomóc, należało się przynajmniej upewnić co do jego neutralności.

Generał zwrócił się do niego całkiem otwarcie.

- Panie oficerze - odpowiedział poganiacz - jestem Parsem, ta kobieta jest tego samego, co ja pochodzenia. Więc rozporządzaj mną.

- Zgoda, chłopcze - rzekł pan Fogg.

- Ale moją rzeczą jest przestrzec panów - ciągnął Pars - że możemy w tej przeprawie zginąć, i to zginąć w okrutnych mękach. Więc niech panowie dobrze zważą...

- Wszystko zostało zważone - odparł pan Fogg. - Myślę, że trzeba teraz czekać i działać pod osłoną nocy.

- Ja też tak myślę - potwierdził przewodnik. I dzielny Pars opowiedział wszystko, co słyszał o osobie skazanej. Była dziewczyną o głośniejszym urodzie, córką możnego rodu kupieckiego z Bombaju, który wyznawał religię Parsów. W Bombaju otrzymała staranne wychowanie. Nazywała się Auda.

Utraciwszy rodziców, musiała wbrew swej woli zostać żoną starego maharadży z Bundelkundu. Już po upływie trzech miesięcy została wdową. Wiedząc, że czeka ją śmierć, próbowała zbiec. Schwytana, oddana w ręce okrutnych krewnych zmarłego, którym jej śmierć była na rękę, szła oto na stos ofiarny i nic nie przemawiało za tym, że zdoła go uniknąć.

- Opowiadanie to umocniło jeszcze pana Fileasa i jego towarzyszy w szlachetnym postanowieniu. Ustalono, że skierują się ku świątyni w Piladzi i podsuną ku niej jak można najbliżej.

W pół godziny potem zatrzymano się w zaroślach o pięćset kroków od murów świątyni, które można było z dala zauważyć. Dochodziły stamtąd wyraźnie histeryczne ryki fanatyków.

Naradzono się wówczas nad sposobami dotarcia do uwięzionej. Pars znalazł świątynię, w której, jak twierdził, młoda kobieta jest zamknięta. Co więc należało czynić: czy przedostać się przez którąś z bram, w czasie gdy tłuszcza będzie pogrążona w narkotycznym śnie, czy też przebić otwór w murze? Ale to można było postanowić dopiero po przybyciu na miejsce i w ostatnim momencie. Jedno nie pozostawiało wątpliwości: porwania trzeba dokonać jeszcze tej nocy przed nastaniem dnia, kiedy to ofiara ma być odprowadzona na stos. Wówczas już żadna moc ludzka nie zdoła jej ocalić.

Pan Fogg i jego towarzysze czekali, aż zapadnie noc. O szóstej, gdy uczyniło się ciemno, zdecydowano się zbadać poblizę świątyni. Krzyki fakirów milkły powoli. Widocznie zaczął już działać sławetny "hang", napój z opium i wywaru z konopi, którym raczono się w takich okolicznościach. Zapewne więc będzie można prześliznąć się do świątyni między zamroczonymi Hindusami.

Pars wiódł pana Fogg'a i jego towarzyszy bezszelestnie przez gęstwinę niskich drzew. Po dziesięciu minutach przedzierania się poprzez gałęzie znaleźli się nad rzeczką. Paliły się tu żywiczne pochodnie, osadzone na żelaznych drągach, a przy ich blasku widać było wysoki stos ułożony z drogiego sandałowego drzewa, przesyconego wonną oliwą. Na szczycie spoczywały zabalsamowane zwłoki radży, które miały być spalone jednocześnie z nieszczęsną wdową. O sto kroków dalej wznosiła się świątynia. Wieże jej rysowały się w mroku wśród wierzchołków drzew.

- Za mną! - rzucił półgłosem przewodnik.

Podwoiwszy czujność, posuwali się bezszelestnie w wysokiej trawie. Głęboką ciszę przerywał jedynie wiatr szumiący w gałęziach.

Na skraju polany przewodnik stanął. Kilka pochodni oświetlało to miejsce, gdzie leżeli pokotem Hindusi, którym opium odebrało przytomność. Rzekłbyś, pole bitwy zasłane trupami. Beładnie ze sobą zmieszani, leżeli mężczyźni, dzieci i kobiety - ciężkie chrapanie dochodziło z różnych stron.

Opodal w masie drzew rysowały się niewyraźnie kontury świątyni. Ku wielkiemu niezadowoleniu przewodnika okazało się, że straż nie śpi i z obnażonymi szablami w ręku przechadza się w blasku pochodni pod drzwiami świątyni. Wewnątrz, jak należało sądzić, czuwali kapłani.

Pars nie próbował podsunąć się bliżej. Pojął, że wedrzeć się do świątyni jest niemożliwością, i kazał swym towarzyszom cofnąć się nieco. Fileas Fogg także uznał, że nie mają tu nic do roboty. Zatrzymali się i naprędce odbyli naradę.

- Poczekajmy jeszcze - rzekł generał. - Jest dopiero ósma. Niewykluczone, że i strażników zmorzy sen...

- To całkiem możliwe - poparł go Pars.

Wyciągnęli się wszyscy czterej pod drzewami i czekali. Ale jakże dłużył im się czas! Przewodnik zrywał się raz po raz i szedł na brzeg lasu wypatrywać, czy nie zaszły jakieś zmiany. Jednakże straże, oblane blaskiem pochodni, wciąż czuwały, A z wnętrza świątyni sączyło się przez szyby ciągle to samo mdłe światło.

I tak czekali Aż do północy. Sytuacja się nie zmieniła: świątyni strzeżono z jednakową bacznością i nie można było liczyć na zdrzemnięcie się straży. Najwidoczniej strażnikom zabroniono skosztować oszołamiającego "hangu". Trzeba było wziąć się do rzeczy w inny sposób i wejść do wnętrza przez otwór wybity w murze. Pozostawało pytanie, czy kapłani w świątyni strzegą swej ofiary z równą troskliwością, jak żołnierze przy bramie.

Raz jeszcze naradzili się krótko i przewodnik oświadczył, że gotów jest iść naprzód. Pan Fileas, Cromarty i Obieżyświat ruszyli za nim. Musieli zatoczyć dość znaczny krąg, zanim dotarli do świątyni od tyłu. Szczęściem nikogo nie spotkali na drodze i o pół do pierwszej w nocy znaleźli się pod murami. Nie zaciągnięto tu żadnych straży, Ale też i mury od tej strony były głuche, bez drzwi i okien.

Noc była ciemna. Wąski okrajek księżycy zaledwie wysuwał się zza horyzontu, torując sobie drogę przez skłębione chmury. Ciemności potęgowała jeszcze wyniosła zasłona drzew.

Nie wystarczało jednak dotrzeć do stóp muru. Należało teraz przystąpić do zrobienia w nim przejścia, A spiskowcy nie mieli innych narzędzi oprócz scyzoryków. Szczęściem ściany nie były zbyt mocne - sklecono je z drzewa i cegieł. Gdyby jedną z nich udało się wyjąć, reszta poszłaby łatwo.

Starali się pracować jak najciszej. Z jednej strony wyluskiwał cegły przewodnik, z drugiej - dobierał się do nich Obieżyświat przebijając wspólnymi siłami przejście szerokości dwóch stóp.

Robota raźnie postępowała naprzód, gdy wtem z wnętrza świątyni wydarł się przenikliwy krzyk i natychmiast odpowiedziały mu wołania z zewnątrz. Obieżyświat i Pars znieruchomieli. Byłżeby to sygnał Alarmowy? Odkryto ich? Rozsądek nakazywał zmykać co tchu z tego miejsca i tak też wszyscy czterej uczynili. Nie oparli się Aż pod osłoną zarośli i

tam nad słuchiwali, czy Alarm się nie powtórzy, gotowi w każdej chwili wrócić do przerwanej czynności.

Ale - przeklęty wypadek! - na tyłach świątyni pojawiły się straże i w ten sposób uniemożliwiły wszelki dostęp do murów.

Trudno opisać rozczarowanie czterech wybawców, których dzieło przerwano w pełnym toku! Pomieszano im oto szyki, uniemożliwiono przedostanie się do uwięzionej; jakimież teraz środkami zdołają wyrwać ją z opresji? Pan Cromarty z wściekłości gryzł pięści. Obieżyświat wyłaził ze skóry, Pars z trudem powstrzymywał go od jakiegoś nieopatrzego kroku. Tylko pan Fogg czekał na rozwój wypadków zimny i milczący.

- Cóż nam pozostaje? Musimy odjechać - odezwał się zniechęcony generał.

- Tak, tylko to nam pozostało - potwierdził Pars.

- Zaczekajmy jeszcze - rzekł Fogg. - Wystarczy, jeżeli w Allahabadzie będę jutro przed południem.

- Na cóż pan jeszcze liczy? - spytał Cromarty. - Za parę godzin zacznie dzień i...

- Szczęście może się do nas uśmiechnąć w ostatnim momencie.

Słyszając to pan Cromarty dałby wiele, żeby móc w tej chwili spojrzeć w oczy Fileasa Fogg'a. Cóż zamyślał ten lodowaty dżentelmen? Chyba nie miał zamiaru wdrzeć się na stos i otwarcie wyrwać ofiary z rąk katów. Byłoby to szaleństwo, a czyż można przypuszczać, że ten człowiek byłby do tego zdolny? Niemniej jednak pan Cromarty postanowił czekać na rozwiązanie tej Awantury. Przewodnik uznał pozostawanie w tym miejscu za zbyt ryzykowne i wyprowadził wszystkich na drugi koniec polany. Stąd, pod ochroną krzaków, mogli wygodnie obserwować uśpioną gromadę.

A tymczasem Obieżyświat, usadowiony wśród niższych konarów drzewa, rozważał pewną myśl, która, zapaliwszy się w jego mózgu jak błyskawica, utkwiała tam wreszcie na dobre. Z początku wzruszał ramionami.

- Co za pomysł! - mówił sobie. Ale pomysł zagnieździł się w jego mózgu i lokaj mruknął: - Właściwie dlaczego by nie? Może to jedyny sposób na tych pijanych bałwanów.

Nie sformułował swojej myśli dokładnie. Z małpią zręcznością ześliznął się na niższe gałęzie, których końce zwieszały się tuż nad polaną.

Tymczasem godziny upływały, cienie zaczęły się przeredzać zwiastując nadchodzący dzień. Mimo to ciemność była jeszcze bardzo głęboka.

Krytyczna chwila nadeszła. Leżący pokotem tłum jakby zmartwychwstał. Ciała poruszyły się, rozległo się dudnienie wielkiego bębna. Śpiewy, krzyki buchnęły od nowa. Nadchodziła chwila, w której nieszczęśliwa miała zginąć. Niebawem otwarły się wierzeje

świętyni i wytrysło stamtąd silne światło. W jego blasku można było dostrzec ofiarę wleczoną przez dwóch kapłanów. Panu Foggowi i generałowi wydało się, że instynkt samozachowawczy nieszczęsnej toczy teraz walkę z działaniem narkotyku, że jej świadomość zaczyna się buntować przeciw oprawcom. Mocniej zabiło współczujące serce generała. Ścisnął odruchowo rękę pana Fogga i wówczas poczuł, że tkwi w niej otwarty nóż.

W tej chwili tłum drgnął i zachybotał. Poczawszy dym kadzideł, młoda kobieta znów popadła w odrętwienie. Szła wśród fakirów, a towarzyszyły jej fanatyczne wrzaski. Pan Fogg i jego przyjaciele mieszała się z ostatnimi szeregami pochodu. W parę minut potem gromada zatrzymała się nad rzeką o pięćdziesiąt kroków od stosu, na którym spoczywały zwłoki maharadży. Po chwili w przerzedzającym się mroku oczy ich rozróżniły nieruchome ciało kobiece wyciągnięte obok książęcego trupa.

Do stosu przytknięto pochodnię i drzewo, nasycone oliwą, nagle buchnęło płomieniem. Jednocześnie Pars i generał Cromarty musieli użyć całej swej siły, aby powstrzymać pana Fileasa Fogga, który w szlachetnym oburzeniu rzucił się naprzód. Szamotali się chwilę i Fogg już miał ich odtrącić, gdy naraz zaszedł niesłychany wypadek. W tłumie podniósł się okrzyk zgrozy. Hindusi upadli twarzą na ziemię.

Cóż to? Czy stary maharadża ożył? Ujrzano nagle, że wstaje niby upiór, unosi w ramionach żonę i owinięty obłokami dymu, nieziemski, spływa ze stosu... Fakirzy, strażę, kapłani, owładnięci paniczną trwogą, rozplaszczyli twarze na ziemi, nie śmiąc podnieść oczu na cud. Ciało kobiety zwisło jak martwe w mocnych ramionach, które dźwignęły ją niby piórko. Pan Fogg i pan Cromarty stali jak wryci, Pars wtulił głowę w ramiona.

Ale oto zmartwychwstały radża bieży ku obu Anglikom i, mijając ich, rzuca krótkie wezwanie: - W nogi!

Był to Obieżyświat we własnej osobie. Korzystając z ciemności wśliznął się na stos i pod osłoną dymu wyrwał młodą kobietę śmierci. Dzielny chłopiec zdobył się na tyle męstwa i przytomności umysłu, że poraził trwogą tłuszcę fanatyków.

W chwilę potem, wszyscy czterej zniknęli w gąszczu lasu, unoszeni szybkim biegiem słonia. Wrzaski i wycia, a nawet jakaś zabłąkana kula, która przeszła kapelusza pana Fileasa, niosły im wieść, że manewr został odkryty.

Rzeczywiście, gdy dymy rozwiały się, oczom Hindusów ukazał się trup radży po dawnemu na stosie. Ochłonawszy, kapłani pojęli, że przed chwilą dokonano świętokradczego porwania. Rzucili się w las. Za nimi ruszyli strażnicy. Próbowano strzelać. Ale uciekający oddalali się z nadzwyczajną szybkością i wkrótce byli już poza zasięgiem kul i strzał.

Rozdział czternasty

w którym Fileas Fogg przebywa uroczą dolinę Gangesu nie zwracając na nią uwagi

Tak więc śmiało porwanie udało się. Jeszcze w godzinę potem Obieżyświat zaśmiewał się ze swego fortelu. Generał uściśnął zuchwalcowi rękę. Pan Fogg ograniczył się do krótkiego “dobrze”, co w jego ustach równało się najwyższymi pochwałom. Lokaj odparł na to, że całą zasługę należy przypisać panu Foggowi. Co do niego, Obieżyświata, to chciał tylko wypłatać pociesznego figla. I gdy teraz myślał, że on, niegdyś gimnastyk, eks-sierżant strażacki, był przez kilka chwil zmarłym mężem czarującej kobiety, starym, zabalsamowanym radzą - śmiał się z tego do rozpuku.

Hinduska nie ocknęła się jeszcze z omdlenia. Owinięta w pledy, leżała w jednym z koszów. Tymczasem słoń, kierowany wprawna ręką Parsa, pędził przez mroczny las. W godzinę po opuszczeniu świątyni w Piladzi podróżni znaleźli się na pustynnej równinie. Postój wypadł dopiero o siódmej. Młoda kobieta wciąż jeszcze nie odzyskiwała przytomności. Przewodnik wlał jej w usta parę łyków rozcieńczonej wódki, Ale stan odurzenia nie ustępował i miał jeszcze trwać przez pewien czas. Sir Francis, który znał ten rodzaj oczadzenia konopnym dymem, zapewniał, że organizmowi Hinduski nic nie zagraża. Natomiast mniej był spokojny o dalsze losy ocalonej wdowy. Oświadczył panu Foggowi bez ogródek, że jeśli młoda kobieta pozostanie w Indiach, to na pewno wpadnie znowu w ręce swoich katów. Ci opętańcy rozproszeni są po całym półwyspie i potrafią odszukać zbiegłą ofiarę bez względu na to, czy będzie ona w Bombaju, Madrasie czy w Kalkucie. I na poparcie swych słów pan Cromarty przytoczył Analogiczne zdarzenie, które miało niedawno miejsce. Uważał, że dopiero poza obrębem Indii młoda kobieta będzie mogła bezpiecznie oddychać.

Fileas Fogg odpowiedział, że zdaje sobie sprawę z tych trudności i że weźmie je pod uwagę.

Około dziesiątej przewodnik oznajmił, że stacja Allahabad jest przed nimi. Tu zaczyna się dalszy odcinek linii kolejowej i pociąg w ciągu niespełna jednej doby dowiezie podróżnych do Kalkuty. Pan Fileas powinien więc swobodnie zdążyć na parowiec, który nazajutrz, 25 października, odpływa w południe do Hongkongu.

Młodą kobietę ułożono w jednej z izb dworca. Obieżyświata obarczono obowiązkiem zakupienia przedmiotów potrzebnych młodej damie, A więc: sukni, szala, futra i tak dalej. Pan Fileas w związku z tym upoważnił lokaja do swobodnego używania sakiewki.

Obieżyświat wyruszył tedy nie zwlekając i wkrótce szedł już ulicami Allahabadu. Nazwa ta znaczy "miasto Boga". Jest ono jednym z najbardziej czczonych miejsc w Indiach, gdyż leży u zbiegu dwóch świętych rzek: Gangesu i Dżakiny, których wody przyciągają rzesze pielgrzymów z całego świata. Jak wiadomo, legendy Ramajany [epopeja starohinduska] głoszą, że źródło Gangesu wytryska w niebie, skąd wody jego spływają na ziemię za sprawą Brahmy. Załatwiając sprawunki, Obieżyświat zdołał obejrzeć całe miasto bronione ongiś przez potężny fort, w którym mieści się dziś państwowe więzienie. Kiedyś było to miasto przemysłowe i handlowe, z czego teraz nie pozostało Ani śladu. Lokaj na próżno rozglądał się za jakimś magazynem mód, sądząc widocznie, że się znajduje na Regent Street w Londynie, o kilka kroków od firmy "Farmer i Spółka".

Wreszcie u jakiegoś przekupnia, starego, targującego się Żyda, nabył, co mu było potrzebne: suknię ze szkockiej kraty, szeroki płaszcz wełniany i drugi podbity wspaniałym futrem, za który nie zawahał się zapłacić siedemdziesięciu pięciu funtów. Dumny z tych zakupów wrócił na dworzec.

Tymczasem pani Auda zaczęła przychodzić do siebie. Działanie narkotyków, którymi odurzili ją święci mężowie w Piladzi, ustępowało powoli i równocześnie jej piękne oczy odzyskiwały łagodny, właściwy Hinduskom, wyraz.

Gdy król-poeta, Usaf Uddaul, chciał opisać wdzięki królowej Ahmehnagara, opiewał je tymi słowy:

"Jej lśniące włosy, rozczesane na dwie części, okalają harmonijną linię policzków białych i delikatnych, gładkich i świeżych. Jej brwi czarne jak heban mają pyszny zarys łuku Kamy, boga miłości. Spod jedwabistych rzęs patrzą czarne, wilgotne źrenice, A w nich, niby w świętych stawach Himalajów, kąpią się odblaski najczystszej, niebiańskiej światłości. Drobne, równe i białe są jej zęby, które lśnią w rozchyłonych uśmiechem wargach, podobnie jak kropla rosy lśni w półotwartym łonie kwiecia granatu... Jej kształtne uszy niby małe muszle, jej różowe dłonie, jej delikatne jak pączki lotosu stopy mają blask najdroższych pereł Cejlonu, najpiękniejszych diamentów Golkondy. Jej giętka kibić, tak szczupła, że jedną dłonią daje się opasać, podkreśla wytworność krągłych bioder i piękno piersi, gdzie zakwitająca młodość skryła swe najwspanialsze skarby. Gdy ciało jej ogarniają fałdy powłóczystej szaty, wydaje się, że boska ręka Vikvakarmy, nieśmiertelnego rzeźbiarza, ukształtowała je ze szlachetnego kruszcu".

Ale nie potrzeba nam Aż tak kwiecistych przerośni, żeby stwierdzić po prostu, że pani Auda, wdowa po maharadży Bundelkundu, była uroczą kobietą. Mówiła wyborną

Angielszczyzną i przewodnik nie przesadzał, gdy twierdził, że wychowanie przeobraziło całkowicie młodą Parsjankę.

Pociąg miał za chwilę ruszyć w drogę. Przewodnik czekał. Pan Fogg wręczył mu umówione wynagrodzenie, nie dodając wszelako Ani szeląga ponadto. Zdziwiło to nieco Obieżyświata, który dobrze wiedział, ile jego pan zawdzięcza ofiarności Parsa. W samej rzeczy, przewodnik, biorąc udział w porwaniu, ryzykował dobrowolnie życie, bo gdyby Hindusi dowiedzieli się o tym kiedykolwiek, nie uniknąłby ich zemsty.

Należało jeszcze coś postanowić o losie Kiuniego. Co zrobić ze słoniem tak drogo kupionym? Okazało się, że pan Fileas już tę kwestię rozstrzygnął.

- Przewodniku - rzekł do Parsa - służyłeś mi rzetelnie i ofiarnie. Opłaciłem już twoje usługi, Ale jeszcze nie wynagrodziłem poświęcenia. Jeśli chcesz mieć tego słonia, bierz go.

- Czcigodny panie, to majątek! - zakrzyknął Pars z błyszczącymi radością oczami.

- Weź go, ja i tak pozostanę ci dłużny - odpowiedział Fogg.

- Ciesz się, bracie - zawołał Obieżyświat - i zabieraj słonia! Kiuni to dzielne i poczciwe bydlę.

Po czym zbliżywszy się do zwierzęcia, podsunął mu kilka kawałków cukru.

- Masz tu, Kiuni, masz! - rzekł.

Słoń wydał kilka pomruków zadowolenia. Potem, uchwyciwszy trąbą Obieżyświata w pasie, podniósł go na wysokość swego olbrzymiego łba. Lokaj, bynajmniej tym nie przestraszony, pogłaskał zwierzę z wielką serdecznością. A gdy następnie został miękko postawiony na ziemi, nie zapomniał na ów uścisk słoniowej trąby odpowiedzieć uściskiem swej krzepkiej ręki.

W chwilę później pan Fogg wraz z panem Cromarty i Obieżyświatem, znalazłszy pomieszczenie w wygodnym przedziale i umieściwszy na najlepszym miejscu panią Aude, pędzili całą siłą pary ku Benares. Osiemdziesiąt mil, dzielące to miasto od Allahabadu, przebyto w dwie godziny.

W ciągu tego czasu młoda kobieta przyszła ostatecznie do siebie, oszołamiające opary "hangu" wreszcie się rozproszyły. Jakże się musiała zdumieć, ujrawszy się w przedziale pociągu w europejskich sukniach, siedzącą między obcymi mężczyznami! Jej towarzysze przede wszystkim zajęli się nią troskliwie i skłonili do przełknięcia odrobiny koniaku, co znakomicie wpłynęło na jej samopoczucie.

Potem generał opowiedział wypadki, które zaszły w Piladzi. Położył przy tym nacisk na poświęcenie pana Fogga, który nie zawahał się postawić na kartę swego życia, Aby ją ratować. Wreszcie opisał niezwykle zakończenie całej przygody, podkreślając, że udało się

ono tylko dzięki pomysłowości i odwadze Obieżyświata. Pan Fogg pozwolił mówić generałowi, nie dorzucając Ani jednego słowa. Za to Obieżyświat, cały w pąsach, powtarzał w kółko, że “to nie było nic takiego”.

Pani Auda bardziej łzami niż słowami dziękowała gorąco swym wybawcom. Czarne, piękne oczy młodej kobiety lepiej niż słowa wyrażały jej wdzięczność. A gdy wróciła myślą do strasznego obrządku “sutty” i spojrzała na ten kraj, gdzie wciąż czaiło się niebezpieczeństwo, wstrząsnął nią dreszcz grozy.

Pan Fileas Fogg odgadł, co musi się dzieć w duszy młodej kobiety. Aby dodać jej otuchy, zaproponował, zresztą z właściwą sobie oschłością, że odwiezie ją do Hongkongu, gdzie będzie mogła pozostać, dopóki sprawa nie przycichnie. Pani Auda przyjęła wdzięcznym sercem tę propozycję. Tak się składało, że właśnie w Hongkongu mieszkał jej krewny, jeden z najzamożniejszych kupców tego miasta.

O wpół do pierwszej pociąg stanął w Benares. Legendy bramińskie głoszą o tym mieście, że wyrosło w miejscu starożytnego Kasi, zawieszzonego ongi między niebem a ziemią, w powietrzu, tak jak grób Mahometa. W naszej epoce, mniej poetyckiej, Benares - owe “Ateny indyjskie”, jak o nim mówią orientaliści - spoczywa sobie zgoła prozaicznie na ziemi. Obieżyświat miał okazję rzucić okiem na jego ceglane domy i plecione z chrustu chaty, które nadają miastu wygląd beznadziejny, całkiem pozbawiony lokalnego kolorytu.

Tutaj musiał wysiąść generał Cromarty, Aby udać się do swego garnizonu stacjonującego o kilka mil na północ od miasta. Żegnając się z panem Foggiem, życzył mu, by odniósł całkowity sukces i żeby odbył drugi raz tę samą podróż w sposób mniej oryginalny, Ale za to korzystniejszy dla siebie. Pan Fileas odpowiedział lekkim uściśnieniem palców generała. Znacznie cieplej wypadło pożegnanie ze strony pani Audy. Mówiła, że nigdy nie zapomni, ile winna jest sir Francisowi. Z kolei Obieżyświat został zaszczycony męskim uściśmieniem prawicy wojskowego i wzruszony zapytał, kiedy i jak będzie mógł okazać swoje oddanie panu generałowi. Wreszcie się rozstano.

Począwszy od Benares, pociąg posuwał się doliną Gangesu. Za szybami przedziału w czystym powietrzu przesuwiał się urozmaicony pejzaż Biharu; góry pokryte zielenią, pola jęczmienia, pszenicy i kukurydzy, rzeki i stawy pełne zielonawych krokodyli, schludne, dostatnie wioski i lasy wciąż jeszcze zielone. W świętych wodach rzeki kąpały się słonie i zebu o wielkich garbach, A także gromady Hindusów obojga płci, którzy, mimo późnej pory roku i rozpoczynających się chłódów, dopełniali pobożnych Ablucji. Wierni, zajadli wrogowie buddyzmu, są wyznawcami religii bramińskiej, której istota wyraża się w kulcie trzech bóstw: Wisznu, boga słońca, Sziwy, uosabiającego żywioły przyrody, i Brahmy, pana

kapłanów i prawodawców. Jakimże okiem musieli teraz patrzeć Wisznu, Sziwa i Brahma na swoje Indie, brane coraz bezwzględniej w kluby brytyjskiej władzy, i na Ganges, po którym przesuwały się parowce, mącąc jego święte wody.

Obrazy te błyskawicznie migały za szybami, A od czasu do czasu przesłaniał je obłok białej pary. O dwadzieścia mil na południo-wschód minęli twierdzę Czunar, dawne zamczysko radżów z Bihar, Czazipur, ze słynnymi wytwórniami wody różanej, Patnę, gdzie się ogniskuje handel opium, Munger, ośrodek hut żelaznych, kuźni i fabryk białej broni. Pióropusz czarnego dymu i sadzy, który brukał niebo nad wysokimi kominami Mungeru, wyglądał jak barbarzyńska pięść wzniesiona nad tą krainą marzeń.

Przyszła noc. Pociąg pędził wśród ryku tygrysów i wilków zmykających przed lokomotywą. Już niczego nie dojrzano z cudów Bengalu: Ani Golkondy, Ani zburzonego Gur czy Murszegabadu, który był ongiś stolicą Burdwanu, Ani Hugli i Czandarnagaru - jedyne kawałka ziemi indyjskiej, nad którym powiewał nie Angielski, lecz francuski sztandar, co, naturalnie, mile polectało dumę Obieżyświata.

Wreszcie o godzinie siódmej z rana oczom podróżnych ukazała się Kalkuta. Parostatek, udający się do Hongkongu, podnosił kotwicę dopiero w południe, tak więc pan Fileas miał przed sobą pięć godzin czasu. Zgodnie z planem podróży przybył do stolicy Indii 25 października, w dwadzieścia trzy dni po wyruszeniu z Londynu. Nic nie zyskał na czasie, Ale nie miał też i spóźnienia. Dwa dni, które zyskał na odcinku Londyn - Bombaj, utracił w Indiach w wiadomych okolicznościach, Ale możemy przypuszczać, że pan Fileas Ani trochę nie żałował tej straty.

Rozdział piętnasty

w którym kasa pana Fileasa Foggga staje się znów lżejsza o kilka tysięcy funtów szterlingów

Gdy pociąg stanął na stacji, pierwszy wysiadł Obieżyświat, a za nim pan Fogg, który podał rękę młodej wdowie i pomógł jej zejść na peron. Pan Fogg postanowił bezzwłocznie udać się na statek zmierzający do Hongkongu i zająć się ulokowaniem tam pani Audy. Chciał jej towarzyszyć dopóty, dopóki znajdowano się na terytorium indyjskim, gdzie wciąż czyhało na nią niebezpieczeństwo.

Ale gdy wychodził z dworca, zbliżył się doń policjant.

- Pan Fileas Fogg? - zapytał.

- To ja.

- Ten człowiek jest pańskim służącym? - policjant wskazał Obieżyświata.

- Tak.

- Panowie zechcą udać się ze mną.

Pan Fogg ani jednym gestem nie zdradził swego zdziwienia. Policjant reprezentował prawo, a dla każdego Anglika prawo jest rzeczą świętą. Naturalnie Obieżyświat, jako typowy Francuz, nie zamierzał ustąpić bez kłótni, ale policjant dotknął go końcem pałki, a pan Fogg dał mu znak, żeby był posłuszny.

- Czy ta dama może nam towarzyszyć? - zapytał pan Fogg.

- Owszem, może - odpowiedział przedstawiciel władzy i zaprowadził wszystkich troje do czteroosobowego powozu, zaprzęgniętego w dwa konie, który nosi tu nazwę "palkinghari".

Powóz ruszył. Podczas drogi nikt się nie odezwał ani słowem.

Jechali z początku ciasnymi uliczkami tak zwanego "Czarnego Miasta", zabudowanego szeregiem marnych lepianek, gdzie tłoczył się lud różnorakiego pochodzenia, biedny, brudny, obdarty. Potem powóz wtoczył się do dzielnicy europejskiej, jaśniejszej wesołymi budowlami z cegły, ocienionej szpalerami drzew kokosowych, najeżonej masztami. Tu, mimo wczesnej godziny, paradowali już wytworni jeźdźcy i turkotały zbytkowne zaprzęgi. "palkinghari" stanął przed prostym i widocznie nie na cele mieszkalne przeznaczonym budynkiem. Więźniowie - trudno ich było teraz inaczej nazwać - wysiedli na znak dany przez policjanta i udali się za nim do izby o zakratowanych oknach. Stróż prawa oznajmił:

- O pół do dziewiątej staną panowie przed sędzią Obadiahem.

Powiedziawszy to wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- A więc przyłapano nas... - stęknął Obieżyświat osuwając się na krzesło. A pani Auda zwróciła się do pana Fileasa drżącym głosem, na próżno starając się ukryć wzruszenie:

- Panie, proszę mnie zostawić memu losowi. Przeze mnie jest pan Aresztowany. To dlatego, że pan mnie uratował...

Pan Fileas Fogg odpowiedział stanowczo, że to wykluczone. Nie do pomyślenia jest bowiem, aby niedoszli mordercy ośmielili się wystąpić z tego rodzaju skargą. To po prostu jakieś nieporozumienie. Dodał, że w żadnym wypadku nie porzuci pani Audy i będzie jej towarzyszył aż do Hongkongu.

- Ale statek odpływa o dwunastej - wtrącił Obieżyświat.

- Przed dwunastą będziemy na pokładzie - rzekł spokojnie jego pan. Zostało to powiedziane z takim przekonaniem, że lokaj mimo woli mruknął do siebie:

- Do licha, to jasne, że będziemy tam przed dwunastą! Czemu mielibyśmy nie być?

Ale nie był tak bardzo tego pewny.

O wpół do dziewiątej otworzyły się drzwi, zjawił się policjant i wyprowadził więźniów do sąsiedniej sali. Była to sala rozpraw. Część przeznaczoną dla publiczności zajęli już Europejczycy i tubylcy.

Pan Fogg, pani Auda i Obieżyświat zajęli ławę naprzeciw krzesel sędziego i pisarza.

W tej chwili ukazał się sędzia, pan Obadiah, a za nim wsunął się pisarz. Sędzia był gruby i okrągły jak arbuz. Zdjął wiszącą na gwoździu perukę i wciągnął ją zrećźnie na głowę.

- Sprawa pierwsza - ogłosił. Ale w tej samej chwili podniósł rękę do głowy i zdziwił się.

- Przecież to nie moja peruka!

- Rzeczywiście, panie sędzio, to moja - przyznał pisarz.

- No, mój drogi panie Oysterpuf, jakże pan chcesz, żeby sędzia w peruce pisarza wydał słuszne orzeczenie!

Tu pan Obadiah i pisarz zamienili peruki. Podczas gdy się to działo, Obieżyświat siedział jak na rozżarzonych węglach: wydawało mu się, że wskazówka wielkiego ściennego zegara posuwa się ze straszliwą szybkością.

- Sprawa pierwsza - powtórzył sędzia.

- Fileas Fogg! - wywołał pisarz.

- Jestem - odparł dżentelmen.

- Jan Obieżyświat!

- Obecny - rzekł służący.

- W porządku - zaczął sędzia. - Już dwa dni mijają, jak czatujemy na oskarżonych przy każdym pociągu, który przybywa z Bombaju.

- Oskarżonych? O co? - wyrwał się Obieżyświat drżąc z niecierpliwości.

- O tym oskarżony zaraz się dowie - odpowiedział sędzia.

- Panie sędzio, jestem obywatelem Angielskim - rzekł pan Fileas Fogg - i mam prawo...

- Czy panu w czymkolwiek ubliżono?

- Nie.

- W porządku - zaczął sędzia. - Już dwa dni mijają...

Na rozkaz sędziego woźny otworzył drzwi i wprowadził na salę trzech hinduskich kapłanów.

- Masz tobie! - mruknął Obieżyświat. - To ci łajdacy, którzy chcieli nam spalić młodą panią!

Kapłani stanęli przed stołem sędziego, A pisarz głośno odczytał Akt oskarżenia, gdzie pomawiano o świętokradztwo urodzonego Fileasa Fogga i jego służącego, winnych zbezczeszczenia miejsca uświęconego przez religię bramińską.

- Czy oskarżeni dobrze słyszeli? - spytał sędzia, gdy Akt został odczytany.

- Tak, panie sędzio - rzekł Fileas Fogg i spojrzał na zegarek. - Słyszałem i przyznaję się...

- Aha, przyznaje się pan?

- Tak jest! I czekam, Aż z kolei ci trzej kapłani przyznają się do tego, co robili w świątyni w Piladzi.

Kapłani spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Miny ich świadczyły, że nie pojmują, o co oskarżonemu chodzi.

- A właśnie! - krzyknął porywczo Obieżyświat. - W świątyni w Piladzi, gdzie zabierali się do spalenia swej ofiary!

Kapłani osłupieli, A sędzia Obadiah był zaskoczony.

- Ofiary? - spytał. - Jakiej ofiary? Chcieli spalić kogoś w centrum Bombaju?

- W Bombaju? - zdziwił się z kolei Obieżyświat.

- Naturalnie. Chodzi nie o świątynię w Piladzi, Ale o świątynię w dzielnicy Malabar Hill w Bombaju.

- A oto - dodał pisarz - dowód rzeczowy, obuwie tego, który zbezczeszczył świątynię.

I pisarz postawił na stole parę butów.

- To moje buty! - wrzasnął zdumiony do najwyższego stopnia lokaj.

Można sobie wyobrazić, jak Obieżyświat i jego pan byli zmieszani tym obrotem sprawy. Już dawno zapomnieli o przygodach Obieżyświata w Bombaju, A oto odżyły one i zawiodły ich przed sędziego w Kalkucie.

Pan Fix pojął w lot, jak wielką może wyciągnąć korzyść z niefortunnego przypadku Obieżyświata. Opóźniając swój wyjazd o dwanaście godzin, odbył długą naradę z kapłanami w Malabar Hill. Obiecał im poważne odszkodowanie za zniewagę świętego miejsca, dobrze wiedząc, że stanowisko władz wobec przestępstw tego rodzaju jest bardzo surowe. Następnie pouczył kapłanów o kierunku ucieczki świętokradcy i załadował się wraz z nimi do pierwszego pociągu do Kalkuty. Hindusi i inspektor znaleźli się tam wcześniej niż pan Fogg ze swoim służącym, których zatrzymały w drodze wypadki w Piladzi. Uprzedzone depeszą władze sądowe w Kalkucie miały zatrzymać dżentelmena na stacji. Niech nas nie dziwi wielkie rozczarowanie pana Fixa, gdy się dowiedział, że ściganych nie ma jeszcze w stolicy Indii. Nawiedziła go ponura myśl, że sprytny złodziej wysiadł po drodze na którejś ze stacyjek i dał drapaka, Aby ukryć się w głębi prowincji północnych. Dręczony złymi przecuciami detektyw przez dwadzieścia cztery godziny warował na dworcu. Jakaż była jego radość, gdy dzisiejszego ranka ujrzał pana Fogg'a wysiadającego z wagonu. Wprawdzie w towarzystwie jego znajdowała się kobieta, czego Fix nie umiał sobie wytłumaczyć, Ale to nie zmieniało postaci rzeczy. Natychmiast pchnął w ich stronę policjanta i oto troje podróżnych znalazło się przed obliczem sędziego Obadiaha.

Gdyby Obieżyświat był mniej pochłonięty rozprawą, byłby zauważył wciśniętego w kąt sali Fixa, który z łatwo zrozumiałym zajęciem śledził przebieg procesu. Biedny detektyw wciąż nie mógł doczekać się nakazu Aresztowania - nie było go dotąd w Kalkucie, tak jak nie dotarł na czas do Suez i Bombaju.

Tymczasem sędzia Obadiah kazał zaprotokołować zeznanie, które wymknęło się Obieżyświatowi, ten zaś wiele dałby za to, gdyby mógł swe niebaczne słowa odwołać.

- Zatem oskarżeni przyznają się do winy? - rzekł sędzia.

- Przyznajemy się - powiedział zimno pan Fogg.

- Sąd - ciągnął sędzia - zważywszy, że rząd Angielski wszystkie religie ludu hinduskiego w równej mierze opieką swą otacza i że oskarżony Obieżyświat przyznał się do znieważenia świętokradzką stopą posadzki świątyni w Malabar Hill w Bombaju dnia 20 października, skazuje rzeczony Obieżyświata na dwa tygodnie Aresztu oraz grzywnę w wysokości trzystu funtów.

- Trzysta funtów! - zawołał lokaj względnie obojętny na Areszt, A za to przerażony wysokością grzywny.

- Uprasza się o zachowanie ciszy! - krzyknął piskliwym głosem woźny.

- Wprawdzie - mówił dalej sędzia - nie zostało faktycznie dowiedzione, że sługa działał w porozumieniu z panem, ten ostatni jednak jest odpowiedzialny za postęпки najętego przezeń sługi. Sąd, zważywszy to wszystko, skazuje rzeczzonego Fileasa Fogg na tydzień Aresztu i sto pięćdziesiąt funtów grzywny. Panie pisarzu, proszę wywołać następną sprawę.

Fix w swoim kącie przeżył niewysłowioną satysfakcję. Zatrzymanie Fogg przez cały tydzień w Kalkucie dawało inspektorowi więcej czasu, niż było trzeba, żeby doczekać się nadejścia upragnionego nakazu.

Obieżyświat był zdruzgotany. Wyrok oznaczał ruinę dla jego pana. Niweczył szanse wygrania dwudziestu tysięcy funtów. A wszystko dlatego, że jemu, przekłętemu niedoładze, zachciało się wetknąć nos do tej idiotycznej świątyni!

Tymczasem pan Fogg, opanowany jak zawsze, nie mrugnawszy nawet okiem - tak jakby ten wyrok dotyczył kogo innego - słuchał wyprostowany słów sędziego.

W momencie gdy pisarz oznajmił drugą sprawę, wstał z ławy i rzekł:

- Składam kaucję.

- To pańskie prawo - odpowiedział sędzia Obadiah.

Po grzbiecie Fixa przebiegły ciarki. Odzyskał spokój dopiero wtedy, gdy usłyszał orzeczenie sędziego: "...Biorąc pod uwagę, że podsądni: Fogg i jego służący, są cudzoziemcami, sąd oznacza wysokość kaucji dla każdego z nich na sumę tysiąca funtów".

Znaczyło to, że jeżeli Fileas Fogg nie chciał odbyć kary, musiał zapłacić olbrzymią sumę dwóch tysięcy funtów.

- Płacę - oznajmił dżentelmen.

Z worka podróznego, który dźwigał jego lokaj, wydobył paczkę banknotów i położył ją na stole pisarza.

- Suma złożona przez podsądnego zostanie mu zwrócona po jego wyjściu z więzienia - powiedział sędzia. - Do tego czasu jesteście panowie wolni za kaucją.

- Chodźmy - rzekł pan Fileas Fogg do służącego.

- Niechże mi przynajmniej buty oddadzą! - krzyknął Obieżyświat czerwony ze złości. Oddano mu buty.

- Kosztowne łapcie! - mruknął lokaj. - Przeszło tysiąc funtów każdy. A w dodatku obydwu mnie uwierają.

Obieżyświat, skruszony i żalony, postępował za swoim panem, który prowadził pod ramię panią Audę. Fix łudził się jeszcze, że może złoczyńca nie zdecyduje się tracić tak ogromnej sumy i raczej odsiedzi osiem dni więzienia. Z tą myślą wysunął się za odchodzącymi. Ale pan Fogg najął powóz, usadowił się w nim wraz z Hinduską i Obieżyświatem i detektyw Fix musiał w rezultacie biec za kołami pojazdu aż do przystani.

Pół mili od przystani stał zakotwiczony na redzie parowiec "Rangun" z wciągniętą już na maszt flagą. Znaczyło to, że statek wkrótce odpływa. Wybiła godzina jedenasta. Fileas Fogg przybył więc o godzinę za wcześnie. Fix widział, jak wysiada z powozu i schodzi w towarzystwie pani Audy i Obieżyświata do łodzi przewoźnika. Detektyw tupnął nogą.

- A, łotr! - pinił się. - Dwa tysiące funtów jak nic rzucił! Marnotrawny prawdziwie po złodziejsku! Dobrze, przydybię tego ptaszka, choćby na końcu świata. Tylko że zmykając w ten sposób, gotów mi roztrwonić wszystkie skradzione pieniądze.

Obawy Fixa miały pewną podstawę. Istotnie, od czasu swego wyjazdu z Londynu, opłaciwszy podróż, nagrody, słonia, kaucję i grzywny, pan Fogg rozsiał już był na swym szlaku przeszło pięć tysięcy funtów; tym samym okrutnie stopniał odsetek, który detektyw spodziewał się zainkasować od uratowanej dla Banku sumy.

Rozdział szesnasty

w którym detektyw Fix zdaje się nie pamiętać o swoich dawnych sprawach

“Rangun”, parowiec żelaznej konstrukcji, o wyporności tysiąca siedmiuset siedemdziesięciu ton i sile nominalnej czterystu koni, był własnością tego samego towarzystwa żeglugowego, co “Mongolia”, i obsługiwał morza Chin i Japonii. Szybkością dorównywał “Mongolii” ustępując jej za to pod względem komfortu i pani Auda nie znalazła na statku takich wygód, jakimi chciał ją otoczyć pan Fogg. Szczęściem, chodziło tylko o przebycie trzytysiącepięćsetmilowej odległości, co nie mogło zabrać więcej niż jedenaście czy dwanaście dni. Zresztą młoda wdowa okazała się pasażerką mało wymagającą.

W ciągu pierwszych dni podróży pani Auda miała okazję bliżej poznać swego wybawcę. Na każdym kroku starała się okazać mu swoją serdeczną wdzięczność. Ale flegmatyczny dżentelmen słuchał jej, jak się zdawało, z największym chłodem. Nigdy Ani tonem głosu, Ani gestem nie okazał przelotnego choćby wzruszenia. Natomiast dbał pilnie o to, żeby pięknej towarzysze na niczym nie zbywało. Co dzień o określonej porze zjawiał się, Aby porozmawiać z nią, A właściwie, Aby posłuchać z nienaganną uprzejmością tego, co mówi młoda wdowa. Wypełniał ściśle, co mu nakazywał obowiązek grzeczności, z wdziękiem Automatu, którego ruchy przystosowano specjalnie do tego celu. Pani Auda nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć, i Obieżyświat musiał jej wyjaśnić całą dziwaczność osobowości swego pana. Opowiedział o zakładzie, który pchnął dżentelmena w podróż dookoła świata. Uśmiechnęła się na to młoda pani, Ale spoglądała na dziwnego Anglika poprzez zasłonę tak głębokiej wdzięczności, że nie było mowy, Aby jakaś krytyczna myśl zmaćła to uczucie.

Pani Auda potwierdziła to wszystko, co o jej wzruszających dziejach opowiadał przewodnik Pars. Pochodzenie młodej kobiety istotnie wyznaczało jej w kraju miejsce wśród najpierwszych. Wielu Parsów porobiło ogromne fortuny na handlu bawełną. Jeden z nich, kupiec bombajski Jakub Jejeebhoy, który otrzymał szlachectwo od rządu Angielskiego, był jej krewnym. Czcigodny Jejeeh, którego chciała odszukać w Hongkongu, był właśnie kuzynem sir Jejeebhoya. Ale Hinduska nie była pewna, czy znajdzie w Hongkongu spodziewane schronienie. Pan Fogg nie podzielał jej obaw: uważał, że wszystko będzie dobrze i problem zostanie rozwiązany “matematycznie”. Tak się właśnie wyraził.

Nie wiadomo, czy młoda kobieta należycie oceniała to określenie. W każdym razie jej wielkie oczy, "przejrzyste jak święte jeziora Himalajów", wpatrywały się uporczywie w oblicze Anglika. Jednakże ten, sztywniejszy jeszcze niż zazwyczaj, nie wyglądał na człowieka, który miałby ochotę zanurzyć się w ich toni.

Pierwsza część podróży odbywała się w jak najlepszych warunkach. Pogoda sprzyjała żegludze. Cała ta część olbrzymiej zatoki, którą marynarze nazywają "przedpiersiem Bengalu", okazała się łaskawa dla parowca.

"Rangun" znalazł się wkrótce naprzeciw największej wyspy Archipelagu Andamanów, którą z daleka sygnalizuje żeglarzom jej malownicza góra Saddle Peak, wysoka na dwa tysiące czterysta stóp.

Choć przepływano blisko brzegów, nigdzie nie można było dostrzec mieszkańców tych wysp. Ludzie ci stoją na bardzo niskim stopniu rozwoju, jednak najzupełniej niesłusznie pomawia się ich o ludożerstwo.

Przed oczami pasażerów przesuwiała się wspaniała panorama wyspy. Na brzegach ciągnęły się nieprzemierzone lasy palm wachlarzowych, Arek, bambusów, drzew muszkatowych, tekowców, mimoz i paproci drzewiastych. W oddali rysowały się smukłe sylwetki gór. Na wybrzeżu morskim Aż rojno było od salangan, których gniazda uważane są w Państwie Smoka za przysmak i wysoko cenione. Ale wkrótce z oczu urzekająca panorama Andamanów i statek zbliżył się do Cieśniny Malajskiej, która stanowi jakby wrota do mórz chińskich.

Jakże się zachowywał podówczas pan Fix, mimo woli wciągnięty w tę podróż naokoło świata? Pozostawiwszy w Kalkucie zlecenie, Aby natychmiast po nadejściu nakazu Aresztowania odesłać go do Hongkongu, detektyw, nie zauważony przez Obieżyświata, załadował się na statek. Miał nadzieję, że niepostrzeżenie przybędzie wraz z Foggiem do celu. Trudno byłoby mu wytłumaczyć swą obecność na "Rangunie" bez obudzenia podejrzeń Obieżyświata, który był przekonany, że Fix został w Bombaju. Jednak, jak się zaraz okaże, logiczny bieg wypadków postawił go znów oko w oko z sympatycznym lokajem.

Wszystkie nadzieje detektywa, najgorętsze jego życzenia skupiały się teraz na jednym punkcie globu - na Hongkongu. W Singapurze statek zatrzymywał się zbyt krótko, Aby inspektor mógł tam cośkolwiek działać. Aresztować Fogga można było tylko w Hongkongu - Albo nigdy. Potem złodziej umknie bezpowrotnie.

Hongkong był ostatnim skrawkiem terytorium pod władzą Angielską na trasie, którą przemierzał pan Fogg. Minąwszy to miasto, mógł z łatwością ukryć się w Chinach,

Japonii czy Ameryce. W Hongkongu, byle tylko zastać na miejscu nakaz Aresztowania, zakuje się franta w kajdanki i odda miejscowej policji. Sprawa prosta. Natomiast poza obrębem Hongkongu zwykły nakaz nie wystarczy. Trzeba by się starać o wydanie przestępcy u miejscowych władz. Stąd nieuniknione włączenie się po urzędach, trudności i zwłoka, z czego łajdak nie omieszkałby skorzystać, Aby drapnąć na cztery wiatry.

“Słowem - medytował Fix w czasie długich godzin spędzanych w kabinie - Albo znajdę nakaz Aresztowania w Hongkongu i wtedy wezmę ptaszka w garść, Albo nakazu nie zastanę i wówczas trzeba będzie za wszelką cenę zatrzymać Fogga w mieście. Wystrychnął mnie na dudka w Bombaju i w Kalkucie. Jeśli do tego dojdzie i w Hongkongu, diabli wezmą moją reputację. Tym razem rzecz musi być załatwiona; niech się dzieje, co chce. Ale na jaki by tu się wziąć sposób, by w razie potrzeby opóźnić wyjazd Fogga z Hongkongu?”

Fix gotów był w ostatecznym razie wyznać wszystko Obieżyświatowi, zdemaskować przed nim pana, u którego służy, boć współnikiem jego na pewno nie jest. Lokaj, zastraszone perspektywą odpowiedzialności, sprzymierzy się z detektywem. W każdym razie sposób byłby ryzykowny i należało uciec się do niego tylko w ostateczności. Niech Obieżyświat słówko piśnie swemu chlebodawcy, A cała sprawa przypadnie nieodwołalnie.

Tak więc inspektor policji miał się czym martwić i nad czym głowić. Obecność pani Audy u boku Fileasa Fogga otworzyła przed nim nowe perspektywy. Kimże była ta kobieta? W jakich okolicznościach znalazła się w towarzystwie pana Fogga? Nie ulegało wątpliwości, że musiał ją spotkać gdzieś między Bombajem a Kalkutą. Ale gdzie? Byłoby to spotkanie przypadkowe czy też odwrotnie - zetknięcie się tych dwojga leżało w planie podróży? Młoda osoba była prześliczna. Fix przekonał się o tym na sali sądowej w Kalkucie.

Detektyw był zaintrygowany. Doszedł do wniosku, że cała ta Afera może kryć jakiś niedozwolony prawem postępek, kto wie, czy nie porwanie. Tak, inaczej być nie mogło. Owładnięty tą myślą, już się zastanawiał, jakie korzyści wyciągnie z nowego układu rzeczy. Czy młoda pani jest zamężna, czy nie - w każdym razie musiała zostać porwana i są wszelkie dane, żeby w Hongkongu napytać Awanturnikowi prawdziwej biedy, z której już się nie zdoła wykręcić za pomocą pieniędzy. Byłoby wszelako rzeczą nierozsądną czekać aż do Hongkongu. Pan Fogg ma irytujący zwyczaj przeskakiwania z jednego statku na drugi i zanim poczyni się jakiegokolwiek kroki, może już być za późno.

Detektyw uznał tedy za konieczne zawczasu uprzedzić władze Angielskie w Hongkongu o przybyciu “Rangunu”. Nie przedstawiało to trudności, bo statek zawijał na krótki postój do Singapuru, A port ten utrzymuje łączność telegraficzną z wybrzeżem chińskim.

Aby być pewniejszym swego i nie działać na ślepo, Fix wolał wybadać przedtem Obieżyświata. Wiedział, że nie ma nic łatwiejszego, jak pociągnąć Francuza za język, i zdecydował się odkryć dotychczasowe swoje "incognito". Nie było czasu do stracenia. Nazajutrz, to znaczy 31 października, "Rangun" miał rzucić kotwicę w Singapurze.

Pan Fix wyszedł z kabiny na pokład, układając sobie, że zaczepi Obieżyświata niby to przypadkiem, z oznakami zdziwienia. Zastał lokaja na dziobie i pośpieszył ku niemu z okrzykiem.

- Co takiego?! I pan na "Rangunie"?!

Obieżyświat nie mógł wyjść ze zdumienia, poznawszy swego znajomego z "Mongolii".

- Pan Fix tutaj? - mówił. - Jakże to? Zostawiłem pana w Bombaju, A teraz odnajdujemy się w drodze do Hongkongu? Chyba pan też odbywa podróż naokoło świata?

- Skądże znowu! - odpowiedział Fix. - W Hongkongu schodzę na ląd. Przynajmniej na kilka dni.

- Aha - rzekł wciąż zdziwiony lokaj. - A jakże się to stało, żeśmy się z panem nie zetknęli od wyruszenia z Kalkuty?

- Widzi pan, byłem nieco słaby... Choroba morska. Trzeba było poleżeć trochę w łóżku. Zatoka Bengalska mniej mi służyła niż Ocean Indyjski. A jakże pański pryncypał, pan Fogg?

- W dobrym zdrowiu. I po dawnemu punktualny jak rozkład jazdy. Ani jednego dnia opóźnienia. Ale, Ale, panie Fix, pan nawet nie wie, że towarzyszy nam młoda dama!

- Młoda dama? - powtórzył Fix z taką miną jakby nie pojmował, o co jego rozmówcy chodzi.

Nie upłynęło wiele czasu, A dowiedział się od Obieżyświata wszystkiego, co trzeba. Służący opowiedział mu o przygodzie w świątyni bombajskiej, o nabyciu słonia za dwa tysiące funtów, o stosie, na którym miała spłonąć pani Auda, i o jej porwaniu, o wyroku sądowym w Kalkucie i o uwolnieniu za kaucję. Fix, choć znał doskonale te ostatnie wydarzenia, udawał zupełną nieświadomość, A Obieżyświat, zadowolony, że znalazł chętnego słuchacza, rozgadał się na dobre.

- No, dobrze - spytał wreszcie Fix - Ale czy pański chlebodawca chce tę niewiastę wieźć Aż do Europy?

- Co znowu, panie Fix! Po prostu odstawimy ją do jednego z jej krewnych, bogatego kupca w Hongkongu.

- Na nic moje zamysły! - mruknął do siebie Fix starając się ukryć rozczarowanie. -
Cóż? Napijemy się, panie Obieżyświat? - dodał głośno.

- Tego się nigdy nie odmawia, panie Fix. Musimy oblać nasze spotkanie na
"Rangunie".

Rozdział siedemnasty

w którym to i owo zdarza się w drodze między Singapurem A Hongkongiem

Odtąd Obieżyświat i Agent spotykali się często, jednak Fix zachowywał dużą rezerwę wobec swego kompana i nie próbował go więcej ciągnąć za język. Raz czy dwa ujrzał w głównym salonie pana Fileasa Foggga, który Albo przebywał tam w towarzystwie pani Audy, Albo, jak to było w jego zwyczaju, siedział przy wiście.

Tymczasem Obieżyświat zaczął się zastanawiać nad dziwnym zbiegiem okoliczności, który jeszcze raz postawił Fixa na drodze pana Foggga. Rzeczywiście, było to co najmniej dziwne. Wszędzie gdzie tylko ruszył się Fileas Fogg, od razu zjawiał się ten niezwykle uprzejmy jegomość: najpierw w Suezie, potem na "Mongolii", wreszcie na "Rangunie", mimo że zamierzał pozostać w Bombaju. Nad tym warto się było zastanowić. Miał tu miejsce zbieg okoliczności zaiste dość dziwny. O co temu człowiekowi chodziło? Obieżyświat gotów był postawić w zakład swoje haftowane pantofle, które pieczołowicie przechowywał w torbie, że zagadkowy pan Fix opuści Hongkong jednocześnie z jego panem, i to prawdopodobnie tym samym parostatkiem.

Ale gdyby nawet sto lat nad tym się zastanawiał, nigdy by nie odgadł, jakiego rodzaju misję spełnia imć pan Fix. Nigdy by mu w głowie nie powstało, że ktoś może tropić jego pana, podejrzewając go o kradzież. Ponieważ jednak leży w naturze ludzkiej znajdować wyjaśnienie dla każdej rzeczy, więc i Obieżyświat wpadł na olśniewający domysł, który nieźle tłumaczył wszędobylstwo Fixa. Oto, według niego, Fix jest niezawodnie detektywem wysłanym w tropy pana Fileasa przez jego kolegów z klubu "Reforma", którzy uciekli się do tego środka, Aby skontrolować, czy trasa podróży pana Foggga odpowiada warunkom zakładu.

- Jasne jak słońce! - wykrzyknął lokaj dumny ze swojej domyślności. - Wsadzili nam szpicla na kark. A to źmije! I kogóż to chcą śledzić: mego pana, uosobienie prawości i honoru?

Do paraszka! To was będzie drogo kosztować, panowie spryciarze...

Był zachwycony swoim odkryciem, Ale postanowił o niczym nie mówić panu Foggowi. Taki brak zaufania ze strony przeciwników może boleśnie zranić dżentelmena. Za to przyrzekł sobie przy okazji tego zakpić z Fixa, nie zdradzając się zresztą, że go przejrzał na wylot.

W środę, 30 października, po południu "Rangun" wchodził w Cieśninę Malajską, która oddziela półwysep Malakka od lądu Sumatry. Urwiste, pokryte górami, malownicze wysepki zasłaniały widok na wielką wyspę.

Nazajutrz o czwartej nad ranem, to znaczy o pół dnia wcześniej, niż plan przewidywał, "Rangun" przybył do Singapuru i zatrzymał się tu, Aby odnowić zapas węgla.

Pan Fileas w odpowiedniej rubryce notesu zapisał czas zyskany w tej podróży i wyjątkowo wyszedł na ląd, ulegając życzeniu pani Audy, która chciała zażyć spaceru.

Fix, któremu każdy krok pana Fogga wydawał się podejrzany, ruszył za nimi chyłkiem. Nie uszło to oczu Obieżyświata: śmiał się w kułak z manewrów detektywa. Lokaj wybierał się na miasto, Aby poczynić zwykłe sprawunki.

Wyspa Singapur nie jest Ani wielka, Ani zbyt malownicza: brak jej gór, jest płaska, Ale właśnie te jej niewielkie rozmiary stanowią pewien urok. Wygląda jak starannie wygracowany park, poprzecinany równymi, pięknymi ścieżkami. Pani Auda i pan Fileas jechali eleganckim powozem zaprzęgniętym w parę rasowych koni sprowadzonych tu z Indii Holenderskich. Po obu stronach drogi rosły palmy, rozkładając swe lśniące liście, i drzewa goździkowe o wpółotwartych kwiatach. Widziało się krzaki pieprzu, które zastępują tu kolczaste żywopłoty wsi europejskich, ówdzie pysznymi koronami kołysały drzewiaste paprocie i sagowce, gdzie indziej drzewa muszkatoowe napełniały powietrze niewysłowionym zapachem. Na gałęziach wykrzywiały się niesforne i ruchliwe zgraje małp, A w głębi gęstwiny czyhały zapewne tygrysy. Trudno pojąć, w jaki sposób drapieżniki te potrafiły się utrzymać na małej, gęsto zaludnionej wyspie: mieszkańcy jej utrzymują, że przedostają się wpływ z Malakki.

Zażywszy w ciągu dwóch godzin przejażdżki, pani Auda i jej towarzysz - którego oczy, choć otwarte, niewiele zdawały się widzieć z otaczającego piękna - wjechali do miasta. Było to skupisko ciężkich, niewysokich domów, które tonęły w masie ogrodów obfitujących w mango, Ananasy i inne najwyborniejsze na świecie owoce.

Wrócili na pokład o godzinie dziesiątej, Ani przypuszczając, że byli cały czas śledzeni przez upartego detektywa i że narazili biedaka na koszty wynajęcia powozu.

Obieżyświat był już na statku. Zaczny chłopiec zakupił kilka tuzinów wielkich jak jabłka owoców mango o skórce z wierzchu ciemnobrązowej, A purpurowej wewnątrz, których biały rozpływający się w ustach miąższ nęci najwybredniejszych smakoszy. Obieżyświat ofiarował te owoce pani Audzie i nie posiadał się ze szczęścia, słysząc z jej ust wdzięczne podziękowania.

O jedenastej "Rangun" skończył ładowanie węgla i podniósł kotwicę. W kilka godzin później pasażerowie stracili z oczu wyniosłe góry Malakki, ojczyznę najpiękniejszych na świecie tygrysów.

Z Singapuru do Hongkongu, małej oazy Angielskiej, wyłączonej z chińskiego terytorium, jest około tysiąca trzystu mil. Panu Fileasowi zależało na tym, aby tę odległość przebyć w ciągu najwyżej sześciu dni, bo wówczas zdążyłby na statek, który 6 listopada odpływał z Hongkongu do Jokohamy, jednego z głównych portów Japonii.

Na "Rangunie" było tłoczno. W Singapurze weszło na statek wielu Hindusów, Cejlończyków, Malajów, Chińczyków i Portugalczyków. Większość zajmowała kabiny drugiej klasy.

Pogoda, dotąd tak piękna, zmieniła się podczas ostatniej kwadry księżyca. Morze było wzburzone. Dął silny wiatr, szczęściem od południo-wschodu, co raczej sprzyjało żegludze. W odpowiedniej chwili kapitan skorzystał z tego i kazał postawić żagle. "Rangun", mający osprzęt brygu, rozwijał zwykle oba marsle oraz fok i wtedy szybkość jego wzrastała dzięki połączonej pracy wiatru i pary. Mocując się z krótką, złośliwą falą, statek sunął wzdłuż brzegów Annamu i Kochinchiny.

Podróż była męcząca i większość pasażerów chorowała. Zresztą winę trzeba przypisać nie tyle morzu, co samemu parostatkowi. Statki "Towarzystwa Żegluga Wschodnio-Indyjskiej", obsługujące morza chińskie, mają poważną wadę w swojej konstrukcji: stopień ich zanurzenia przy pełnym ładunku został źle skalkulowany w stosunku do powierzchni kilu, tak że w rezultacie słabo wytrzymują napór fal. Wystarczy, żeby niewielka masa wodna uderzyła o burty, a parowiec traci równowagę.

Z tego powodu statki te - nie mówiąc na razie o maszynach - są dużo mniej warte od jednostek należących do "Francuskiego Towarzystwa Żeglugowego", jak na przykład "Cesarzowa" czy "Kambodża"; zgodnie z obliczeniami konstruktorów oba te statki mogą wziąć ładunek równy ich własnemu ciężarowi, gdy statki "Towarzystwa Żegluga Wschodnio-Indyjskiej": "Golkonda", "Korea" i "Rangun", nie mogłyby załadować nawet jednej szóstej swego ciężaru, nie ryzykując pójścia na dno.

Toteż teraz, gdy pogoda się popsowała, należało mieć się na baczności. Pod zmniejszoną parą wielokrotnie stawano w dryf. Wynikająca z tego strata czasu zdawała się wcale nie obchodzić pana Fogga, natomiast do najwyższej irytacji doprowadzała jego lokaja. Ten kłął wówczas, na czym świat stoi, mechaników, towarzystwo żeglugowe, kapitana oraz posyłał do diabła wszystkich tych, którzy się biorą do przewożenia

podróżnych. Być może, że wspomnienie gazu, który palił się na jego koszt w domu przy Saville Row, znacznie wpłynęło na spotęgowanie złego humoru pocziwca.

- Czyżby się pan Aż tak spieszył do Hongkongu? - zagadnął go kiedyś Fix.

- Jakbyś pan wiedział!

- Czy pański chlebowdawca chce koniecznie zdążyć na statek do Jokohamy?

- Koniecznie.

- Więc pan ciągle wierzy, przyjacielu, w tę fantastyczną podróż naokoło świata?

- Najzupełniej. A pan?

- Ja? Nigdy w to nie uwierzę.

- O figlarzu! - rzekł Obieżyświat i przymrużył znacząco jedno oko.

To słowo dało Fixowi do myślenia. Mrugnięcie, nie wiedzieć czemu, zaniepokoiło go. Czyżby Francuz przejrzał jego zamiary? Co o tym wszystkim sądzić? Ale jakże ten sługus mógł odgadnąć, że Fix jest detektywem, co było przecież tajemnicą służbową? W każdym razie z jego dwuznacznego zachowania widać, że coś mu świta w głowie.

Pewnego razu Obieżyświat posunął się jeszcze dalej. Nie mógł oprzeć się pokusie i utrzymać języka za zębami, zwrócił się więc do Fixa ze złośliwym uśmiechem.

- Czyżbyśmy w Hongkongu, drogi panie Fix, mieli utracić pańskie przemile towarzystwo?

- Właściwie... - plątał się zaskoczony Agent - sam jeszcze nie wiem... Być może, że...

- Ach! - wykrzyknął Obieżyświat. - Cóż by to była za frajda, gdyby pan dalej z nami jechał! Zważ pan sam: dobry Agent towarzystwa żeglugowego nie zatrzymuje się w pół drogi. Z początku wybierał się pan tylko do Bombaju, A oto dojechało się Aż do Chin! Ameryka niedaleko, A z Ameryki do Europy tylko jeden krok.

Fix wpatrzył się uważnie w uśmiechniętą od ucha do ucha twarz lokaja i nagle zaczął się śmiać razem z nim. Ale Obieżyświata wciąż język świerzbił, więc spytał, czy fach ten sporo panu Fixowi przynosi.

- Różnie - odparł Fix nie mrugnawszy nawet powieką. - Bywają interesy dobre i kiepskie. Ale rozumie pan przecież, że koszty podróży mnie nie obciążają.

- Oho! Co do tego nie mam wątpliwości! - odpalił Obieżyświat śmiejąc się na całe gardło.

Po tej rozmowie Agent wrócił do swej kabiny i oddał się rozważaniom. Obieżyświat wszyst- ko odgadł, nie ma dwóch zdań. Wie, że Fix jest detektywem. Ale czy uprzedził już swego pana? I jaką on sam gra w tym wszystkim rolę? Jest współnikiem złodzieja czy nim nie jest? Jeśli złoczyńcy zwietrzyli pismo nosem, czy znaczy to, że sprawa jest stracona? I

tak męczył się detektyw przez kilka godzin, raz uważając, że wszystko jest pogrzebane, to znowu ulegając nagłej nadziei, że pan Fogg o niczym jeszcze nie wie. Nie miał pojęcia, co począć.

Wreszcie uspokoił się i postanowił zagrać z Obieżyświatem w otwarte karty. Jeżeli sytuacja w Hongkongu nie pozwoli na schwytanie złodzieja i pan Fogg zechce opuścić ostatecznie terytorium Angielskie, wówczas Fix wyjawি wszystko Obieżyświatowi. Albo się okaże, że lokaj jest współnikiem swego pana i że ten zna prawdziwą rolę Fixa, A w takim razie całą rzecz diabli wezmą, Albo też sługa jest nieświadomy dokonanego przestępstwa i dla własnego dobra dopomoże w schwytaniu złoczyńcy.

Gdy się tak ważyły stosunki między tymi dwoma, pan Fileas Fogg unosił się nad nimi w chmurze majestatycznej obojętności. Z powagą krążył jak gwiazda po orbicie świata, Ani myśląc zwracać uwagę na tłoczące się wokół niego drobne gwiazdki.

A przecież - jeżeli wolno nam pozostać przy tych Astronomicznych porównaniach - miał w swoim pobliżu gwiazdę nader niepokojącą, której wpływ mógłby wywołać zaburzenia w jego sercu. Ale nie! Ku zdziwieniu Obieżyświata, urok pani Audy nie docierał do dżentelmena. I jeżeli w jego duszy powstawały jakieś zaburzenia, to w każdym razie trudniejsze do odszyfrowania niż te, które swego czasu dostrzeżono na Uranie i które doprowadziły do odkrycia Neptuna.

Tak, Obieżyświat był zawsze ogromnie zdziwiony, gdy odczytywał tyle wdzięczności dla jego pana w oczach młodej kobiety. Ano trudno, widocznie panu Foggowi tylko na bohaterskie czyny starczało serca - na nic innego nie było w nim miejsca. Nawet sprawy podróży i szanse wygrania zakładu nie zdawały się go wcale niepokoić.

Za to jego sługa żył w nieprzerwanym napięciu. Czasem, przechylony nad balustradą maszynowni, przypatrywał się pracy potężnego motoru. Niekiedy zdarzało się, że na skutek gwałtownego falowania morza śruba wynurzała się z wody, pracując wściekle w powietrzu, A z otwartych klap buchała para. Wywoływało to zawsze oburzenie Obieżyświata.

- Wentyle nie są dostatecznie obciążone! - wykrzykiwał. - Stoimy na miejscu! Ach, ci Anglicy! Ach! Czemuż nie płyniemy statkiem Amerykańskim: być może wylecielibyśmy w powietrze, Ale statek szedłby piorunem.

Rozdział osiemnasty

w którym pan Fileas Fogg, Obieżyświat i Fix zajmują się, każdy z osobna, swoimi sprawami

Podczas ostatnich dni podróży pogoda się pogorszyła. Wiatr wzmógł się. Ustaliwszy się z północnego zachodu, hamował bieg statku. "Rangun" zataczał się jak pijany i pasażerowie mogli mieć słuszną urazę do wichru, który bił w statek wielkimi, pobudzającymi do mdłości falami. 3 i 4 listopada rozpętał się prawdziwy sztorm. Wichura miotła falami z szaleńczą pasją. "Rangun" na pół dnia musiał lec w dryf, starając się tylko na słabych obrotach śruby utrzymać dziobem do fali. Mimo zwinięcia żagli nawałnica wyla w osprzęcie statku, jakby rozwścieczona tą resztką oporu.

Szybkość statku zmniejszyła się znacznie. Wyglądało na to, że jeżeli sztorm nie ustanie, "Rangun" dowlecze się do Hongkongu z dwudziestogodzinnym, A może i większym opóźnieniem.

Fileas Fogg przypatrywał się temu widowisku z niezmaconym spokojem, choć rozszalałe morze zdawało się wypowiadać walkę jemu osobiście. Czoła jego nie przesłoniła najmniejsza chmurka, A przecież jeżeli "Rangun" spóźni się o dwadzieścia godzin, nie mogło być mowy o odpłynięciu do Jokohamy najbliższym statkiem, co zakłócało w sposób ostateczny tempo podróży. Ale flegmatyczny dżentelmen tak się zachowywał jakby sztorm był przewidziany w odpowiedniej rubryce jego notesu. Obserwująca go pani Auda nie zauważyła żadnej zmiany w usposobieniu swego towarzysza.

Fix patrzył na huragan zgoła innym okiem. Był zachwycony wiatrem i bałwanami. A zachwyty dzielnego detektywa nie miałyby zapewne granic, gdyby "Rangunowi" przyszło schronić się przed burzą w którymś z portów. Najmniejsza zwłoka szła mu cudownie na rękę, bo zatrzymywała Foggę na kilka dni dłużej w Hongkongu. Cieszył się, że niebo wraz z wichrem i nawałnicami wzięło udział w jego grze. Chorował wprawdzie odrobinę, Ale cóż to ma za znaczenie! Mniejsza o to, że całe ciało skręcało się od ogarniających go raz po raz nudności; w tym samym czasie dusza Fixa wzbierała radością.

Natomiast Obieżyświat nawet nie ukrywał swej złości. Nerwy jego nie wytrzymały próby. Dotychczas wszystko szło jak z płatka! Ziemia i morze zdawały się być na usługach jego chlebobdawcy. I parostatek, i kolej były mu posłuszne. Wiatr i para sprzymierzały się dla jego dobra. Czyżby nadeszła pora zawodów i potknięć na tym gładkim dotychczas szlaku? Obieżyświat był na pół żywy ze zmartwienia, jakby owe dwadzieścia tysięcy funtów, postawione w zakład, miały być wyjęte z jego kieszeni. Sztorm doprowadzał go do rozpacz

i wściekłości. Chętnie byłby się rzucił z kijem na nieposłuszne morze. Biedaczysko! Dobrze robił Fix kryjąc się przed nim ze swą przewrotną uciechą, bo gdyby Obieżyświat ją spostrzegł, detektyw kiepsko by na tym wyszedł.

Przez cały czas trwania niepogody lokaj stał na pokładzie. W kabinie dusiły go niepokój i niecierpliwość. Kilkakrotnie, ku zdumieniu załogi, wspinał się z małpią zręcznością na maszty i pomagał we wszystkim. Zarzucał gradem pytań kapitana, oficerów i marynarzy, którzy nie mogli się powstrzymać od śmiechu, patrząc na tak rozstrojonego pasażera. Obieżyświat żądał kategorycznej odpowiedzi na pytanie: ile czasu trwać będzie sztorm? Odsyłano go wtedy do barometru, który wcale nie kwapił się iść na pogodę. Złośliwy przyrząd Ani drgnął, choć lokaj potrząsał nim niecierpliwie jak grzechotką i obrzucał go przekleństwami.

4 listopada stan morza uległ zmianie. Wiatr zmienił się na pomyślny. Wraz z nadejściem pięknych dni roz pogodził się i Obieżyświat. Wreszcie burza ucichła. Marsle i wszystkie dolne żagle zostały z powrotem rozwinięte i "Rangun" ruszył naprzód z nadzwyczajną szybkością. Ale straconego czasu już nie można było nadrobić. Należało się z tym pogodzić. Łąd ujrzano dopiero 6 listopada o piątej rano, a nie piątego, jak przewidywał rozkład znajdujący się w posiadaniu pana Fogg; dwadzieścia cztery godziny spóźnienia! Statek do Jokohamy jest już dawno w drodze!

O szóstej wszedł na mostek pilot i między bojami przeprowadził statek do portu w Hongkongu. Obieżyświat pałał chęcią, by wypytać tego człowieka, czy statek do Jokohamy opuścił już redę. Jednak pytanie nie mogło mu przejść przez gardło, wołał trzymać się nikłej nadziei do ostatniej chwili. Zwierzył się ze swoich obaw panu Fixowi. Ten, chytry jak lis, starał się go pocieszyć, że pan Fogg wybrnie jeszcze z kłopotu, biorąc następny statek. Doprowadzał tym Obieżyświata do szewskiej pasji.

Podczas gdy Obieżyświat nie odważył się zasięgnąć wieści u pilota, pan Fogg nie miał pod tym względem żadnych obiekcji. Zajrzał do swego rozkładu i spytał pilota, kiedy odchodzi parostatek do Jokohamy.

- Jutro z rannym przyplwem.

- Aha - rzekł bez najmniejszego zdziwienia pan Fogg.

Obieżyświat, obecny przy tej rozmowie, miał ochotę uścisnąć pilota, któremu Fix prawdopodobnie z rozkoszą ukreśliłby głowę.

- Jak się nazywa parostatek? - zapytał pan Fogg.

- "Carnatic".

- Jeśli wiem, miał on odpłynąć wczoraj.

- Tak, proszę pana, Ale jeden z kotłów wymagał naprawy i trzeba było przełożyć odjazd statku na następny dzień.

- Dziękuję panu - rzekł Fileas Fogg i, sztywny jak Automat, udał się do salonu. Obieżyświat, schwyciwszy pilota za rękę, ścisnął ją z całej siły.

- Z pana jest setny chłop, panie pilocie!

Zdziwiony pilot prawdopodobnie nie domyślił się nigdy, dlaczego jego proste odpowiedzi wywołały tak serdeczną wylewność. Usłyszawszy gwizdek, wstąpił na mostek sternika i poprowadził statek między flotyllą dżonek, [chińska łódź żaglowa.] łodzi rybackich i statków wszelkiego rodzaju, które zalegały wejście do portu. O pierwszej "Rangun" stał już na cumach przy nabrzeżu i wysypywali się z niego liczni pasażerowie.

W tym wypadku szczęśliwy traf pomógł panu Foggowi. Gdyby nie konieczność naprawienia kotłów, "Carnatic" byłby odpłynął 5 listopada i pasażerowie, udający się do Japonii, musieliby czekać osiem dni na następny statek. Wprawdzie pan Fogg opóźnił się o dwadzieścia cztery godziny, Ale opóźnienie to nie powinno było grać roli w dalszym rozkładzie podróży. Parostatek, utrzymujący połączenie na Pacyfiku między Jokohamą a San Francisco, zależny był od przybycia statku z Hongkongu i bez niego nie mógł wyruszyć w drogę. I chociaż do Jokohamy przybędzie się z dwudziestoczworgodzinnym opóźnieniem, w dwudziestodwudniowej podróży przez Pacyfik łatwo będzie tę zaległość odrobić. Tak więc pan Fileas (jeśli owych dwudziestu czterech godzin nie brać pod uwagę) znajdował się po trzydziestu pięciu dniach podróży w miejscu przewidzianym w jego planie.

"Carnatic" miał podnieść kotwicę dopiero nazajutrz o godzinie piątej, A więc pan Fogg miał przed sobą szesnaście godzin, które mógł poświęcić swoim sprawom, A właściwie sprawom pani Audy. Zszedłszy na molo, podał pięknej pani ramię i wprowadził ją do pierwszego z brzegu palankinu. Zapytał kulisów o najlepszy w mieście hotel i, stosując się do ich rady, kazał się nieść do Hotelu Klubowego. Z tyłu kroczył Obieżyświat. Po dwudziestu minutach drogi palankin znalazł się na miejscu.

Wprowadzono panią Audę do luksusowego numeru, troskliwie wybranego przez pana Fogga. Dżentelmen oświadczył, że idzie na poszukiwanie krewnych młodej wdowy, których pieczy miał ją powierzyć. Obieżyświatowi Aż do swego powrotu polecił zostać w hotelu, Aby pani Auda nie była bez opieki.

Wyszedł na ulicę i kazał się zaprowadzić na giełdę. Musiano tam niezawodnie znać osobistość tak szanowną, jak stary Jejeeh, którego zaliczano do najbogatszych kupców miasta. Makler, do którego zwrócił się pan Fogg, istotnie znał hinduskiego potentata, Ale

okazało się, że od dwóch lat nie przebywa on już w Chinach. Dorobiwszy się majątku przeniósł się, jak mniemano, do Holandii, gdzie miał liczne stosunki nawiązane w czasach swej działalności handlowej.

Pan Fogg powrócił do Hotelu Klubowego. Kazał się oznajmić pani Audzie i, stanąwszy przed nią, bez żadnych wstępów oświadczył, że czcigodnego Jejeeha nie ma już w Hongkongu i że przeniósł się prawdopodobnie do Holandii.

Parsjanka nic nie odpowiedziała. Przesunęła dłonią po czole i kilka chwil milczała. Wreszcie rzekła swym melodyjnym głosem:

- Cóż więc mam robić, panie Fileasie?

- To bardzo proste - odparł. - Jechać do Europy.

- Ale czyż mogę nadużywać...

- Nie ma o czym mówić! Obecność pani nie popsuje w niczym moich planów. Janie!

- Słucham jaśnie pana - rzekł Obieżyświat.

- Idź na "Carnatic" i zamów trzy kabiny.

Obieżyświat, zachwycony perspektywą dalszej podróży w towarzystwie młodej kobiety, która była dlań bardzo łaskawa, natychmiast wyruszył z hotelu.

Rozdział dziewiętnasty

w którym Obieżyświat bierze nazbyt do serca sprawę swego pana i co z tego wynika

Hongkong jest małą wyspą, którą traktat w Nankinie, podpisany po wojnie 1842 roku, oddał w ręce Angielskie. Wyspa Hongkong leży przy ujściu rzeki Kanton, a od portugalskiego Macau, rozciągającego się na drugim brzegu, dzieli ją zaledwie sześćdziesiąt mil. Hongkong zwyciężył Macau we współzawodnictwie handlowym i obecnie główny nurt transportu towarów chińskich płynie przez miasto Angielskie.

Obieżyświat, wetknąwszy ręce w kieszenie, udał się do portu Wiktoria, przypatrując się po drodze palankinom, ozaglowanym wózkom, które wciąż jeszcze cieszą się w Państwie Smoka powodzeniem, i przelewającej się ulicami fali tłumu złożonego z Chińczyków, Japończyków i białych.

Wreszcie znalazł się w porcie Wiktoria. U ujścia rzeki mrowiły się nieprzeliczone statki pod banderami wszystkich narodowości: Angielskie, francuskie, Amerykańskie, holenderskie, zarówno wojenne jak handlowe, łodzie japońskie, chińskie dżonki i sampany. Morze wyglądało z daleka jak falująca, różnobarwna łąka. Od czasu do czasu Obieżyświat spostrzegał żółto ubranych krajowców, którzy, jak zauważył, wszyscy byli w podeszłym wieku. Zaszedł do golarza, aby przekonać się, jak wygląda golenie brody według modły chińskiej; miejscowy Figaro, który mówił po Angielsku, pouczył swego klienta, że zauważeni przezeń starcy przekroczyli już osiemdziesiąty rok życia, co im daje przywilej noszenia barwy żółtej, będącej barwą cesarza. Lokajowi wydało się to wszystko bardzo uciechne, choć sam nie wiedział dlaczego.

Ogolony, udał się na nabrzeże, przy którym stał "Carnatic", i tu ujrzał przechadzającego się po molo inspektora Fixa. Obieżyświata nie zdziwiło wcale to spotkanie. Za to na obliczu detektywa spostrzegł wyraz głębokiego niezadowolenia.

- Aha - mruknął służący - widać sprawy biorą kiepski obrót dla panów dżentelmenów z klubu "Reforma". - I z miłym uśmiechem zbliżył się do Fixa udając, że wcale nie dostrzega jego wścieklej miny.

Agent miał rzeczywiście dość powodów po temu, by kląć fatalnego pecha, który go prześladował. Znowu nie było nakazu Aresztowania! Papier dążył oczywiście w ślad za detektywem, ale mógł go dogonić tylko wtedy, gdyby Fix zatrzymał się przez kilka dni. A przy tym Hongkong był ostatnią posiadłością Angielską na trasie pana Fogga i jeżeli nie

znajdzie się sposobu przetrzymania go na miejscu, złodziej niechybnie ujdzie sprawiedliwości.

- I cóż, panie Fix, jedziemy razem do Ameryki, prawda?

- Tak - rzucił inspektor przez zęby.

- Bagatela! - wykrzyknął lokaj zanosząc się od śmiechu. - Od początku mówiłem, że pan by z nami za nic się nie rozstał. Ano, ruszajmy zamówić miejsca.

I wszedłszy razem do biura podróży morskiej, opłacili cztery kabiny. Tam dowiedzieli się od załatwiającego ich sprawy urzędnika, że reperacje na "Carnaticu" są już ukończone, wobec czego statek podniesie kotwicę tego jeszcze wieczoru o godzinie ósmej, a nie nazajutrz rano, jak to było zapowiedziane.

- Świetnie się składa - odparł Obieżyświat. - To będzie na rękę memu panu. Lecę go uprzedzić.

W tym momencie Fix podjął ryzykowną decyzję. Postanowił wszystko wyjawić Obieżyświatowi. Może to się okaże jedynym środkiem zatrzymania pana Fogga na kilka dni w Hongkongu. Po wyjściu z biura podróży zaprosił swego towarzysza do szynku na kieliszek. Obieżyświat miał jeszcze sporo czasu i przystał na propozycję. Znaleźli w pobliżu tawernę o zachęcającym wyglądzie i weszli do środka. Była to przestronna izba, przyzwoicie umeblowana; w głębi stały zwykle szerokie nary, okryte poduszkami. Na narach leżało pokotem kilku uśpionych ludzi. Około trzydziestu czy czterdziestu osób siedziało przy małych wyplatanych z trzciny stolikach. Jedni wysuszali kwarty piwa Angielskiego "ale" albo portera, inni - konwie słodkiej wódki i dżinu. Większość paliła długie gliniane fajki, nabite opium zaprawionym olejkim różanym. Od czasu do czasu któryś z palaczy tracił przytomność i walił się pod stół. Wówczas zjawiali się kelnerzy. Jeden brał jegomościa za głowę, drugi za nogi i rzucali go na wielkie łoże pospołu z innymi. Już około dwudziestu ludzi leżało obok siebie w krańcowym otępieniu.

Fix i Obieżyświat pojęli, że znajdują się w palarni opium, odwiedzanej przez wszelkiego rodzaju nieszczęśliwców, ogłupiałych, wychudłych, doprowadzonych do zupełnego upodlenia. Na ich to ostateczną zgubę chciwa zysku Anglia sprzedaje corocznie za dwieście sześćdziesiąt milionów franków tego złowieszczonego towaru, który nazywa się opium. Haniebny to zysk, zebrany z najbardziej ponurego z ludzkich nałogów. Na próżno rząd chiński wydawał surowe przepisy, zapobiegające rozszerzaniu się tej namiętności. Palenie opium było zrazu obyczajem klasy bogaczy, z czasem zaraziło biedotę i dziś już nic nie może przeciwdziałać spustoszeniu, jakie ten nałóg czyni. W Państwie Środka pali się opium wszędzie i bez względu na porę. Kobiety, zarówno jak mężczyźni oddają się tej

zgubnej namiętności i raz nawykłszy do glinianej fajeczki, nie są w stanie porzucić jej bez narażenia się na straszliwe skurcze żołądka. Nałogowy palacz może wypalić do ośmiu fajek dziennie, Ale po pięciu latach umiera.

Do jednej z tych złowrogich palarni weszli Fix i Obieżyświat z zamiarem przepłukania sobie gardła. Obieżyświat nie miał pieniędzy, Ale zgodził się chętnie na grzeczne zaprosiny detektywa, obiecując rewanż przy najbliższej okazji.

Zażądali dwóch butelek porta i lokaj zabrał się do nich gorliwie, gdy tymczasem Agent, okazujący więcej wstrzemięźliwości, obserwował spod oka swego kompana.

Gawędzono o tym, o owym, A przede wszystkim unoszono się nad pysznym pomysłem, który miał Fix lokując się na "Carnaticu". Roztrząsano sprawę wcześniejszego wyruszenia parowca i gdy w obu butelkach zaświeciło dno, Obieżyświat ruszył się zza stołu z zamiarem uprzedzenia o tym swego pana. Ale Fix go przytrzymał.

- Jeszcze słówko - rzekł.

- O co chodzi, panie Fix?

- Chcę pomówić z panem o czymś bardzo ważnym.

- O czymś bardzo ważnym! - powtórzył Obieżyświat wysączając ostatnie krople wina, które zostały na dnie kieliszka. - Pogadamy o tym jutro. Teraz już nie mam czasu.

- Siadaj pan - powiedział Fix. - Chodzi tu o pańskiego pryncypała.

Wyraz twarzy Fixa wydał się Obieżyświatowi dziwny. Usiadł.

- Cóż takiego ma mi pan do powiedzenia?

Fix oparł mu rękę na ramieniu i rzekł zniżonym głosem:

- Odgadł pan zapewne, kim jestem?

- Co, co? - uśmiechnął się Obieżyświat.

- Otóż chcę teraz wszystko wyznać...

- Rychło w czas! Teraz, gdy i tak wszystko wiem. Sprytnyś pan, Ale nie za bardzo! No, mniejsza z tym, gadaj pan. Tylko pozwolę sobie zauważyć, że ci panowie na darmo pieniądze wyrzucają.

- Wyrzucają! - odparł Fix. - Gadaj pan zdrów. Zaraz widać, że nie zna pan sumy, o którą chodzi.

- Znam ją, A jakże: dwadzieścia tysięcy funtów.

- Pięćdziesiąt pięć tysięcy! - rzekł Fix ściskając tamtego za rękę.

- Rety! - podskoczył Obieżyświat. - Czyżby jaśnie pan ryzykował Aż tyle! Pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów. Ha, tym bardziej nie ma minuty do stracenia! - dorzucił podnosząc się z miejsca.

- Pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów! - powtórzył Fix i kazał przynieść butelkę wódki, zmuszając Obieżyświata do siedzenia. - W razie powodzenia dostanę dwa tysiące nagrody. Otóż dam panu pięćset funtów, jeżeli mi pan pomoże. Zgoda?

- Panu pomóc? - zawołał Obieżyświat i szeroko otworzył oczy.

- Tak jest, pomóc mi w zatrzymaniu imię pana Fogga na kilka dni w Hongkongu.

- Hola, panie, przebrała się miarka! Nie dość na tym, że węszysz na tropie mego pana jak ogar, że obrażasz go podając w wątpliwość jego uczciwość, jeszcze chciałbyś mu kłody rzucać pod nogi, byle tylko dogodzić swoim mocodawcom! Ja bym się na pańskim miejscu ze wstydu spalił, panie Fix.

- A to co znowu? Co pan chcesz przez to powiedzieć?

- Że to jest świństwo! To właśnie chcę panu powiedzieć. Tak chcę złupić skórę z pana Fogga, pieniądze mu z kieszeni wyciągnąć!

- Jakbyś pan zgadł. O to nam właśnie chodzi.

- Ależ to pułapka! - krzyknął Obieżyświat podniecając się coraz bardziej pod wpływem wódki, której Fix wciąż mu dolewał i którą, sam o tym nie wiedząc, raz po raz wychylał. - Rozbój na równej drodze! I to się nazywają koledzy, dżentelmeni!

Fix przestał rozumieć, o co chodzi.

- Koledzy! - wrzeszczał oburzony sługa. - Członkowie klubu "Reforma"! Ale zapamiętaj pan sobie: mój pan jest człowiekiem nieposzlakowanym i jeżeli zrobił zakład, to chce wygrać go bez krętactwa.

- Ale za kogo właściwie pan mnie bierze? - spytał nagle Fix utkwivszy wzrok w Obieżyświata.

- Za kogóż by, do licha! Za szpicla owych panków z klubu "Reforma", którego najęto, aby kontrolował trasę mego chlebodawcy, co uważam za niesłychane świństwo! Tak niesłychane, że nawet pary z ust memu panu o tym nie puściłem, choć pańską grę przejrzałem nie od dziś!

- Więc on nic nie wie? - podchwycił żywo Fix.

- Nic - odparł lokaj wychylając jeszcze jeden kieliszek.

Inspektor przesunął ręką po czole. Nie wiedział, co teraz mówić, jak się zachować. Omyłka Obieżyświata nie zakrawała na podstęp, ale to czyniło położenie jeszcze trudniejszym. Widać było, że pocziwiec mówi w dobrej wierze i że nie jest współnikiem swego pana, jak można było zrazu przypuszczać. "A więc - pomyślał Agent - jeżeli nie jest współnikiem, pomoże mi".

I po raz drugi zdobył się na krok stanowczy. Zresztą już nie było czasu na wahanie; pana Fogga za wszelką cenę należało zatrzymać w Hongkongu.

- Niech pan posłucha - odezwał się Fix z powagą - i to uważnie. Nie jestem tym, za kogo mnie pan bierze: to znaczy nie jestem najemnikiem członków klubu "Reforma".

- Tere-fere! - Obieżyświat obrzucił go szyderczym wzrokiem.

- Jestem inspektorem policji, któremu dyrekcja główna w Londynie powierzyła zadanie specjalne...

- Pan - inspektorem policji?!

- Tak jest i zaraz tego dowiodę. Oto zlecenie na moje nazwisko.

Powiedziawszy to, Fix wyjął z portfela papier podpisany przez szefa głównej dyrekcji policji i pokazał go lokajowi. Przytłoczony, zdumiony, Obieżyświat nie mógł słowa wyjąkać. Tymczasem Fix ciągnął:

- Rzekomy zakład tego pańskiego Fogga jest tylko pretekstem, na który daliście się nabrać: pan i owi koledzy z klubu "Reforma". Foggowi zależało na tym, Abyście z nim nieświadomie współdziałali w przestępstwie.

- Ale czemuż to?! - zawołał Obieżyświat.

- Niech pan słucha. 28 września dokonano w Banku Angielskim kradzieży pięćdziesięciu pięciu tysięcy funtów. Kradzież przypisuje się osobnikowi, którego rysopis zdołano ustalić. Pokażę panu ów rysopis: kropla w kroplę pański Fogg!

- Nie, tego już za wiele! - wykrzyknął Obieżyświat i uderzył w stół pięścią podobną do bochenka chleba. - Mój pan jest najzacniejszym człowiekiem na świecie!

- Cóż pan może o tym wiedzieć? - odrzekł Fix. - Pan go wcale nie zna. Zaczął pan służbę w dniu odjazdu. Odjazd był, jak wiadomo, niezwykle gwałtowny, A pretekst - niedorzeczny; wyjechaliście bez bagażu, Ale za to z grubym plikiem banknotów. Czy w dalszym ciągu utrzymuje pan, że to uczciwy człowiek?

- Tak, tak, uczciwy... - powtarzał machinalnie biedny sługa.

- Chyba nie ma pan ochoty być Aresztowanym jako jego współlnik?

Obieżyświat złapał się za głowę. Zmienił się nie do poznania. Nie śmiał podnieść oczu na detektywa. Zbawca pani Audy, człowiek tak szlachetny i odważny... - złodziejem! W głowie się nie mieściło! A jednak... tyle poszlak obciążało tego człowieka. Obieżyświat nie wierzył, nie chciał wierzyć w winę swego pana. Odezwał się z wysiłkiem:

- Więc czego pan chce ode mnie?

- Zaraz to wyjaśnię - odparł Fix. - Jechałem za panem Foggiem Aż tutaj, wciąż nie mogąc otrzymać nakazu Aresztowania, o który zwróciłem się do Londynu. Trzeba więc, Aby pan mi pomógł w przytrzymaniu Fogga w Hongkongu...

- Abym ja...

- Wówczas podzielę się z panem nagrodą dwóch tysięcy funtów, obiecaną mi przez Bank Angielski.

- Nigdy! - wyrzucił Obieżyświat usiłując się dźwignąć i opadając z powrotem. Czuł, że opuszczają go siły i rozum. Z trudem zaczął bełkotać: - Panie Fix! Nawet gdyby wszystko, co pan mówi, było prawdą... nawet gdyby on był złoczyńcą, za którym pan goni... co jest wierutnym łgarstwem... ja jestem u niego na służbie... Poznałem jego dobroć i szlachetność... I ja mam zdradzić takiego pana? Nie... nigdy, nawet za całe złoto świata... rozumie pan?

- Odmawia pan?

- Odmawiam.

- Zapomnijmy więc, o czym mówiłem, i pijmy.

- Tak, pijmy!

Obieżyświata ogarniało coraz większe zamroczenie. Fix zrozumiał, że za wszelką cenę musi go rozłączyć z jego panem, i postanowił lokaja wykończyć. Na stole leżały fajki napełnione opium. Jedną z nich Agent wsunął Obieżyświatowi w palce. Ten podniósł ją do ust, zapalił, zaciągnął się parokrotnie i jego głowa bezwładnie opadła na stół.

- No nareszcie - rzekł do siebie Fix. - Imć pan Fogg nie dowie się na czas o odejściu "Carnaticu", A jeśli nawet odpłynie, to w każdym razie bez tego przeklętego Francuza.

I wyszedł zapłaciwszy rachunek.

Rozdział dwudziesty

w którym pan Fix nawiązuje bezpośrednie stosunki z panem Foggiem

Kiedy działy się te rzeczy, mogące mieć tak zgubne następstwa dla pana Fogga, ten spacerował właśnie po ulicach miasta w towarzystwie pani Audy. Piękna wdowa zgodziła się udać z nim razem do Europy, musiał więc pomyśleć o wszystkim, co było niezbędne w tak długiej podróży. Gdy Anglik, taki jak on, rusza naokoło świata jedynie z małą torbą w ręku - jeszcze to uchodzi; natomiast kobieta nie może odbywać tak dalekiej drogi w podobnych warunkach. Trzeba było zaopatrzyć ją w odpowiednie stroje i we wszystkie rzeczy niezbędne w podróży. Pan Fogg z właściwą sobie flegmą wywiązał się z zadania, a na sprzeciwy i perswazje młodej damy odpowiadał niezmiennie:

- To leży w interesie mojej podróży, to wynika z mego programu...

Uporawszy się z zakupami, wrócili do hotelu i zasiedli do suto zastawionego stołu. Po posiłku pani Auda poczuła się nieco zmęczona i udała się do swego pokoju, uściskawszy przedtem "po Angielsku" dłoń swego nieprzeniknionego opiekuna.

Co do czcigodnego dżentelmena, ten poświęcił cały wieczór na studiowanie "Timesa" i "Illustrated London News".

Gdyby był człowiekiem zdolnym dziwić się czemukolwiek, byłby zapewne zdumiony nieobecnością Obieżyświata w porze spoczynku. Wiedząc jednak, że statek do Jokohamy nie odjeżdża przed jutrem, nie zaprzętał sobie tym głowy. Ale i nazajutrz Obieżyświat nie zjawił się na odgłos dzwonka. Nikt się nigdy nie dowie, co pomyślał dżentelmen. Przekonawszy się, że jego służący jeszcze nie wrócił do hotelu, pan Fogg sam spakował torbę podróżną, kazał powiadomić panią Audę i posłał na miasto po palankin.

Była godzina ósma, a przyplływ morza, z którego "Carnatic" miał skorzystać, przewidywano na wpół do dziesiątej.

Przed hotelem stanął palankin, pani Auda i pan Fogg wsiedli do tego wygodnego wehikułu, bagaż umieszczono na ręcznym wózku. W pół godziny potem podróżni znaleźli się na molu, gdzie ich poinformowano, że "Carnatic" odpłynął poprzedniego dnia wieczorem. Pan Fogg spodziewał się zastać tutaj i parowiec, i lokaja, a musiał się obejść bez jednego i drugiego. Ale na obliczu jego nie ukazała się najmniejsza oznaka niezadowolenia i gdy pani Auda spojrzała nań z niepokojem, ograniczył się do uwagi:

- To wypadek bez znaczenia, proszę pani, nic więcej.

W tym momencie jakiś człowiek, który przyglądał się dżentelmenowi od pewnego czasu, zbliżył się doń i uchylił kapelusza. Był to pan Fix.

- Czy nie jest pan przypadkiem jednym z pasażerów "Rangun", przybyłym tu, jak ja, wczoraj?

- Tak, panie - odpowiedział chłodno pan Fogg. - Ale nie mam zaszczytu...

- Proszę mi wybaczyć, Ale sądziłem, że zastanę tu pańskiego służącego...

- Czy może pan wie, gdzie on jest? - żywo zapytała młoda Hinduska.

- Jak to? - udał zdziwienie detektyw Fix. - Czy nie ma go tutaj razem z państwem?

- Nie - rzekła pani Auda. - Nie ma go od wczoraj. Czyżby wszedł bez nas na pokład "Carnaticu"?

- Bez państwa? - mówił inspektor. - Proszę wybaczyć moją ciekawość: państwo zamierzali odpłynąć tym parostatkiem?

- Tak.

- To tak samo jak ja! Jestem prawdziwie zmartwiony tym niepowodzeniem. Okazuje się, że "Carnatic" skończywszy naprawę, opuścił Hongkong o dwanaście godzin wcześniej, niż było przewidziane. Teraz musimy czekać na następny statek cały tydzień.

Wymawiając te słowa "cały tydzień", Fix poczuł, że serce w nim rośnie z uciechy. Cały tydzień! Fogg zatrzymany w Hongkongu przez osiem dni! Tymczasem nakaz Aresztowania nadejdzie niezawodnie. Widać los uśmiechnął się wreszcie do strudzonego sługi sprawiedliwości.

Ale w tym momencie znowu dostał pałką w łeb. Pan Fogg odezwał się spokojnie:

- W porcie są prócz "Carnaticu" inne jeszcze statki.

To rzekłszy podał ramię pani Audzie i skierował się ku dokom w poszukiwaniu odpływającego statku. Fix przytłoczony tym, co usłyszał, postępował machinalnie za nim. Zdawało się, że jakaś niewidzialna nić przywiązała go do tego człowieka.

Tymczasem szczęście, które tak wiernie dotąd służyło dżentelmenowi, widocznie go opuściło. W ciągu trzech godzin pan Fileas przemierzał port w różnych kierunkach, zdecydowany, jeśli zajdzie potrzeba, wynająć statek, który by go dowiózł do Jokohamy. Ale wszędzie widział statki, które ładowano czy wyladowywano, A nie było Ani jednego, który mógłby zaraz podnieść kotwicę. Fix zaczął oddychać swobodniej.

Lecz pan Fileas nie poddawał się zniechęceniu. Rozmyślał właśnie, czy nie należałoby przenieść poszukiwań na teren pobliskiego Macau, gdy naraz u wejścia do portu zaczepił go ukłonem jakiś marynarz.

- Wielmożny pan szuka statku?

- Czy macie statek gotowy do drogi? - spytał pan Fogg.

- Tak jest, wielmożny panie, pilotażowy nr 43, najlepszy z całej flotyli.

- Czy szybki?

- Osiem do dziesięciu mil. Chciałby pan zobaczyć?

- Tak.

- Wielmożny pan będzie zadowolony. Czy chodzi o spacer po morzu?

- Nie, o podróż.

- Podróż?

- Czy podejmujecie się popłynąć do Jokohamy?

Marynarz zamachał gwałtownie rękami i wytrzeszczył oczy.

- Wielmożny pan raczy żartować!

- Nie. Spóźniłem się na "Carnatic", a czternastego muszę się znaleźć w Jokohamie, aby zdążyć na parostatek do San Francisco.

- Bardzo żałuję, ale to niemożliwe - odpowiedział pilot.

- Zapłacę sto funtów dziennie, a prócz tego dwieście funtów nagrody, jeżeli przybędziemy na czas.

- Pan mówi poważnie?

- Najzupełniej.

- Pilot odszedł na bok i spoglądał na morze. Pokusa niezwykłego zarobku walczyła w nim z obawą przed tak daleką podróżą. Fix przeżywał męczarnie.

Tymczasem pan Fogg zwrócił się do swojej towarzyszki.

- Czy pani będzie się bała? - spytał.

- Z panem, niczego! - odparła pani Auda.

Pilot znów zbliżył się do dzentelmena, obracając w rękach czapkę.

- A więc, pilocie? - zagadnął go pan Fogg.

- Wielmożny panie - odparł marynarz - nie mogę narażać swoich ludzi ani siebie, ani również pana na tak daleką przeprawę na stateczku ledwie dwudziestotonowym, i to jeszcze o tej porze roku. Zresztą do Jokohamy nie moglibyśmy dotrzeć na czas, bo to od Hongkongu tysiąc sześćset pięćdziesiąt mil.

- Tylko tysiąc sześćset.

- Wszystko jedno.

Fix odetchnął głęboko.

- Ale - dorzucił pilot - może by się znalazł jakiś inny sposób załatwienia tej sprawy.

Fix wstrzymał oddech.

- Jaki? - spytał Fileas Fogg.

- Popłynąć do Nagasaki, na samo południe Japonii, to znaczy tysiąc sto mil stąd, A jeszcze lepiej do Szanghaju, osiemset mil od Hongkongu. W tym wypadku nie oddalilibyśmy się zbyt od wybrzeży chińskich, co byłoby korzystne i z tego względu, że mamy tam prądy płynące na północ.

- Pilocie - odrzekł Fileas Fogg - ja muszę wsiąść na statek Amerykański w Jokohamie, A nie w Szanghaju, czy Nagasaki.

- Dlaczego by nie? Parostatek do San Francisco nie odpływa z Jokohamy. Owszem, zawija tam, jak również do Nagasaki, Ale portem macierzystym jest Szanghaj.

- Jesteście pewni tego, co mówicie?

- Jestem pewny.

- Kiedy parostatek opuszcza Szanghaj?

- Jedenastego o siódmej wieczór. Mamy, słowem, cztery dni czasu. Cztery dni - to dziewięćdziesiąt sześć godzin, A więc - przy średniej szybkości ośmiu mil na godzinę, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, jeżeli wiatr południowo-wschodni wytrzyma, jeżeli morze będzie spokojne, jakoś damy sobie radę z tymi ośmiuset milami do Szanghaju.

- Kiedy będziecie gotowi?

- Za godzinę. Tyle, żeby zrobić zapasy i przygotować statek do drogi.

- Załatwione. Czy jesteście właścicielem statku?

- Tak. Jestem John Bunsby, właściciel "Tankadery".

- Chcecie zadatek?

- Jeśli to wielomolnemu panu nie zrobi różnicy...

- Proszę, oto dwieście funtów zaliczki.

Po czym pan Fogg zwrócił się do Fixa:

- Gdyby pan chciał skorzystać...

- Właśnie chciałem pana prosić o wyświadczenie mi tej uprzejmości - rezolutnie odparł Agent.

- Zgoda. Za pół godziny będziemy na pokładzie.

- Ale cóż się stanie z tamtym biednym chłopcem? - wtrąciła pani Auda, bardzo przejęta losem Obieżyświata.

- Uczynię dla niego wszystko, co się da uczynić - odpowiedział dżentelmen.

I podczas gdy Fix, zdenerwowany i rozgorączkowany, dusząc się z wściekłości, kierował swe kroki ku statkowi pilota, pan Fileas i pani Auda udali się do biur policji Hongkongu. Zostawili tam rysopis Obieżyświata i pewną ilość pieniędzy, wystarczającą na to, Aby go odesłać z powrotem. W konsulacie francuskim dokonali tej samej formalności.

Następnie palankin skierował się ku hotelowi. Zabrano bagaże i wkrótce podróżni znaleźli się w Awanporcie.

Wybiła godzina trzecia. Statek pilotażowy nr 43 czekał gotów do wypłynięcia na pełne morze. Zapasy były już uzupełnione, a załoga stała na pokładzie.

“Tankadera”, mały, zwinniey szkunerek marslowy o wyporności dwudziestu ton, miała delikatny dziób, zgrabne kształty i była mocno wydłużona w linii wodnej. Rzec by można - jacht regatowy. Błyszczała miedzianymi okuciami, pokład jej lśnił bielą kości słoniowej - wszystko świadczyło, że jej właścicielowi, Johnowi Bunsby, zależy na utrzymaniu jej w doskonałym stanie. Dwa maszty skłaniały się lekko ku tyłowi. Mając marsel, grot i fok, sztafok i topsle, mogła “Tankadera” wspaniale żeglować, zwłaszcza przy wietrze tylnym. Szybkość statku musiała być zadziwiająca; w samej rzeczy, zdobył on już niejedną nagrodę w zawodach pilotów.

Załoga składała się z właściciela Johna Bunsby i czterech marynarzy. Wszyscy - stare wygi morskie, przyzwyczajeni do wychodzenia w morze statkom naprzeciw przy każdej pogodzie i na wylot znajdujący okoliczne wody. Szyper, barczysty człowiek lat około czterdziestu pięciu, opalony na czarno, o twarzy energicznej i bystrych oczach, pewny siebie i solidny, u najbardziej lękliwych musiał budzić zaufanie.

Pan Fogg wraz ze swą towarzyszką weszli na pokład. Detektyw był tam już od pewnego czasu. Zejściem na rufie zstąpili do kwadratowej, niewielkiej, ale schludnej messy. Ściany jej obiegała miękko obita ława, a pośrodku stał stół oświetlony lampą.

- Proszę wybaczyć, że tyle tylko mogę panu ofiarować - rzekł pan Fogg do Fixa, który bez słowa odpowiedział mu ukłonem. Detektyw odczuwał pewne zawstydzienie wobec tych dowodów uprzejmości ze strony pana Fogga.

“Trzeba przyznać - myślał, że łajdak jest niezwykle uprzejmy. Ale w każdym razie to łajdak”.

O trzeciej dziesiątej postawiono żagle. Na gaflu załopotąła bandera Wielkiej Brytanii. Pasażerowie wylegli na pokład. Po raz ostatni, w nadziei, że ujrzą tam nadbiegającego Obieżyświata, pan Fogg i piękna Hinduska zwrócili swój wzrok na molo.

Fix nie bez obawy także spoglądał w tym kierunku. Głupi przypadek mógłby w ostatniej chwili przywieść tu chłopca, którego Agent tak niegodnie potraktował, a wówczas musiałoby dojść do drażliwych wyjaśnień, z czego detektyw nie wyszedłby obronną ręką. Jednak Francuza nie było ani śladu: widać narkotyk nie wypuścił go jeszcze spod swojej dręczącej władzy.

Wreszcie szyper Bunsby wyprowadził statek na pełne morze: "Tankadera" wzięła wiatr w grot, marsel i foki i chyżo poszła naprzód po rozkołysanej fali.

Rozdział dwudziesty pierwszy

w którym dzielny szyper Bunsby o mały włos nie zaprzepścił swej dwustufuntowej nagrody

Była to bądź co bądź szalona impreza puścić się w osiemsetmilową podróż na dwudziestotonowym statku, i to jeszcze o tej porze roku. Morza chińskie są na ogół burzliwe, bo wystawione na groźne podmuchy wiatrów, zwłaszcza w czasie zrównania dnia z nocą. A zaczynał się dopiero listopad.

Podróż do Jokohamy przedstawiała niewątpliwie korzyść dla pilota, który opłacany był od dnia. Jednak podjęcie podobnej przeprawy byłoby zbyt ryzykowne. Dobrze, że John Bunsby zgodził się popłynąć do Szanghaju, co już było dowodem znacznej odwagi, jeżeli nie zuchwałości. Stary wilk morski wierzył w zalety swej "Tankadery", która niczym mewa ślizgała się po fali - i miał może słuszność.

U schyłku dnia "Tankadera" żeglowała po kapryśnych wodach przybrzeżnych Hongkongu i w każdej pozycji, czy to żeglując bejdewindem, czy też fordewindem, zachowywała się w sposób godny podziwu. Gdy statek wychodził na pełne morze, pan Fileas zwrócił się do szypra:

- Chyba nie ma potrzeby wam przypominać, pilocie, że chodzi o jak największy pośpiech?

- Niech już pan na mnie polega - odparł John Bunsby. - Kazałem rozwinąć wszystkie żagle, które przy tym wietrze można postawić. Dodatkowe żagle przytłoczyłyby tylko statek i płynęlibyśmy wolniej.

- To już wasza sprawa - odrzekł pan Fogg. - Liczę na to, że znacie swój fach, i mam do was zaufanie.

Stojąc na szeroko rozstawionych nogach, wyprostowany i spokojny niczym stary żeglarz, Fileas Fogg bez drgnienia powieki przypatrywał się rozwścieczonemu morzu. Siedząca z tyłu młoda Hinduska nie bez wzruszenia wpatrywała się w pociemniały w zapadającym zmierzchu ocean, który miała przebyć w tym wątlym stateczku. Nad jej głową łopotały płachty żagli, które niby wielkie, białe skrzydła niosły ją w dal. "Tankadera", gnana wiatrem, zdawała się unosić w powietrzu.

Zapadła noc. Sierp księżyca gasł powoli na widnokregu pogrążonym w mroku. Ze wschodu ławą nadciągały obłoki i stopniowo zalegały niebo. Szyper kazał zapalić światła pozycyjne, rzecz konieczna na wodach przybrzeżnych, gęsto odwiedzanych przez statki.

Zderzenie było więcej niż możliwe, A przy szybkości, jaką szkuner rozwijał, byle zderzenie równałoby się rozbiciu.

Fix dumał stojąc na dziobie. Starał się trzymać na uboczu, przeczuwając w panu Foggu towarzysza niezbyt rozmownego. Poza tym wzdragał się mówić z tym człowiekiem, który mu wyświadczył tyle grzeczności. Myślał, co będzie dalej. Wydawało się rzeczą pewną, że pan Fogg nie zatrzyma się w Jokohamie, Ale weźmie pierwszy statek do San Francisco i dotrze do Ameryki, gdzie rozległe przestrzenie zapewnią mu bezkarność i bezpieczeństwo. Plan był Aż nadto prosty.

Zamiast udać się wprost do Ameryki, jakby uczynił pospolity łotrzyk, Fogg wolał zatoczyć olbrzymie koło, przemierzyć trzy czwarte globu, wystrychnąć na dudka policję i bezpiecznie wylądować na drugiej półkuli, gdzie będzie mógł w spokoju korzystać z milionów zagrabionych w Banku. Ale jakże ma się zachować Fix znalazłszy się na ziemi Stanów Zjednoczonych? Czy zaniechać dalszego pościgu? Nie, po stokroć nie. Nie odstąpi tego człowieka Ani na krok tak długo, Aż otrzyma od lokalnej policji Akt wydania przestępcy. To był jego obowiązek i wypełni go do końca. W każdym razie jedna okoliczność jest pomyślna: Obieżyświata nie ma przy boku pana Fogga, A po zwierzeniach pana Fixa było rzeczą pierwszorzędnej wagi, Aby pan i jego służący nie oglądali się już wzajemnie nigdy.

Fileas Fogg również myślał nieraz o swoim lokaju, który zniknął w tak zagadkowy sposób. Doszedł wreszcie do wniosku, że biedny chłopiec musiał widocznie na skutek jakiegoś nieporozumienia w ostatniej chwili wsiąść na "Carnatic". Podzielała to mniemanie pani Auda, z żalem wspominając szlachetnego sługę, któremu tyle zawdzięczała. Niewykluczone tedy, że spotkają się w Jokohamie, A jeżeli Francuz rzeczywiście płynął na "Carnaticu", o jego przybyciu nietrudno będzie się dowiedzieć.

Około dziesiątej wiatr zadął gwałtownie. Zapewne byłoby rozsądniej zrefować żagle, jednak szyper, pilnie przypatrzwszy się niebu, pozostawił je w dotychczasowym stanie. Zresztą "Tankadera", mając duże zanurzenie, wytrzymała tę masę płótna doskonale. W wypadku szkwału wszystko było gotowe do natychmiastowego zwinięcia żagli.

O północy Fileas Fogg i pani Auda zeszli do kabin. Fix znalazł się w swojej jeszcze wcześniej i wyciągnął się na posłaniu. Pilot i jego ludzie przez całą noc czuwali na pokładzie.

Nazajutrz, 8 listopada, o wschodzie słońca szkuner miał już za sobą przeszło sto mil. Jak wykazywał rzucany raz po raz log, robiono średnio od ośmiu do dziewięciu mil na godzinę. "Tankadera" płynęła pod wszystkimi żaglami i dzięki temu mogła utrzymać

maksymalną szybkość. Gdyby wiatr wytrzymał, statek miał wszystkie szanse przyjscia na czas do Szanghaju.

W ciągu całego dnia "Tankadera" nie oddalała się zbyt od brzegów, gdzie prądy były sprzyjające. Niekiedy, gdy horyzont się przejaśniał, widać było po prawej burcie nierówno wykrojone brzegi. Wiatr wiał od lądu, dzięki czemu morze złagodniało: okoliczność szczęśliwa dla szkunera, bo największym wrogiem małych statków jest wysoka fala, która hamuje ich szybkość i, jak mówią marynarze, "zabija" je. Około południa bryza zelżała i powiał wiatr południowo-wschodni. Pilot kazał postawić topsle; jednak już po dwóch godzinach trzeba je było zwinąć, bo wiatr wzmógł się na nowo.

Szczęściem, pan Fogg i jego młoda towarzyszka byli odporni na morską chorobę. Zjadali z Apetytem konserwy i suchary znajdujące się na statku. Zaprośli Fixa, by podzielił z nimi posiłek. Inspektor zaproszenie przyjął rozumiejąc, że żołądki, tak samo jak statki, potrzebują balastu. Ale był wściekły. Podróżować na koszt tego człowieka i jeszcze żywić się jego zapasami - uważał za rzecz niezbyt uczciwą. Niemniej jednak dziobnął coś niecoś, Ale gdy posiłek się skończył, uważał za wskazane wziąć pana Fogg'a na stronę.

- Proszę pana... - zaczął (owo "proszę pana" paliło mu wargi, musiał panować nad sobą, żeby nie schwycić tego "pana" za kołnierz). - Był pan niezwykle uprzejmy ofiarując mi przejazd na tym statku. Jednak, choć nie stać mnie na wiele, chciałbym zapłacić swoją część...

- Nie mówmy o tym - odpowiedział pan Fogg.

- Ależ tak! Zależy mi na tym, żeby...

- Nie, proszę pana - powtórzył pan Fogg tonem wykluczającym sprzeciw. - To jest wliczone w koszty ogólne.

Fix skłonił głowę czując, że robi mu się duszno. Poszedł wyciągnąć się na przednim pokładzie i tego dnia nie wyrzekł już Ani słowa.

Statek płynął chyżo. John Bunsby był pełen otuchy. Kilkakroć zapewniał pana Fogg'a, że dotrą do Szanghaju na czas. Pan Fogg odparł z prostotą, że tego właśnie się spodziewa. Zresztą zapał ogarnął całą załogę małego dwumasztowca. Pocziwców nęciła obiecana nagroda. W rezultacie liny drżały od napięcia, wzdymały się wszystkie żagle, każdy zwrot był wykonywany z nienaganną zręcznością. Większego mistrzostwa w manewrowaniu nie wykazałaby załoga nawet w czasie regat Królewskiego Jachtklubu.

Wieczorem log wskazał, że przebyto od Hongkongu dwieście dwadzieścia mil. Fileas Fogg mógł mieć nadzieję, że w Jokohamie nie odnotuje w swoim rozkładzie najmniejszego

opóźnień. W ten sposób przeciwności, których doznał od czasu opuszczenia Londynu, nie zaważyłyby w ogólnym wyniku na przebiegu podróży.

W nocy "Tankadera" weszła do cieśniny Fo-kien, która oddziela rozległą wyspę Formozę od brzegów chińskich, nad ranem przecięła zwrotnik Raka. Morze w cieśninie burzyło się, pełne wirów na skutek działania przeciwprądów. Statek ciężko pracował. Krótka fala tamowała bieg. Ustać na pokładzie było coraz trudniej.

Z nastaniem dnia wiatr stał się jeszcze ostrzejszy, na niebie pojawiły się znaki zapowiadające wichurę. I barometr nie wróżył nic dobrego; w ciągu dnia wielokrotnie podnosił się i opadał, rtęć skakała kapryśnie. Na południowym wschodzie podnosiły się długie wały wodne, niechybne zwiastuny burzy. Poprzedniego dnia słońce zaszło krwawo, wśród fosforycznych pobłysków oceanu.

Szyper z natężeniem wpatrywał się w złowróźbne sygnały nieba i żuł w zębach niezrozumiałe słowa. W pewnej chwili, widząc opodał swego pasażera, zwrócił się do niego przytłumionym głosem:

- Czy panu można wyjawić całą prawdę?
- Nawet trzeba - odparł pan Fileas.
- Co tu ukrywać: sztorm idzie.
- Z północy czy z południa? - zapytał krótko pan Fileas.
- Z południa. Niech pan patrzy... To tajfun.
- Dobry i tajfun, jeśli pogna nas we właściwym kierunku.
- Ba, jeżeli pan to tak bierze, nie mam już nic do powiedzenia - rzekł pilot.

Przecucia go nie omyliły. We wczesnej porze roku tajfun przetoczyłby się - wedle wyrażenia słynnego meteorologa - niby błyszcząca kaskada płomieni elektrycznych, w okresie jesienno-wiosennego porównania dnia z nocą należało się obawiać potężnego rozpętania żywiołów.

Szyper przedsięwziął wszelkie środki ostrożności. Kazał zwinąć wszystkie żagle i spuścić reje. Zdjęto nawet topstengi. Luki troskliwie przykryto, tak Aby Ani jedna kropla wody nie przedostała się do wnętrza. Postawiono jedynie sztormowy sztafok z mocnego płótna celem chwywania wiatru od tyłu. I tak czekano.

John Bunsby nakłaniał swych pasażerów do zejścia pod pokład. Ale nie uśmiechało się im wcale tkwić w ciasnym i dusznym pomieszczeniu i tłuc się o ściany statku wstrząsanego burzą. Ani pan Fogg, Ani Hinduska, Ani inspektor nie zgodzili się na opuszczenie pokładu.

Około ósmej spadł siekący deszcz i na statek zwałił się sztorm. Dmuchnął w nikły skrawek żagla i porwał "Tankaderę" jak piórko. Trudno sobie wyobrazić siłę wiatru podczas tajfunu. Jego szybkość porównać by można do czterokrotnie spotęgowanej szybkości parowozu idącego pełną parą, a i to jeszcze nie odpowiadałoby rzeczywistości.

Przez cały dzień statek ślizgał się po olbrzymiej fali, dorównując jej na szczęście w szybkości. Mknął na północ. Setki razy o włos tylko uniknął zgniecenia przez góry wodne atakujące rufę. Zręczny ruch steru w dłoni szypra za każdym razem oddalał katastrofę. Na pasażerów spadały co chwila fontanny drobnych kropelek wody, co zresztą przyjmowali ze stoicyzmem. Fix miał ochotę kląć, natomiast pani Auda okazała się nieustraszoną i najzupełniej godną towarzyszką Fileasa Fogga. Nie odrywała od niego oczu, pełna podziwu dla jego zimnej krwi. Rzeczywiście, patrząc nań można było mniemać, że i tajfun był przewidziany w planie jego podróży.

Jak dotąd "Tankadera" kierowała się wciąż na północ. Ale pod wieczór, czego zresztą należało się od samego początku obawiać, wiatr obrócił się o 270 i uderzył od północnego zachodu. Fale natarły na "Tankaderę" z boku, statek zaczął się potężnie chwiać. Morze biło z furją, która mogła przerazić najodważniejszego, zwłaszcza jeśli się nie wiedziało, jak solidnie spojone są części statku.

Z nadejściem nocy huragan wzmógł się jeszcze bardziej. John Bunsby poczuł żywy niepokój widząc zapadające ciemności, a wraz z nimi wzrastającą nawałnicę. Zastanawiał się, czyby nie zaniechać wszystkiego, nawet radził się załogi. Potem podszedł do pana Fogga.

- Myślę, panie, że byłoby najroztropniej zawinąć do którego z portów.

- Ja też tak myślę - odparł zagadnięty.

- Tak - rzekł szyper - Ale do którego?

- Znam tylko jeden - rzekł spokojnie pan Fogg.

- To znaczy?

- Szanghaj.

W pierwszej chwili marynarz nie pojął znaczenia tej odpowiedzi, nie pojął, ile siły i zawziętości w niej się mieści. Potem krzyknął:

- Tam do licha! Wielmożny pan ma rację. A więc... do Szanghaju!

Odtąd "Tankadera" trzymała niezmiennie kurs na północ.

Noc była w istocie straszliwa. Prawdziwy cud, że szkuner nie wywrócił się do góry dnem. Chwilami niewiele do tego brakowało i gdyby nie moc stalowych wiązań, wszystko zostałoby zmiecione z powierzchni pokładu. Pani Auda czuła się zupełnie rozbita, jednak

Ani jedna skarga nie wyrwała się z jej ust. Wielokrotnie pan Fogg musiał spieszyć jej na pomoc i osłaniać przed wściekłością fal.

Zaczęło świtać. Burza szalała bez przerwy. Ale wiatr zmienił się na południowo-wschodni. Zmiana była korzystna i "Tankadera" znowu puściła się chyżo przez wzburzone morze, na którym dotychczasowym falom przeciwstawiły się nowe, spowodowane zmianą kierunku wiatru. Starcie się tych mas wodnych byłoby zgmiotło każdy inny, mniej solidnie zbudowany statek. Niekiedy, gdy mgły rzedły, spostrzegano linię brzegu, Ale w polu widzenia nie było żadnego statku. Tylko "Tankadera" odważyła się tego dnia wyjść na morze.

Koło południa tajfun zaczął cichnąć. Zaznaczyło się to jeszcze wyraźniej, gdy słońce pochyliło się ku widnokręgowi. Ta krótkotrwałość burzy była właśnie wynikiem jej wyjątkowej zaciekłości. Wreszcie znużeni pasażerowie mogli wziąć coś do ust i nieco odpocząć.

Noc była względnie spokojna. Szyper dał rozkaz postawienia wszystkich żagli. Statek popłynął z wielką szybkością. Nazajutrz o świcie, jedenastego, John Bunsby rozpoznał brzegi i oświadczył, że znajdują się w odległości stu mil od Szanghaju. Sto mil - A należało je przebyć w ciągu jednego dnia! Jeszcze tego samego wieczoru pan Fogg musiał stanąć w Szanghaju, jeżeli miał zdążyć na parostatek odpływający do Jokohamy. Gdyby nie burza, która zabrała mu wiele bezcennych godzin, znajdowałby się teraz o niecałe trzydzieści mil od portu.

Bryza słabła, A jednocześnie wygładzało się morze. Szkuner znów pokrył się żaglami. Zabielały topsle, grot i fok - woda pieniała się pod stwą. W południe już tylko czterdzieści pięć mil dzieliło statek od Szanghaju. Za sześć godzin odpływał stamtąd parowiec do Jokohamy. Na pokładzie wzrósł niepokój i podniecenie. Załoga za wszelką cenę chciała zdążyć na czas. Wszystkim prócz pana Fileasa Fogg, rzecz prosta, serca były żywiej z niecierpliwości. Statek musiałby utrzymać średnią szybkość dziewięciu mil na godzinę, A tymczasem wiatr ustawał coraz wyraźniej. Bryza wiała nierówno, od brzegu niosły się kapryśne podmuchy. Mijały szybko i woda natychmiast wygładzała swoje zmarszczki.

Ale statek był lekki jak piórko, maszty miał wysokie, żagle z cienkiego płótna, zagarniające skwapliwie najmniejszy powiew. W rezultacie, wspomagana prądami "Tankadera" znalazła się o godzinie szóstej zaledwie o dziesięć mil od rzeki, nad którą leży Szanghaj, o dwanaście mil powyżej ujścia.

O siódmej jeszcze trzy mile dzieliły podróżnych od celu. Wtem... siarczyste przekleństwo wyrwało się z ust Johna Bunsby. Jeszcze trochę, A dwustufuntowa nagroda wymknie się z jego rąk bezpowrotnie. Obrócił oczy na pana Fogg: ten stał nieporuszony, choć w tej chwili cały jego majątek wchodził w grę.

Podłużny, czarny kształt zdobny pióropuszem dymu wychynął w dali na tafłę wody. Był to parowiec Amerykański, który wychodził z portu o zwykłej godzinie.

- Przekleństwo! - krzyknął John Bunsby odpychając z rozpaczą rudel.

- Sygnały, prędzej! - rzucił krótko pan Fogg.

Na przedzie stateczku było małe spiżowe działko. Służyło ono do dawania sygnałów w czasie mgły. W mgnieniu oka działko zostało nabite aż po sam wylot lufy, Ale w chwili gdy szyper miał przyłożyć lont do zapalu, rozległ się znowu głos pana Fogg:

- Bandera!

Bandera zniżyła się. Był to sygnał rozpaczliwego położenia i można się było spodziewać, że dostrzegłszy go parowiec Amerykański zboczy z kursu i zbliży się do statku.

- Ognia! - zakomenderował pan Fogg.

Huk spiżowego działka rozdarł powietrze.

Rozdział dwudziesty drugi

w którym Obieżyświat przekonuje się, że nawet na Antypodach lepiej mieć parę groszy w kieszeni

“Carnatic”, opuściwszy Hongkong 7 listopada o wpół do siódmej wieczorem, pełną parą ruszył ku wyspom Japonii. Wiózł całkowity ładunek towarów i komplet pasażerów. Tylko dwie kabiny na rufie były puste. Zarezerwowano je na imię pana Fogga.

Nazajutrz z rana marynarze, będący na dziobie, nie bez zdziwienia ujrzeli pasażera o na wpół błędnym oku, niepewnych ruchach, chwiejnym chodzie i rozczochranej głowie, który zataczając się wyszedł z kabiny drugiej klasy i usiadł na zwoju lin. Pasażerem tym był Obieżyświat we własnej osobie. A oto co się z nim działo:

W kilka chwil po wyniesieniu się Fixa z tawerny dwaj kelnerzy pochwycili głęboko uśpionego Obieżyświata i złożyli na łożu przygotowanym dla palaczy. Ale po trzech godzinach, dręczony natrętną myślą, nie opuszczającą go nawet w koszmarnym śnie, zbudził się i przewyciężył obezwładniającą moc narkotyku. Gdzieś poprzez odrętwiałe zwoje mózgu zaczęła się przedzierać ostra świadomość nie wypełnionego obowiązku. Obieżyświat zwał się z pijackiego łoża. Potykając się, czepiając się murów, padając na ziemię i znów dźwigając, pchany nieodpartym instynktem, zdołał się wydostać ze spelunki na ulicę. Krzyczał jak w gorączce: “Carnatic”! “Carnatic”!

Parowiec w kłębach dymu gotował się do drogi. Obieżyświat miał kilka kroków do zrobienia; wpadł na trap, przeszedł burtę wejściową i zwał się bez przytomności na pokład.

W tej samej chwili załoga zdejmowała cumy. Marynarze, jak przystało na ludzi nawykłych do scen tego rodzaju, wzięli biedaka pod pachy i ulokowali w jednej z kabin drugiej klasy. Obieżyświat ocknął się dopiero nazajutrz, o sto pięćdziesiąt mil od lądu chińskiego. Oto w jaki sposób znalazł się tego ranka na dziobie “Carnaticu”, wciągając pełną piersią ożywczy wiatr morski. Czyste powietrze otrzeźwiło go. Obieżyświat usiłował zebrać rozproszone myśli, co nie szło mu łatwo. Wreszcie przypomniał sobie wczorajsze wydarzenia, wyznanie Fixa, tawernę i tak dalej.

- Nie ma co - mruknął - upiłem się jak świnia. Co na to powie jaśnie pan? Jedno mnie pociesza, że mimo wszystko na statek zdążyłem, A to najważniejsze.

Następnie zaczął rozmyślać o Fixie.

“Co do niego, to chyba pozbyliśmy się franta raz na zawsze. Po tym, co mi proponował, nie ośmieliłby się zaokrętować z nami na “Carnaticu”. Inspektor policji,

detektyw tropiący mego pana oskarżonego o okradzenie Banku Angielskiego! Czego to nie wymyślą! Z Fogga taki złodziej jak ze mnie morderca!

Czy należy powiedzieć o tym wszystkim panu Foggowi? Czy jest sens odkrywać przed nim rolę Fixa? Może lepiej poczekać do powrotu do Londynu i dopiero wówczas oznajmić panu, że jakiś szpicel policyjny jeździł za nim po całej kuli ziemskiej? Będzie się z czego śmiać. Tak, to najlepsze wyjście. Zresztą trzeba by się jeszcze nad tym zastanowić. Najpilniejsza teraz rzecz, to odszukać jaśnie pana i wytłumaczyć się przed nim ze swego karygodnego postępk.

Obieżyświat dźwignął się. Morze było niespokojne, parowiec mocno kołysał. Nasz poszukiwacz przygód, choć nie nazbyt jeszcze pewien swoich nóg, dotarł jako tako na rufę statku. Na pomoście nie dojrzał jednak nikogo, kto by przypominał pana Fogga czy panią Audę.

- Aha - rzekł sobie - pani Auda jeszcze zapewne śpi o tej godzinie, A jaśnie pan prawdopodobnie znalazł partnerów do wista i według zwyczaju rżnie w karcięta...

Mówiąc to służący zszedł do salonu. Pana Fogga i tu nie było. Nie pozostawało nic innego, jak dowiedzieć się u intendenta, którą kabinę zajmuje pan Fogg. Ale intendent odparł, że nie zna pasażera o tym nazwisku.

- Przepraszam pana - nalegał Obieżyświat. - Chodzi o dżentelmena wysokiego wzrostu, chłodnego w obejściu, mało rozmownego, któremu towarzyszy młoda dama...

- Nie mamy na pokładzie Ani jednej damy - odpowiedział funkcjonariusz. - Zresztą niech pan sobie przejrzy listę pasażerów. Proszę.

Obieżyświat zagłębił się w czytaniu listy. Nazwiska jego pana na niej nie było. Biednemu chłopcu czarno zrobiło się przed oczami, A potem błysnęła mu pewna myśl.

- Czy ja Aby na pewno jestem na "Carnaticu"?

- Z całą pewnością - potwierdził intendent.

- W drodze do Jokohamy?

- Nie inaczej.

Nadzieje Obieżyświata, że może pomylił się co do statku, rozwiały się. Nie mógł już wątpić, że znajduje się na "Carnaticu" i że pana jego tu nie ma. Ciężko opadł na fotel.

Zaiste był to piorun z jasnego nieba. I naraz wszystko sobie doskonale uprzytomnił: odpłynięcie "Carnaticu" zostało przyśpieszone. Obieżyświat winien był powiadomić o tym swego pana, Ale nie uczynił tego. Z jego winy pan Fogg i pani Auda spóźnili się na statek.

Tak, z jego winy, to prawda, Ale przede wszystkim z winy tego zdrajcy, który spoił biednego sługę do nieprzytomności, Aby łatwiej go przytrzymać w Hongkongu i rozdzielić

z panem. Nareszcie pojął, na czym polegał zdradliwy fortel inspektora policji. A skutki jego będą straszne: zakład pan Fogg na pewno przegra, stanie u progu bankructwa, kto wie, czy nie znajdzie się w łapach policji w więzieniu? Na samą myśl o tym lokaj rwał włosy z głowy. O, niechby ten nędznik wpadł mu w ręce, zapłaci za wszystko z naddatkiem!

Gdy po pewnym czasie Obieżyświat opamiętał się w rozpacz, przywołał na pomoc zimną krew i swój francuski rozsądek. Po czym przyjrzał się sytuacji. Nie była zgoła do pozazdroszczenia. Zbliżano się do Japonii. Dopłynąć tam - dopłynię, Ale jak się stamtąd wydostać? Kieszenie miał puste, Ani jednego szylinga, Ani jednego pensa! Tyle tylko, że przejazd i utrzymanie na statku zostały z góry opłacone. To mu dawało pięć lub sześć dni do namysłu. Ile w czasie tej podróży zjadł i wypił pocziwy sługa - nie da się wprost opisać. Jadł za swego pana, za panią Audę i za siebie samego. Pochłaniał potrawy, jakby Japonia, dokąd podążał, była pustynią pozbawioną wszelkich substancji jadalnych.

Trzynastego wraz z rannym przyływem "Carnatic" wszedł do portu Jokohama. Jest to jeden z najważniejszych portów przystankowych na szlakach Oceanu Spokojnego. Tu zawijają wszystkie parostatki przewożące pocztę i pasażerów między Ameryką Północną, Chinami, Japonią A Wyspami Malajskimi. Jokohama leży nad zatoką Jeddo. [Tokio] Niedaleko stamtąd znajduje się olbrzymie miasto tejże nazwy, druga stolica japońskiego cesarstwa, A niegdyś siedziba świeckiego władcy tajkuna, [szogun] rywalizująca z potężnym Meako, gdzie mieszka mikado, cesarz i najwyższy duchowny, potomek bogów.

"Carnatic" stanął przy nabrzeżu jokohamskim w pobliżu mola i budynków urzędu celnego, między mrowiem statków z najróżniejszych krajów. Bez zbyteńgo zapału schodził Obieżyświat na tę dziwną ziemię, którą rządził Syn Słońca. Bez celu, traf obrawszy za przewodnika, szedł ulicami, gdzie go oczy niosły.

Znalazł się zrazu w dzielnicy całkowicie europejskiej, wśród niewysokich budynków ozdobionych galeriami wspartymi na smukłych kolumnach. Ulice, place, doki i magazyny tej dzielnicy zajmowały rozległą przestrzeń między tak zwanym Wzgórzem Traktatu A rzeką. Tak jak w Hongkongu i Kalkucie roił się na tym obszarze mieszany tłum wszystkich ras, A więc: Amerykanie, Chińczycy, Holendrzy, ruchliwi kupcy, gotowi każdej chwili bądź coś kupić, bądź sprzedać. Wśród tego tłumu Obieżyświat poczuł się tak samotnie i obco, jakby go przerzucono do kraju Hotentotów. Miał przed sobą wyjście bardzo proste, A mianowicie zwrócić się do miejscowego konsulatu francuskiego czy Angielskiego. Ale wzdragał się przed tym środkiem, który uważał za ostateczność. Przebiegłszy ulice europejskiej części miasta, zdecydował się szukać szczęśliwego przypadku w dzielnicy japońskiej, A gdy i tu nic się nie nadarzy, ruszyć do Jeddo.

Część Jokohamy, zamieszкана przez Japończyków, zwie się Benten - od bogini morza czczonej na sąsiednich wyspach. Widzi się tu zachwycające szpalery cedrów i jodeł, święte bramy o przedziwnej Architekturze, mosty w gąszczu bambusów i trzciny, świątynie kryjące się pod ogromnym, pełnym melancholijnego cienia pułapem stuletnich cedrów, klasztory, w których wypełniony rozmyślaniami żywot wiedli kapłani Buddy. Na niekończących się ulicach, pośród krótkonogich pudelków, płowych kotów, strasznie leniwych i łasych na pieszczoty, bawiły się dzieci o złotoróżowych policzkach, istny łań barwnych kwiatów, jakby wyciętych z japońskiego parawanu.

Ludność mrowiała się na ulicach, tłumy przepychały się w różnych kierunkach: szły procesje bonzów uderzających miarowo w bębny, kroczyli policjanci w szpiczastych hełmach z chińskiej laki, dźwigający u pasa aż dwie szable; przewijali się celnicy i żołnierze w bawełnianych uniformach, niebieskich w białe paski, uzbrojeni w staroświeckie strzelby z kurkami; dalej gwardia mikada w jedwabnych kaftanach, opięta w pancerze i kolczugi, oraz wielka ilość wojskowych różnej broni, Albowiem w Japonii rzemiosło wojenne było otoczone równie wielkim podziwem, jak w Chinach wzdrganiem. Przesuwali się także braciszczkowie żebrzący, pątnicy w długich opończach, wreszcie zwykli obywatele o lśniących, czarnych jak heban włosach, wszyscy odznaczający się wielkimi głowami, długim tułowiem i nogami jak patyki, wszyscy niscy, o skórze rozmaicie zabarwionej, począwszy od tonu ciemnej miedzi aż do matowej bieli, Ale, rzecz szczególna, nigdy żółtej, co jest cechą Chińczyków, od których Japończyk różni się zasadniczo.

Przez ów tłum torowały sobie drogę powozy i palankiny, jeźdźcy, kulisi, wózki żaglowe, japońskie "norimony" o ściankach z laki i miękkie, w rodzaju wyścielanych lektyk, "kangosy". Tu i ówdzie drobnymi kroczkami przesuwały się kobiety obute w płócienne trzewiczki, w sandały ze słomy lub też w trepki misternie wyrobione z drzewa; szły ze skromnie spuszczonej oczami, były przeważnie nieładne, o piersiach za płaskich, zębach uczernionych wedle ostatniej mody, Ale za to ogromnie wytworne w swych szatach narodowych, zwanych "kirimon", podobnych do szlafroka, przepasanego jedwabną szarfą, która z tyłu tworzy fantazyjny węzeł; zdaje się, że nasze szykowne paryżanki właśnie od Japonek przejęły ową modę.

Obieżywszy kilka godzin błąkał się wśród tej pstrej cizby. Zaglądał do małych, A niezwykle interesujących, pełnych bogactw sklepików, na bazarach gapił się na kramy zarzucone mnóstwem srebrnych japońskich błyskotek, zerkał ku jadłodajniom obwieszonym flagami i proporczykami, dokąd niestety zejść nie mógł, ku herbaciarniom, w których Japończycy raczą się wielkimi filiżankami gorącej, Aromatycznej wody z

domieszką “sake” - wódki ryżowej, ku palarniom, gdzie można się rozkoszować łagodnym, wonnym dymem tytoniu, A nigdy nie spotyka się palaczy opium, bo narkotyk ten jest w Japonii prawie nieznan.

Wkrótce Obieżyświat znalazł się wśród rozległych pól ryżowych. Tu, jak okiem sięgnąć, mieniły się przepychem ostatnich barw i słały ostatnie wonie przekwitające kamelie, które w tym dalekim kraju wyrastają na prawdziwe drzewa. Okolone bambusowym ogrodzeniem, rosły wiśnie, śliwy, jabłonie, które Japończycy uprawiają nie tyle ze względu na ich owoce, co na kwiaty. Warkotliwe wiatraczki i wykrzywione strasydła stały tu ku obronie tych drzew przed dziobami wróbla, gołębi, kruków i innych skrzydlatych żarłoków. Bo nie było wokół wyniosłego cedru, który nie dawałby schronienia orłowi; nie było wierzy płaczącej, której listowie nie otulałoby jakiejś czapli, melancholijnie stojącej na jednej nodze; prócz tego wszędzie wrony, kaczkę, krogulce, dzikie gęsi i zwłaszcza żurawie uważane przez ludność za Arystokrację wśród ptaków, za symbol szczęścia i długowieczności.

Jak się domyślamy, szlachetny A przezorny chłopiec nie omieszkał przed opuszczeniem “Carnaticu” zjeść na śniadanie, ile wlaźło. Jednak nic dziwnego, że po całym dniu włóczęgi poczuł w żołądku pewną czczość. Stwierdził, że w jatkach japońskich wcale nie widać ćwierci baranich, kozich czy wieprzowych, A ponieważ słyszał w dodatku, że ubój wołu, używanego jedynie do uprawy roli, uważa się w Japonii za świętokradztwo, wnioskował stąd słusznie, że mięso jest w tym kraju rzadkością.

W braku mięsa, dostarczonego przez rzeźnię, żołądek jego zadowoliliby się chętnie udźcem dzika czy daniela, mięsem kuropatw czy przepiórek, drobiem Albo nawet rybami, czym prawie wyłącznie żywią się Japończycy przyrządzając potrawy zawsze w tej czy innej kombinacji z ryżem. Ale Obieżyświat i wobec tego dopustu losu umiał zachować tęgą minę i troskę o zaopatrzenie się w żywność odłożył do jutra.

Zapadła noc. Obieżyświat powrócił do dzielnicy japońskiej i błąkał się między bajecznie kolorowymi latarniami. Widział trupę wesołków popisujących się swym niezwykłym rzemiosłem i przepowiadających przyszłość Astrologów pod gołym niebem, otoczonych wielkim tłumem gapiów. Z dala ujrzał redę w blaskach licznych ogni: to rybacy, posługujący się żywicznymi pochodniami, łowili ryby.

Powoli ulice pustoszały. Pojawiły się za to patrole straży nocnej. Wspaniale przybrani i otoczeni świtą oficerowie wyglądali na Ambasadorów. Więc za każdym razem, gdy ront [nocny patrol] ruszał ku europejskiej części miasta, Obieżyświat wykrzykiwał z uciechą: “To ci heca! Jeszcze jedna japońska Ambasada jedzie do Europy!”

Rozdział dwudziesty trzeci

w którym nos Obieżyświata nabiera niebywalej długości

Nazajutrz Obieżyświat, zmordowany i wygłodniały, orzekł, że za wszelką cenę musi coś zjeść i że im prędzej to się stanie, tym lepiej. Mógłby sprzedać zegarek, Ale wolałby raczej umrzeć z głodu. Zdecydował więc, że nadszedł moment, kiedy musi przywołać na ratunek głos, jeżeli nie nazbyt melodyjny, to za to imponująco mocny, którym obdarzyła go natura.

Przypomniał sobie kilka piosenek francuskich i Angielskich i postanowił z nimi wystąpić. Japończycy są zapewne miłośnikami muzyki, skoro wszystko odbywa się u nich przy dźwięku cymbałów i bębnów, więc nie ma wątpliwości, że ocenią talenty europejskiego wirtuoza. Zastanawiał się natomiast, czy nie jest jeszcze za wcześnie na urządzenie koncertu, nieświadomi bowiem rzeczy słuchacze, niespodziewanie wyrwani ze snu, mogliby zapłacić śpiewakowi w monecie innej niż ta, która nosi wizerunek cesarza. Wobec tego postanowił, że jeszcze parę godzin zaczeka. Idąc dalej, uświadomił sobie naraz, że wyda się zbyt dobrze odziany jak na wędrownego Artystę, i wówczas powziął myśl wymienienia swej odzieży na jakieś łachy odpowiedniejsze do nowej pozycji. Co więcej, tego rodzaju transakcja dałaby mu w rękę nadwyżkę w brzęczącej monecie, którą będzie mógł niezwłocznie poświęcić na dogodzenie zgłodniałemu żołądkowi.

Myśl była świetna, pozostawało tylko wprowadzić ją w czyn. Minęło jednak sporo czasu, nim Obieżyświat znalazł tandeciarza i wystąpił do niego z propozycją. Kupczykowi przypadł do gustu strój europejski i wkrótce lokaj wychodził z kramu cudacznie owinięty w stare japońskie suknie, z głową okrytą rodzajem turbanu, z opadającymi końcami, mocno już spłowiałego przez długie lata użycia. Za to kilka srebrnych krążków mile podzwaniało w jego kieszeni.

“Doskonale - pomyślał. - Będę sobie wyobrażał, że jestem na karnawałowej zabawie”.

Teraz pierwszą troską Obieżyświata było znaleźć się w skromnie wyglądającej herbaciarni. Tam kawałkiem kury i kilkoma garściami ryżu posilił się tak, jak człowiek, dla którego sprawa obiadu przedstawiała się jeszcze zupełnie mgliście.

- W porządku - rzekł sobie, należycie wzmocniwszy się na ciele i na duchu. - Najważniejsza rzecz, żeby nie stracić głowy. Po raz drugi już by się nie udało wymienić tych łachów na inne, bardziej japońskie. Trzeba wobec tego rozejrzeć się, jak by tu opuścić co rychlej ten Kraj Słońca, o którym zresztą zachowam wspomnienia bardzo kiepskie.

Może by odwiedzić parowce płynące do Ameryki? Mógłby ofiarować swoje usługi jako kucharz czy posługacz, żądając w zamian jedynie prawa przejazdu i wyżywienia. Raz znalazłszy się w San Francisco, już by dał sobie radę. Najważniejsze to przebyć jakoś owe cztery tysiące sześćset mil, rozciągające się między Japonią a Ameryką. Ponieważ nie miał zwyczaju roztrząsać zbyt długo swoich zamysłów, ruszył w stronę portu. Ale w miarę jak zbliżał się do doków, projekt ów, z początku tak prosty, zaczął mu się wydawać niewykonalny. Amerykańskie parowce nie szukają zapewne nowych kucharzy czy posługaczy, a zresztą czy mógłby wzbudzić zaufanie udrapowany w takie szaty? Na kogo się powołać? Czyje referencje przedstawić?

Gdy się tak troskał, oczy jego padły na Afisz, który dźwigał mężczyzna przebrany za cyrkowego kłowna. Na Afiszu widniało wypisane po Angielsku następujące ogłoszenie:

“Japońska Trupa Akrobatyczna pod dyrekcją Czcigodnego Pana Williama Batulkara
Ostatnie Przedstawienie przed odjazdem do Stanów Zjednoczonych Ameryki
Słynne Występy bezpośrednio przez boga Tingu natchnionych
Długich Nosów Sensacja!
Sensacja!”

- Stany Zjednoczone! - krzyknął Obieżyświat. - Ależ to gratka dla mnie!

Poszedł za człowiekiem-afiszem i wkrótce znalazł się w dzielnicy japońskiej. Po kwadransie marszu zatrzymał się przed obszerną budą, udekorowaną u szczytu pękiem chorągiewek, o ścianach zewnętrznych pokrytych malowidłami, które za pomocą krzyczących barw, ale za to bez przesadnej troski o perspektywę, wyobrażały zespół żonglerów.

Tak wyglądał zakład czcigodnego pana Batulkara, nowego wcielenia słynnego Barnuma. [właściciel cyrku] Pan Batulkar był dyrektorem trupy kuglarzy, żonglerów, kłownów, Akrobatów, gimnastyków i linoskoków, którzy, jak głosił Afisz, przed odjazdem do Ameryki dawali ostatnie przedstawienie.

Obieżyświat wszedł do przedsionka i spytał o pana Batulkara. Imć pan Batulkar zjawił się we własnej osobie.

- Czego chcecie, człowieku? - zagadnął Obieżyświata, biorąc go zrazu za tuziemca.

- Nie potrzebuje pan czasem służącego? - spytał Obieżyświat.

- Służącego! - wrzasnął tamtejszy Barnum gładząc się po gęstej brodzie, przykrywającej mu szyję. - Mam dwóch, obaj posłuszni, wierni, nigdy mnie nie opuszczają i pracują tylko za wyżywienie. Przypatrz się tym moim lokajom. - To mówiąc wysunął ramiona pokryte żyłami tak grubymi jak struny kontrabas.

- Słowem, na nic się panu nie zdam?

- Na nic.

- Do pioruna! A tak chętnie zabrałbym się z panem.

- Czekaaj, bratku - rzekł na to szacowny Batulkar. - Z ciebie, widzę, taki Japończyk, jak ze mnie małpa. Dlaczegoś tak się ubrał człowieku?

- Ludzie ubierają się jak im wypadnie.

- Prawda, Ani słowa. Jesteś Francuzem?

- Tak. Prawdziwy paryżanin z Paryża.

- W takim razie z pewnością umiesz stroić miny?

Obieżyświata złość wzięła, gdy usłyszał ten przytyk do swej narodowości.

- My, Francuzi - odpalił - wcale nieźle znamy się na strojeniu min, Ale daleko nam do Amerykanów.

- Słusznie! Otóż na służącego nie mogę cię wziąć, Ale przydałbyś mi się jako kłown. Tak się ma sprawa, mój zuchu, że we Francji odstawia się błaznów zagranicznych, A za granicą - francuskich.

- Ach, tak?

- Krzepki jesteś?

- Zwłaszcza gdy wstaję od stołu.

- A umiesz śpiewać?

- Umiem - rzekł Obieżyświat, który niegdyś brał udział w ulicznych koncertach.

- Ale czy potrafisz śpiewać stojąc na głowie, z bąkiem wirującym na podeszwie lewej stopy i z szablą na stopie prawej?

- Zrobi się, do licha! - odparł Obieżyświat przypominając sobie ćwiczenia z czasów młodości.

- Bo widzisz, na tym się zasadza cała sztuka - zakonkludował zacny pan Batulkar.

Obieżyświat został przyjęty "hic et nunc" (łac. - na miejscu i bez zwłoki). Dawało mu to wreszcie pewną ustaloną pozycję. W słynnej trupie japońskiej zaangażowano go "do wszyst- kiego". Nie przynosiło to wielkiej chwały, Ale za to dawało gwarancję, że przed upływem tygodnia będzie w drodze do San Francisco.

Przedstawienie, z wielkim hałasem reklamowane przez pana Batulkara miało się rozpocząć o godzinie trzeciej, toteż niebawem u drzwi budy zahuczały straszliwe instrumenty orkiestry japońskiej, brzękadła i tam-tamy. Rozumie się samo przez się, że Obieżyświat jeszcze nie zdołał wyuczyć się żadnej roli, toteż miał jedynie podeprzeć swymi tęgimi ramionami efektowny "numer" przedstawienia, tzw. "piramidę ludzką", którą

wykonują Długie Nosy boga Tingu. Numer ten stanowił największą Atrakcję widowiska i miał zakończyć przedstawienie.

Nie było jeszcze trzeciej, gdy tłum już zapełnił ogromną budę: Europejczycy, Chińczycy i Japończycy, mężczyźni, kobiety i dzieci zalegali wąskie ławeczki i łoże przed Areną. Weszli muzykanci i za chwilę cała orkiestra w komplecie - gongi, tam-tamy, brzękadła, flety, tamburyny i bębny - ryknęła z furją.

Było to przedstawienie typowe w swoim rodzaju, jota w jotę podobne do wszystkich innych występów Akrobatycznych. Trzeba jednak przyznać, że Japończycy celują w tej sztuce. Jeden, trzymając w rękach wachlarz i małe kartki papieru, wykonał wdzięczny numer "motyli i kwiatów". Inny - wonnym dymem z fajki nakreślił w powietrzu błękitnawy napis - kilka miłych słów pod Adresem publiczności. Ten znowu igrał z zapalonymi świecami, zdmuchując je kolejno, gdy znajdowały się na wysokości jego warg, A potem zapalał jedną po drugiej, Ani na chwilę nie przerywając swej cudownej zonglerki. Ów demonstrował niewiarygodną zręczność w puszczaniu w ruch bąków. Jego palce ożywiały, zda się, te warczące maszynki, wprawiając je w nieustający wir: bąki kręciły się na cybuchach fajek, na ostrzach szabel, na drucie, cienkim jak włos, rozpiętym w poprzek Areny, biegały po brzegach kryształowych waz, wspinały się na szczeble bambusowych drabinek Albo rozpraszały po wszystkich zakątkach Areny, A różnorodne ich dźwięki tworzyły przedziwnie harmonijną całość. Cyrkowcy zonglowali nimi w powietrzu, A one kręciły się bez przerwy, podbijali je jak piłki drewnianymi raketami - nie przestawały wirować; wsadzali je do kieszeni i wyciągali stamtąd - czarodziejski ruch trwał ciągle, Aż wreszcie ukryte w bąkach sprężyny rozsadały je od wewnątrz, opryskując Arenę snopem fajerwerków.

Nie dałoby się opisać zdumiewających popisów Akrobatów i skoczków tej trupy. Ćwiczenia na drabinkach, na drążku, na kuli, na beczie i wiele innych wykonane zostały z prawdziwym mistrzostwem. Wszelako szczytowym numerem programu miał być występ Długich Nosów, znakomitych ekwilibrystów, nieznanych dotąd w Europie.

Długie Nosy tworzyły rodzaj bractwa pod wezwaniem i bezpośrednią opieką boga Tingu. Członkowie tego zrzeszenia, przybrani jak legendarni bohaterowie, nosili u ramion wspaniałe skrzydła. Ale co ich szczególnie wyróżniało spośród innych cyrkowych masek, to owe długie nosy umocowane na twarzach, A służące do niezwykłych celów. Nosy te były z bambusa, długie co najmniej na pięć, sześć Albo i dziesięć stóp, proste i zakrzywione, jedne gładkie, inne pokryte brodawkami. Na tych to sztucznych naroślach, solidnie przytwierdzonych, wyznawcy boga Tingu wykonywali wszystkie ewolucje.

Ze dwunastu Akrobatów kładło się na plecach i wznosiło pionowo swe nosy jak piorunochrony, wspinali się na nie inni członkowie zespołu i rozpoczynali swe nieprawdopodobne sztuki: skakali, fruwali, jedni przez drugich wykonywali przedziwne obroty. Na zakończenie zapowiedziano uroczyste numer zwany "Wozem z Dżagernat", [słynne miejsce pielgrzymek religijnych] w którym miało wziąć udział pięćdziesięciu Akrobatów z bractwa Długich Nosów. Niecodzienność tej sztuki polegała na tym, że Akrobaci czcigodnego pana Batulkara, miast użyć jako podstawy piramidy ramion swych kolegów, ustawiali się na owych słynnych nosach. Otóż jeden z gimnastyków, należący do tych, którzy tworzyli podstawę, opuścił w przeddzień trupe, A ponieważ do pełnienia tej funkcji wystarczyło być silnym i zręcznym, wzięto na jego miejsce Obieżyświata.

Nasz godny lokaj poczuł się bardzo niewyraźnie, gdy przywdział średniowieczny strój, ozdobiony parą kolorowych skrzydeł, A zwłaszcza gdy mu przypięto do twarzy długi nos. Męczyły go wówczas ponure wspomnienia młodości. Uznał jednak po namyśle, że ów nos jest w tej chwili jego żywicielem i że trzeba go do tego czasu ścierpieć.

W tym stanie ducha wszedł na Arenę i przyłączył się do towarzyszy, którzy mieli uformować podstawę "Wozu z Dżagernat". Wyciągnął się wespół z innymi na podłodze i wystawił swój dziób ku pułapowi. Na tej jeżącej się podstawie ulokowała się natychmiast druga grupa skoczków, potem trzecia i czwarta, i tak na rusztowaniu z nosów wyrosła sięgająca sufitu żywa budowla z ludzkich ciał.

Grzmot orkiestry i oklasków wybuchł z podwójną siłą, gdy nagle piramida zachwiała się, straciła równowagę i rozpadła się jak domek z kart. Zabrakło jednego z nosów wspierających ją od spodu.

Powodem katastrofy był Obieżyświat. W pewnym momencie wyśliznął się spod misternego wiązania ciał, przeskoczył rampę, jakby mu skrzydła w tym pomogły, i wspiąwszy się na galerię po prawej stronie, padł na kolana przed jednym z widzów z okrzykiem:

- Mój pan! Mój pan!

- To ty?

- Ja, ja!

- Dobrze, chłopcze. W takim razie: na statek.

I oto pan Fileas Fogg, pani Auda i Obieżyświat zaczęli się spieszenie przepychać ku wyjściu. Ale tu z furją zastąpił im drogę zacny pan Batulkar domagając się odszkodowania za potłuczenie "artystów". Pan Fogg umitygował go szybko, rzucając mu paczkę banknotów. O pół do siódmej pan Fileas i jego towarzyszka weszli na pokład parowca,

który miał właśnie podnieść kotwicę. Za nimi wbiegł uskrzydłony Obieżyświat, przyozdobiony sześciostopowym nosem, którego jeszcze nie zdążył zerwać z twarzy.

Rozdział dwudziesty czwarty

w którym podróżni przebywają Ocean Spokojny

Odgadujecie zapewne, co nastąpiło w pobliżu Szanghaju. Sygnały z “Tankadery” spostrzeżono na parostatku płynącym do Jokohamy. Kapitan, zauważywszy spuszczoną do połowy flagę, dał rozkaz zwrócenia parowca ku małemu szkunerowi. W kilka chwil potem Fileas Fogg wsunął w rękę Johna Bunsby umówione pięćset pięćdziesiąt funtów. Co uczyniwszy, szanowny dżentelmen wraz z panią Audą i imć Fixem wspiął się na pokład parowca, który natychmiast ruszył w dalszą drogę ku Nagasaki i Jokohamie.

Przybyli tam 14 listopada o godzinie przewidzianej w rozkładzie, po czym pan Fogg, nie interesując się więcej Fixem, udał się od samego rana na “Carnatic”, gdzie się dowiedział ku radości pani Audy, A prawdopodobnie i własnej, choć tego nikt po nim nie poznał, że Francuz nazwiskiem Obieżyświat istotnie przybył poprzedniego dnia do Jokohamy. Pan Fogg, który pamiętał, że jego statek do San Francisco odpływa tegoż wieczoru, nie zwlekając Ani chwili, ruszył na poszukiwanie lokaja. Zwrócił się przede wszystkim do konsulatów Angielskiego i francuskiego, lecz niestety na próżno. Przebiegłszy bez rezultatu wszystkie ulice Jokohamy, zwątpił już w odnalezienie Obieżyświata, gdy naraz traf, A może i nieokreślone przeczucie kazały mu odwiedzić zacnego pana Batulkara. Naturalnie, nigdy by nie rozpoznał swego sługi pod ekscentrycznym przebraniem legendarnego bohatera; szczęściem on sam ze swej leżącej pozycji dostrzegł pana Foggga na galerii. Z wrażenia nie mógł się powstrzymać, by nie poruszyć przyprawionym nosem. Stąd utrata równowagi i wszyst- ko, co potem nastąpiło.

Tyle dowiedział się Obieżyświat od pani Audy. Opowiedziała mu również dzieje podróży na “Tankaderze” w towarzystwie pana Fixa. Obieżyświat Ani okiem nie mrugnął usłyszawszy to nazwisko. Uznał, że jeszcze nie czas zdradzić swemu panu, co zaszło między nim A inspektorem policji.

Gdy więc przyszła na niego kolej zdania sprawy z własnych przygód, oskarżał się tylko o niecne upicie się, o palenie opium w traktierni w Hongkongu i prosił o przebaczenie.

Pan Fogg wysłuchał jego opowiadania w milczeniu. Potem kazał lokajowi wystarać się o przyzwoity strój i nie poskąpił na ten cel pieniędzy. Nie minęła godzina, A Francuz odmienił się nie do poznania: zerwał nos z twarzy, odrzucił skrzydła i już nic w nim nie przypominało wyznawcy boga Tingu.

Parowiec płynący z Jokohamy do San Francisco należał do towarzystwa Pacific Mail Steam i nosił nazwę "Generał Grant". Był to pakowny statek kołowy o wyporności dwustu pięćdziesięciu ton, starannie utrzymany i zdolny do rozwinięcia nie byle jakiej szybkości. Ogromny balansjer wznosił się i opadał miarowo nad pomostem; do jednego jego końca był przywiązany trzon tłoka, a do drugiego - drąg korbowy, który, transformując ruch pionowy w okrężny, łączył się bezpośrednio z wałem napędowym kół. "Generał Grant" wyposażony był w trzy maszty gafłowe i dysponował znaczną powierzchnią żagli, co potężnie wspierało siłę pary. Robiąc swoje dwanaście węzłów, nie powinien był użyć więcej niż dwadzieścia jeden dni na przebycie Pacyfiku. Pan Fileas miał tedy prawo wierzyć, że znalazłszy się 2 grudnia w San Francisco, dotrze do Nowego Jorku jedenastego, a dwudziestego wysiadzie w Londynie, na kilka godzin przed fatalnym terminem 21 grudnia.

Pasażerowie byli dość liczni. Anglicy, dużo Amerykanów, mnóstwo emigrujących do Ameryki kulisów i kilku oficerów Armii indyjskiej, którzy, korzystając z urlopu, odbywali podróż dookoła świata. Przez cały czas podróży nie zaszły żadne wypadki, o które zwykle na morzu nietrudno. Parowiec prawie nie kołysał, pchany silnymi kołami i wsparty sporą powierzchnią żagli. Tym razem Ocean Spokojny usprawiedliwiał swą nazwę. Pan Fogg był, według zwyczaju, niewzruszony i zamknięty w sobie. Młoda Hinduska czuła coraz wyraźniej, że łączy ją z tym człowiekiem coś więcej niż wdzięczność. Natura jego milcząca, a w czynach tak wspaniała, czyniła na niej z każdym dniem silniejsze wrażenie i oto, sama o tym nie wiedząc, poczęła ulegać uczuciu, którego nieprzenikniony pan Fogg, jeśli sądzić z pozorów, zdawał się wcale nie zauważać.

Pani Auda coraz goręcej interesowała się jego sprawami i niepokoiła czyhającymi nań niepowodzeniami, które mogłyby przeszkodzić w wygraniu zakładu. Przy każdej okazji gawędziła o tym z Obieżyświatem, który umiał czytać między wierszami i pojął, co się dzieje w sercu młodej Hinduski. Pocziwiec okazywał teraz ślepą wiarę w swego pana; był niewyczerpany w pochwałach na temat jego szlachetności, wspaniałomyślności i poświęcenia. Nie zapomniał też upewniać co jakiś czas młodej wdowy o powodzeniu podróży. Twierdził, że najgorsze jest już poza nimi, skoro wydostali się z krajów tak fantastycznych, jak Chiny i Japonia, że obecnie wracają w strony "cywilizowane" i że za pomocą zwykłego kuriera San Francisco - Nowy Jork, a potem transatlantyku z Nowego Jorku do Londynu zakończą w przewidzianym terminie nieprawdopodobną wyprawę wokół kuli ziemskiej.

Połowę tej trasy przebiegł pan Fogg z chwilą, gdy znalazł się o dziewięć dni drogi morskiej za Jokohamą. Istotnie 23 listopada "Generał Grant" minął 180 południk, ten sam,

na którym leżą na półkuli południowej Antypody Londynu. Z osiemdziesięciu dni, którymi na swoją podróż rozporządzał, zużył pan Fogg do tej pory pięćdziesiąt dwa, zostawało mu wobec tego tylko dwadzieścia osiem. To prawda, Ale zwróćmy uwagę, że jeżeli dżentelmen ów znajdował się według wzajemnego układu południków dopiero w połowie swej drogi, to w rzeczywistości uczynił już przeszło dwie trzecie ogólnej trasy. Ileż razy, wspomnijmy, przyszło mu zbaczać z prostej linii, objeżdżać: z Londynu do Adenu, z Adenu do Bombaju, z Kalkuty do Singapuru, z Singapuru do Jokohamy? Gdyby mógł posuwać się prostą drogą po 50 równoleżniku, na którym znajduje się Londyn, cała trasa wynosiłaby około dwunastu tysięcy mil, gdy tymczasem, będąc niewolnikiem kapryśnego układu linii komunikacyjnych, musiał przebywać aż dwadzieścia sześć tysięcy mil, z czego, jak dotąd, do dnia 23 listopada, zrobił około siedemnastu tysięcy pięciuset. Na szczęście reszta drogi biegła prosto jak strzelił, A nieobecny Fix nie mógł już bruździć.

Tegoż właśnie dnia 23 listopada, Obieżyświat znalazł powód do szczególnej radości. Przypominamy sobie, że ongiś uparł się trzymać czasu zachodnioeuropejskiego i nie przesuwać Ani cofać wskazówek swego pamiątkowego zegarka, bo czas obowiązujący w mijanych krajach uważał za kłamliwy. Otóż dziś stwierdził, że jego zegarek co do sekundy zgadza się z pokładowym chronometrem.

Nic dziwnego, że Obieżyświat tryumfował. Chętnie by się teraz przekonał, co by na to powiedział Fix, gdyby tu był obecny.

- Ha, łajdaczyna! Tyle mi nabredził o południkach, o słońcu, o księżycu. To ci dopiero mądrala! Gdyby takich słuchano, ładnie by zegarki zaczęły na świecie chodzić. Ale mnie nabrać niełatwo: wiedziałem, że dziś czy jutro słońce się opamięta i pójdzie według mego zegarka - cieszył się lokaj.

Gdyby tarcza jego zegarka była podzielona na dwadzieścia cztery godziny, tak jak tarcze zegarków włoskich, Obieżyświat nie miałby powodu do tryumfu: zegarek jego wskazywałby godzinę dwudziestą pierwszą po północy, to jest godzinę dziewiątą wieczór, podczas gdy na chronometrze okrętowym była dopiero dziewiąta rano. Taka właśnie różnica czasu istnieje pomiędzy Londynem A 180 południkiem, o czym pocziwiec nie miał pojęcia.

Ale gdyby nawet Fix umiał mu wyjaśnić to czysto fizyczne zjawisko, Obieżyświat bez wątpienia nie byłby w stanie go zrozumieć, A przede wszystkim nie zechciałby się na nie zgodzić. Zresztą gdyby inspektor policji ukazał się teraz niespodzianie na pokładzie, wówczas lokaj, słusznie żywiący doń urazę, najprawdopodobniej przedyskutowałby z imć Fixem całkiem inny temat i w zgoła odmienny sposób.

Gdzież więc był Fix w tym momencie?

Fix znajdował się nie gdzie indziej, tylko właśnie na pokładzie "Generała Granta".

Po przybyciu do Jokohamy Agent porzucił pana Fogga, przeświadczony, że znajdzie go w ciągu dnia, i pobiegł śpiesznie do konsulatu Angielskiego. Tam wreszcie znalazł upragniony nakaz Aresztowania goniący za nim już od czterdziestu dni, wysłany zresztą z Hongkongu "Carnatikiem", a więc tym statkiem, którym detektyw zamierzał płynąć. Nie dziwny się kwaśnej minie imci Fixa: nakaz Aresztowania nic już nie był wart. Pan Fogg znalazł się poza obrębem Angielskich dominiów. Teraz potrzebny byłby od władz lokalnych specjalny rozkaz wydania przestępcy.

- Furda - rzekł sobie Fix ochłonawszy z pierwszej złości. - Nakaz wprawdzie jest tutaj na nic, ale za to będzie dobry w Anglii. Ten szelma jest widać przekonany, że policję wywiódł w pole, i teraz spokojnie wraca do kraju. A więc dobrze, pojedę za nim. Tylko oby Bóg ustrzegł choć trochę ze skradzionych pieniędzy. Na podróż, na nagrody, proces, grzywnę, na słońca, na drobne wydatki ten filut już puścił po drodze nie mniej niż pięć tysięcy funtów. Zresztą co tam, Bank Angielski nie jest biedny, niech płaci.

I zdecydował się załadować bezzwłocznie na "Generała Granta". Był właśnie na pokładzie, gdy nadeszli pani Auda, pan Fogg i Obieżyświat. Zdumiony Fix w legendarnym bohaterze rozpoznał swego wroga. Schował się czym prędzej do kabiny, nie chcąc się wdawać w wyjaśnienia, które mogłyby zepsuć całą sprawę. Mniemał, że w tłumie pasażerów uda mu się jakoś przemycić swoją osobę, a tu raptem dziś, gdy przechadzał się po przednim pokładzie, niespodziewanie znalazł się oko w oko z lokajem.

Bez słowa Obieżyświat skoczył Fixowi do gardła i, ku wielkiej uciechu zebranych Amerykanów, którzy natychmiast porobili między sobą zakłady, uczęstował Agentą wspaniałym sierpowym, który dobitnie wykazał wyższość boksu francuskiego nad Angielskim.

Obieżyświat od razu poczuł się spokojniejszy, najwidoczniej mu ulżyło. Poturbowany Fix podniósł się, spojrzął na przeciwnika zimno i spytał:

- Czy to już koniec?

- Na razie...

- Wobec tego chodźmy porozmawiać.

- Porozmawiać?...

- Tak, w interesie pańskiego chlebowawcy.

Obieżyświat, ujarzmiony zimną krwią inspektora, poszedł za nim. Usiedli na dziobie statku.

- Słukłeś mnie pan - rzekł Fix. - W porządku, tego się spodziewałem. Za to teraz niech pan dobrze słucha. Dotychczas byłem przeciwnikiem pana Fogga, Ale od tej chwili chcę mu iść na rękę.

- Nareszcie! - wykrzyknął lokaj. - Więc przekonał się pan, że to człowiek uczciwy?

- Nie - odparł z flegmą detektyw. - Mam go w dalszym ciągu za nicponia. Hola! Siedź pan spokojnie, niech skończę... Dopóki pan Fogg przebywał w posiadłościach Angielskich, dobro sprawy nakazywało mi przetrzymać go tam do czasu przyścia nakazu Aresztowania. Przyznaję, że nie zaniedbałem w tym celu niczego. Nasłałem na niego ojculków z Bombaju, pana spoilem w Hongkongu i rozdzieliłem z nim, co przyczyniło się do tego, że nie trafił na statek do Jokohamy.

Pięści Obieżyświata zaciskały się coraz silniej.

- Ale teraz - podjął Fix - pan Fogg, zdaje się, wraca do Anglii. Udam się za nim. Lecz odtąd będę się starał usuwać z jego drogi przeszkody, tak jak dotychczas wyłaziłem ze skóry, żeby je gromadzić. Jak pan widzi, moja gra się zmieniła, A zmieniła się dlatego, że leży to w moim interesie. I zwracam uwagę, że pański interes jest podobny do mojego, bo dopiero w Anglii wyjdzie na jaw, czy jest pan w służbie przestępcy, czy też uczciwego człowieka.

Obieżyświat słuchał z uwagą słów detektywa i doszedł do wniosku, że podyktowała je całkowita szczerść.

- Więc cóż? - pytał Fix. - Między nami sztama?

- Sztama? Nie - odparł zagadnięty. - Ale spółka, i to z dobrodziejstwem inwentarza, bo przy najmniejszym podejrzeniu o zdradę kark panu ukręcę!

- Zgoda - przytaknął spokojnie Agent.

W jedenaście dni po tej rozmowie, 3 grudnia, "Generał Grant" wpłynął przez Złote Wrota do Zatoki San Francisco. Jak dotąd pan Fogg nie stracił, Ale i nie zyskał Ani jednego dnia..nv

Rozdział dwudziesty piąty

w którym rzuca my okiem na San Francisco w dniu mityngu

Była godzina siódma rano, gdy Fileas Fogg, pani Auda i Obieżyświat dotknęli stopą kontynentu Amerykańskiego, jeżeli godzi się tak nazwać pływający pomost, przy którym przycumował "General Grant". Molo tego rodzaju, wznoszące się i opadające wraz z przyływem i odpływem, ułatwia znakomicie wyładunek i załadunek statków. Skupiły się przy tych pomostach duże i małe klipery, parowce różnego typu o banderach całego świata, wielopokładowe parostatki śródlądowe, które pełnią służbę na rzece Sacramento i jej dopływach. Tu zgromadzone są również towary, których dostarcza się do Meksyku, Peru, Chile, Brazylii, Europy, Azji i na wyspy Pacyfiku.

Obieżyświat, nie posiadając się z radości, że nareszcie jest w Ameryce, uznał za stosowne uczcić moment zejścia ze statku ryzykownym skokiem w pięknym stylu. Deski pomostu były jednak nieco spróchniałe i lokaj, spadłszy na nie, o mały włos nie przebił podłogi swoim ciężarem. Przerażony niefortunnym sposobem zawarcia znajomości z kontynentem Amerykańskim, krzyknął przeraźliwie, płosząc tym gromady pelikanów i kormoranów, stałych gości ruchomego mola.

Pan Fogg natychmiast po wylądowaniu poszedł zasięgnąć wiadomości, o której odchodzi pierwszy pociąg do Nowego Jorku. Okazało się, że o szóstej wieczorem, dzentelmen mógł więc spędzić cały dzień w kalifornijskiej stolicy. Kazał zaraz sprowadzić powóz i wsiadł do niego wraz z panią Audą. Obieżyświat wdrapał się na kozioł i wehikuł, wynajęty po trzy dolary za godzinę, potoczył się ku hotelowi "International".

Ze swego wysokiego siedzenia mógł się Obieżyświat napatrzeć do woli na wielkie Amerykańskie miasto: jego szerokie Aleje, niskie domy, równo pod rząd budowane, kościoły i katedry w stylu Anglosaskiego gotyku, ogromne ruchliwe ulice pełne omnibusów, powozów, dwukółek, konnych tramwajów i tłumy ludzi składające się nie tylko z Amerykanów i Europejczyków, lecz także z Chińczyków i Indian.

Obieżyświata dziwił niezmiernie ten widok. Wyobrażał sobie, że miasto nie zmieniło się od legendarnych czasów roku 1849, że pozostało nadal siedzibą bandytów, podpalaczy, morderców, zbiegających się tu zewsząd w poszukiwaniu złota, olbrzymim śmietniskiem wszelkich szumowin i wyrzutków, gdzie grano o złoty piasek z rewolwerem w jednej, A nożem w drugiej ręce. To, co ujrzał, rozczarowało go: "piękne czasy" już minęły, San Francisco wyglądało na duże, uporządkowane miasto handlowe. Wysoka wieża ratusza, na której czuwała straż miejska, sterczała nad szachownicą ulic i Alei przecinających się pod

kątem prostym, gdzie gęsto zieleniły się skwery. Dalej ciągnęła się dzielnica chińska, jakby przeniesiona żywcem z Państwa Smoka w pudełku z zabawkami.

Ani jednego "sombbrero" - kapelusza o szerokim rondzie, Ani jednej z tych czerwonych koszul, ulubionych przez poszukiwaczy złota, Ani śladu Indian z piórami we włosach - za to wszędzie cylindry i czarne ubrania, noszone przez żyjących w wiecznym pośpiechu ludzi interesu. Niektóre ulice, A zwłaszcza Montgomery Street - odpowiadająca Regent Street w Londynie albo Bulwarowi des Italiens w Paryżu czy Broadwayowi w Nowym Jorku - olśniewały efektownymi sklepami, w których nęciły przechodniów towary z całego świata.

W czasie drogi do hotelu Obieżyświatowi trudno było wyobrazić sobie, że przebywa poza granicami Anglii.

W hallu hotelowym rozparł się olbrzymi "bar", rodzaj bezpłatnego bufetu, dostępnego dla każdego przechodnia, który mógł się tu raczyć wędlinami, zupą z ostryg, biszkoptami i serem, nie sięgając do portmonetki. Płacił tylko za napoje, za piwo, porto czy kseres, jeśli przyszła mu fantazja odświeżyć gardło. Dopiero to wydało się Obieżyświatowi "prawdziwie Amerykańskie".

Restauracja "Internationalu" była wzorem wykwintu. Pan Fogg i pani Auda usadowili się przy jednym ze stolików, A kelnerzy, o skórze lśniącej najpiękniejszą czernią, obstawili ich wkrótce mnóstwem mikroskopijnych dań.

Po śniadaniu udali się oboje do biur konsulatu Angielskiego po wizę dla pana Fogg. Na chodniku przed hotelem czekał na nich Obieżyświat. Służący chciał spytać swego pana, czy nie poleci mu zakupić, zanim udadzą się w podróż, pewnej ilości karabinów typu Enfield, albo rewolwerów Colta. Słyszał o plemionach Siuksów i Paunisów, które jakoby zatrzymują pociągi niczym rozbójnicy hiszpańscy. Pan Fogg odparł, że uważa tak daleko posuniętą ostrożność za zbyteczną, Ale pozostawił swemu słudze wolną rękę. Po czym ruszył w stronę konsulatu.

Pan Fileas nie zrobił nawet dwustu kroków, gdy oto "najdziwniejszy z przypadków" sprawił, że ujrzał na swej drodze imię pana Fixa. Inspektor nie posiadał się ze zdziwienia: jak to, więc razem przebyli cały Pacyfik nie spotkawszy się Ani razu na pokładzie? Niemniej jednak czuje się zaszczycony widokiem dżentelmena, któremu on, Fix, tyle zawdzięcza. A ponieważ interesy wzywają go do Europy, byłby szczęśliwy mogąc odbyć dalszą podróż w tak miłym towarzystwie.

Pan Fogg odparł, że cała przyjemność będzie po jego stronie. Wówczas Agent, który wolał mieć dżentelmena przez cały czas na oku, objawił zainteresowanie San Franciskiem i

prosił, Aby mu pozwolono zwiedzić wspólnie to ciekawe miasto. Został zaproszony do towarzystwa.

Tak oto we trójkę, pan Fogg, pani Auda i Fix, rozpoczęli wędrowkę po ulicach miasta. Niebawem znaleźli się na Montgomery Street, gdzie zebrały się nieprzeliczone tłumy. Ludzie cisnęli się na chodnikach, na jezdniach, na szynach tramwajowych, pomimo nieustającego ruchu powozów i omnibusów, stali w drzwiach sklepów, wyglądali oknami i nawet na dachach było ich pełno. W tym zbiorowisku niezmordowanie krążyli ludzie-afisze. Chorągwie i proporceyki łopotwały na wietrze. Coraz to podnosiły się okrzyki:

- Niech żyje Kamerfield!

- Niech żyje Mandiboy!

Odbywał się właśnie mityng. Przynajmniej tak osądził Fix i zwrócił się do pana Fogg:

- Lepiej nie mieszajmy się z tym motłochem, proszę pana. Można tylko oberwać.

- Słusznie - odpowiedział Fogg. - Tym bardziej że uderzenie kułakiem, wymierzone w zacierzewieniu politycznym, nie jest przez to mniej bolesne.

Fix uznał, że na tę uwagę wypada się uśmiechnąć. Nie chcąc wmieszać się w jakąś Awanturę, wdrapali się wszyscy troje na podest schodów wiodących na taras położony nad Montgomery Street. Naprzeciwko, między podwórkiem handlarza węglem a składami hurtownika naftowego, rozłożyło się pod gołym niebem całe biuro, ku któremu zdawały się zbiegać poszczególne strumienie ludzkie.

Co to za mityng? Z jakiego powodu został zwołany? Fileas Fogg nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Czy chodziło o wybór jakiegoś wysokiego urzędnika wojskowego, czy cywilnego, gubernatora stanu czy członka Kongresu? Wolno było tak przypuszczać obserwując niecodzienne ożywienie miasta.

W tej chwili w tłumie wszczął się ruch. Ręce wzniosły się do góry. Niektóre zaciśnięte w pięści, gwałtownie podniosły się i opadły wśród ogłuszających krzyków. Była to widocznie jakaś bardzo energiczna metoda głosowania. Napływający tłum falował w różne strony. Chorągiewki chwiały się nad głowami, znikwały, Aby za chwilę wychynąć na wierzch, całe w strzępach. Fale, rozchodzące się po tym ludzkim morzu, dotarły Aż do schodów, głowy poruszały się jak toń zmacona wichrem.

- To jest na pewno mityng - odezwał się Fix. - Zwołano go z powodu jakiejś palącej sprawy. Nie dziwiłbym się, gdyby chodziło jeszcze o sprawę "Alabamy", choć właściwie została ona już rozstrzygnięta.

- Prawdopodobnie - rzekł pan Fogg krótko jak zwykle.

- W każdym razie współzawodnicy są już na ringu: szanowny Kamerfield i czcigodny Mandiboy.

Pani Auda, wsparta na ramieniu pana Fogga, patrzyła ze zdziwieniem na tę hałaśliwą scenę, a Fix zwrócił się do jednego z sąsiadów z prośbą o wyjaśnienie przyczyn ogólnego podniecenia. Ale w tej chwili w tłumie zawrzało. Okrzyki "niech żyje", pomieszane z przekleństwami, wybuchły z podwójną siłą. Drzewca chorągwi przeistoczyły się w broń. Gdzie spojrzeć - zaciśnięte pięści. Ciosy padały nawet z dachów zatrzymanych powozów i omnibusów. Śmigwały zaimprovizowane pociski. Buty i trzewiki opisywały w powietrzu śmiałe łuki i zdawało się nawet, że do krzyków ludzkich rewolwery dołączyły swój charakterystyczny, suchy szczęk.

Tłum przybliżył się i wtargnął na stopnie schodów. Jedna z partii bez wątpienia została pokonana, lecz widzowie nie mogli się połapać, czy to była partia Mandiboya, czy też Kamerfielda.

- Najmądrzej zrobimy wycofując się - zauważył Fix, który nie miał najmniejszej ochoty, aby jego "ptaszek" dostał po łbie lub wplątał się w jaką awanturę. - Kto wie, czy tu nie chodzi o Anglię, więc jeżeli tłum nas pozna, możemy i my oberwać w tym zamęcie.

- Obywatel Angielski... - zaczął pan Fogg, lecz nie zdążył skończyć zdania, gdy z tarasu, ku któremu wiodły schody, rozległy się gromkie okrzyki: "Wiwat! Niech żyje Mandiboy!"

Była to grupa wyborców, nadchodząca z pomocą swoim i zamierzająca uderzyć na przeciwników z flanki. Pan Fogg, pani Auda i Fix zostali wzięci w dwa ognie. Było już za późno, żeby uciekać. Banda mężczyzn, uzbrojona w kastety i laski z ołowiem, tworzyła mur nie do przebycia. Fileas Fogg i Fix, osłaniający panią Audę, byli nielitościwie potrąceni. Pan Fogg, flegmatyczny jak zwykle, szykował się do odparcia ataku za pomocą tej broni, którą natura umieściła na końcu ramion każdego Anglika. Jednak bezskutecznie. Jakiś pleczysty drab z ognistą bródką i czerwoną twarzą - najwidoczniej szef tej bandy - podniósł swą olbrzymią pięść nad głowę pana Fogga i nasz dżentelmen byłby srodze ucierpiał, gdyby nie Fix, który ofiarnie przyjął na siebie ten cios. Pod cylindrem, który upodobił się do damskiego toczka, wyrósł jak na drożdżach wielki guz.

- Ty Jankesie! - rzucił pan Fogg napastnikowi wraz ze spojrzeniem pełnym pogardy.

- Ty Angliku! - warknął tamten. - Jeszcze się spotkamy!

- Służę zawsze.

- Pańskie nazwisko?

- Fileas Fogg. A pańskie?

- Pułkownik Stamp Proctor.

Po czym fala ludzi odpłynęła. Fix, który leżał jak długi, podniósł się. Ubranie wisiało na nim w strzępach, lecz większych obrażeń nie odniósł. Płaszcz miał rozdarty na dwie nierówne części, a spodnie przypominały portki indiańskie, które czerwonoskórzy nakładają nie wcześniej, aż wyrwą z nich - cóż, kwestia mody - całe siedzenie. Ale cel został osiągnięty: pani Auda wyszła bez szwanku i tylko biedny Fix poniósł wszystkie ciężary tej Awantury.

- Dziękuję - rzekł do niego pan Fogg, gdy wydostali się z tłumu.

- Nie ma za co. Chodźmy.

- Dokąd?

- Do sklepu z gotowymi ubraniami.

Istotnie, wizyty tej nie było można uniknąć. Strój obu mężczyzn był w stanie oplakany, obaj wyglądali tak, jakby się bili za sprawę czcigodnego Kamerfielda czy Mandiboya.

W godzinę potem mieli już przyzwoite ubrania i nakrycia głowy. Wrócili do hotelu. Tam czekał na nich Obieżyświat z pół tuzinem sześciostrzałowych rewolwerów. Ujrawszy Fixa u boku swego pana, spochmurniał. Udobruchał się dopiero wtedy, gdy pani Auda w kilku zdaniach opowiedziała, co zaszło. Inspektor więc, okazał się prawdziwym sprzymierzeńcem. Dotrzymał słowa.

Po obiedzie sprowadzono powóz, który podróżnych i ich bagaże miał zawieźć do portu. W momencie, gdy wsiadano do powozu, pan Fogg zwrócił się do Fixa:

- Czy widział pan pułkownika Proctora?

- Nie - odrzekł Fix.

- Wrócę do Ameryki i odnajdę go - oznajmił zimno pan Fogg. - Byłoby rzeczą niedopuszczalną, gdyby obywatel Angielski pozwalał się traktować w ten sposób.

Fix uśmiechnął się pod wąsem i milczał. Pan Fogg, jak widzimy, należał do tych Anglików, którzy, Aczkolwiek nie tolerują pojedynków u siebie, skorzy są do bitki za granicą, jeżeli chodzi o obronę swego honoru.

Na kwadrans przed szóstą podróżni zajechali przed dworzec i znaleźli pociąg już gotów do odjazdu. Przed wejściem do wagonu pan Fileas zagadnął przechodzącego mimo kolejjarza:

- Przyjacielu, co to za rozruchy były dziś w San Francisco?

- Odbył się tylko wiec - odparł kolejjarz.

- A jednak zdawało mi się, że dostrzegam pewien niepokój na ulicach.

- Chodzi po prostu o wybory.

- Pewnie naczelnego wodza? - pytał pan Fogg.

- Nie, proszę pana, sędziego pokoju.

Po tej odpowiedzi pan Fileas zajął swe miejsce. Pociąg ruszył pełną parą.

Rozdział dwudziesty szósty

w którym wsiadamy do pociągu pośpiesznego Drogi Żelaznej Pacyfiku

“Od oceanu do oceanu” - mówią Amerykanie i te cztery słowa mogłyby świetnie stanowić nazwę największej magistrali kolejowej, która przemierza całą szerokość Stanów Zjednoczonych. Droga Żelazna Pacyfiku składa się z dwóch członów: jeden to tzw. Central Pacific między San Francisco a Ogden; drugi - Union Pacific - między Ogden a Omaha. W tym ostatnim punkcie zbiega się aż pięć różnych linii, dzięki czemu jest tak wiele połączeń między Omaha a Nowym Jorkiem. W rezultacie Nowy Jork i San Francisco związane są nieprzerwaną wstęgą żelaza, która liczy nie mniej niż trzy tysiące siedemset osiemdziesiąt sześć mil długości. Między Omaha i Oceanem Spokojnym pociąg przebiega okolice do dziś jeszcze nawiedzane przez Indian i dzikie zwierzęta. Tę rozległą połąć kraju około roku 1845 zaczęli kolonizować mormoni, gdy zmuszono ich do opuszczenia stanu Illinois.

Ongiś - i to przy nader sprzyjających okolicznościach - trzeba było sześciu miesięcy na przejazd z Nowego Jorku do San Francisco. Dziś podróż trwa siedem dni. W roku 1862, mimo sprzeciwu członków Kongresu z Południa, którzy pragnęli, aby kolej obsługiwała w pierwszym rzędzie stany południowe, wytyczono trasę przyszłej linii między 41 a 42 równoleżnikiem. Nieodżałowanej pamięci prezydent Lincoln własnoręcznie oznaczył centralny węzeł nowej linii w mieście Omaha stanu Nebraska. Od razu przystąpiono do robót. Szybkie tempo pracy nie zaważyło na solidnym wykonaniu. W prerii robiono dziennie półtoramilowe odcinki. Na położonych poprzedniego dnia szynach toczył się parowóz podwożąc szyny na dzień następny i tak posuwał się wciąż naprzód w miarę wydłużania się żelaznego traktu.

Od głównej linii Drogi Żelaznej Pacyfiku rozchodzą się liczne odnogi do stanów: Iowa, Kansas, Kolorado, Oregon. Opuściwszy Omaha, linia ciągnie się lewym brzegiem rzeki Nebraska aż do ujścia rozgałęzienia północnego, potem posuwa się wzdłuż rozgałęzienia południowego, przemierza ziemię Laramie i góry Wasatch, obiega rzeki Jeziora Słonego, dochodzi do stolicy mormonów, Salt Lake City, zapuszcza się w dolinę Tuilla, przecina pustynię, góry Cedar i Humboldt oraz rzekę tej nazwy, przedziera się w poprzek łańcucha Sierra Nevada i przez miasto Sacramento dociera do Pacyfiku. Nigdzie, nawet w Górach Skalistych, pochyłość toru nie osiąga dużego kąta i wyraża się liczbą stu dwunastu stóp na odcinku jednomilowym.

Tak się przedstawia owa wielka droga, którą pociągi przebywały w ciągu siedmiu dni. Dzięki niej nasz bohater mógł zdążyć - przynajmniej miał tę nadzieję - na parostatek wypływający 11 grudnia z Nowego Jorku do Liverpoolu.

Wagon, w którym znalazł się pan Fileas, był rodzajem długiego wozu, który spoczywał na dwóch podwoziach opatrzonych w cztery ruchome koła, co pozwalało mu brać ostre skręty. Wewnątrz nie było przedziałów; prostopadle do osi zainstalowano dwa rzędy foteli, zostawiając w środku wolne przejście do wszelkiego rodzaju pomieszczeń, które znajdowały się w każdym wagonie. Wszystkie wagony połączone były platformami w ten sposób, że pasażerowie mogli przechodzić z jednego końca pociągu na drugi i każdej chwili korzystać z wozów-salonów, wozów-tarasów, wozów restauracyjnych i kawiarni. Brakowało tylko wozów-teatrów, Ale pewnego dnia i te się znajdą.

Między wagonami kursowali bez przerwy sprzedawcy książek i gazet, zachwalając swój towar, A także sprzedawcy trunków, żywności i cygar, na które Amatorów nigdy nie brakło.

Z Oakland pociąg ruszył o szóstej wieczór. Była już noc, zimna, ciemna, z niebem okrytym chmurami, które lada chwila mogły sygnąć śniegiem. Pociąg nie szedł zbyt szybko. Biorąc pod uwagę przystanki, nie robił więcej niż dwadzieścia mil na godzinę, która to szybkość powinna by bądź co bądź wystarczyć, Aby przemierzyć kraj w przepisany czas.

W wagonach prawie nie rozmawiano. Wkrótce sen zmorzył większość podróżnych. Obieżyświat i Fix siedzieli obok siebie i milczeli uparcie. Od czasu ostatnich wypadków ich wzajemny stosunek znacznie się oziębził. Nie było już między nimi Ani sympatii, Ani zaufania. Fix nie zmienił swego sposobu bycia. Obieżyświat natomiast był pełen rezerwy, gotów przy najmniejszym podejrzeniu udusić dawnego kompana.

Po godzinie jazdy zaczął padać śnieg, na szczęście dość drobny, tak że nie mógł wpłynąć na szybkość pociągu. Za oknami rozciągał się wielki, biały całun, na którego tle kłęby dymu wydawały się szare. O ósmej zjawił się w wagonie steward i oznajmił, że nadeszła pora spoczynku. W ciągu kilku minut wagon przekształcono w sypialnię. Służba opuściła oparcia foteli, rozwinęła pościel złożoną niezwykle starannie w przemyślane pakiety, wysunęła ścianki prowizorycznych kabin i wkrótce każdy z pasażerów miał przed sobą wygodne łóżko, dyskretnie osłonięte gęstymi firankami. Prześcieradła były bielutkie, poduszki miękkie - należało tylko rzucić się na nie i spać, co też wszyscy bez namysłu uczynili. Tymczasem pociąg biegł pełną parą przez stan Kalifornia.

Teren między San Francisco i Sacramento jest na ogół równy i płaski. Odcinek drogi objęty nazwą Central Pacific Road ciągnie się od Sacramento do Omaha, gdzie zaczyna się następny etap. Od San Francisco do stolicy Kalifornii tor biegnie wprost na północ-wschód wzdłuż American River, która wpada do zatoki San Pablo. Sto dwadzieścia mil, dzielących te dwa miasta, pociąg przebył w sześć godzin i około północy, gdy podróżni byli pogrążeni w pierwszym śnie, minął Sacramento. Tak więc nikt nie mógł podziwiać tego dużego miasta, siedziby instytucji prawodawczych stanu, grodu dumnego ze swoich pięknych Alei, szerokich ulic, wspaniałych hoteli, placów i świątyń.

Po wyjściu z Sacramento pociąg minął kolejno stacje Junction, Roclin, Auburn, Coflox i zagłębił się w masyw Sierra Nevada. O siódmej minął Cisco. W godzinę później wewnątrz wagonu wróciło do swej pierwotnej postaci i pasażerowie znów mogli spoglądać na rozciągający się za oknami górzysty kraj obfitujący w malownicze widoki. Tor kolejowy, posłuszny kaprysom terenu, to czepiał się zboczy wielkich skał, to zwisał nad przepaściami, umykając od zbyt ostrych zakrętów śmiałymi łukami, to rzucał się w ciasne i na pozór bez wyjścia gardziele. Parowóz błyszczał jak relikwiarz, wielkie oko latarni rzucało płowe błyski, zderzak sterczał niby tępą ostroga, a gwizd i stukot zlewały się z szumem potoków i grzmiotem kaskad, podczas gdy zwoje dymu spowijały czarne gałęzie jodeł.

Nie było po drodze Ani tuneli, Ani mostów. Droga przemykała się z boczem łańcucha górskiego, nie kusząc się na przebicie go w linii prostej, nie wyzywając natury.

Okolo dziesiątej pociąg wjechał doliną Carson do stanu Nevada, dążąc niezmiennie na północ-wschód. W południe pozostawił za sobą Reno, gdzie w ciągu dwudziestu minut postoju pasażerowie mogli się posilić. Począwszy od tego miejsca trakt kolejowy na przestrzeni kilku mil kierował się na północ, trzymając się brzegów Humboldt River. Potem skręcał na wschód i posuwał się znowu wzdłuż rzeki aż do grzbietów Humboldt Ranges, gdzie na wschodnim krańcu stanu Nevada wytryskują jej źródła.

Spożywszy śniadanie, pan Fogg, pani Auda i dwaj towarzysze wrócili na swoje miejsca. Wygodnie usadowieni, przypatrywali się urozmaiconemu krajobrazowi: przed ich oczyma ciągnęły się rozległe prerie, rysowały się na widnokręgu sylwetki gór, pędziły spienione wody strumieni. Często ukazywały się w dali olbrzymie stada bizonów, podobne do ruchomej zapory. Nieraz takie nieprzeliczone mrowie stanowi w podróży przeszkodę nie do pokonania. Zdarzało się, że tysiące tych zwierząt defilowało w poprzek toru w ciągu długich godzin i parowóz musiał bezradnie czekać, aż droga będzie wolna.

Nasi podróżnicy mieli okazję zobaczyć to na własne oczy. Okolo trzeciej po południu stado, liczące dziesięć do dwudziestu tysięcy sztuk, zagrodziło im drogę. Lokomotywa,

zwolniejszy nieco biegu, usiłowała wbić się w bok tej ruchomej kolumny, Ale na nic się to nie zdało - była bezsilna wobec nieprzeniknionej masy zwierząt.

Tymczasem trawożerne brodacze, niesłusznie zwane przez Amerykanów "buffalos" (bawoły), stąpały spokojnie, porykując niekiedy donośnie. Były większe od byków europejskich, miały krótkie nogi i krótki ogon, grzbiet muskularny, wypukły jak garb, rogi szeroko rozstawione, A głowę, szyję i łopatki pokryte długą grzywą. Nie mogło być nawet mowy o przerwaniu ich wędrówki. Gdy bizona raz obrały kierunek pochodu, nic na świecie nie mogło ich wstrzymać. Nie ma takiej tamy, która by przerwała skutecznie ten potok cielsk.

Pasażerowie powychodzili na platformy, żeby lepiej się przypatrzeć ciekawemu widokowi. Ale człowiek, któremu powinno było najbardziej zależeć na ruszeniu w dalszą drogę, pan Fileas Fogg, pozostał na swoim miejscu i czekał z cierpliwością filozofa, Aż bizonom spodoba się oswobodzić przejazd. Za to Obieżyświata do wściekłości doprowadzało opóźnienie, jakie powodował napływ tych bydląt. Niewiele brakowało, A byłby puścił w ruch cały swój Arsenal.

- Co za kraj! - unosił się. - Zwykle krowy zatrzymują pociągi i odprawiają procesję przed nosem ludzi, którym się spieszy. Chciałbym wiedzieć, czy jaśnie pan i tę bydlęcą zawadę przewidział w swoim kalendarzyku. Co robi maszynista? Dlaczego ten bałwan nie natrze lokomotywę na rogatą hałastwę?

Ale maszynista uczynił rozsądnie, nie wdając się w zatarg z bizonami. Rozgniótłby bez wątpienia pierwsze z brzegu zwierzęta zderzakiem parowozu; Ale mimo że maszyna była potężna, musiałby wkrótce stanąć, nastąpiłoby wykolejenie i pociąg znalazłby się w groźnej sytuacji. Lepiej więc było cierpliwie czekać, A potem zwiększoną szybkością nadrobić stracony czas. Defilada bizonów trwała dobre trzy godziny i już zapadły ciemności, gdy pociąg ruszył naprzód. W tym czasie ostatnie szeregi zwierząt przechodziły przez szyny, A czoło stada ginęło gdzieś na horyzoncie.

Była ósma, gdy pociąg przedostał się przez łańcuch Humboldt Ranges, A wpół do dziesiątej, gdy wjechał na terytorium stanu Utah, w okolice Jeziora Słonego, do interesującego kraju mormonów.

Rozdział dwudziesty siódmy

w którym Obieżyświat przebiega z szybkością dwudziestu mil na godzinę kurs historii mormońskiej

W nocy z 5 na 6 grudnia pociąg parł w kierunku południowo-wschodnim na przestrzeni około pięćdziesięciu mil; potem skręcił na północo-wschód i zbliżył się do Jeziora Słonego. Około dziewiątej Obieżyświat wyszedł na platformę, Aby odetchnąć świeżym powietrzem. Pogoda była mroźna, niebo szare, Ale śnieg nie padał.

Krąg słońca, którego brzegi zacierały się i jakby rozszerzały we mgle, widniał na niebie niby wielka złota moneta, więc lokaj wdał się w przeliczanie jej wartości na funty szterlingi. To ze wszech miar pożyteczne zajęcie przerwało mu pojawienie się osobistości o dość dziwnym wyglądzie.

Jegomość, o którym mowa, udawał się do stacji Elko. Był wysoki, smagły, z czarnym wąsem, w czarnych pończochach, w czarnym cylindrze, czarnej kamizelce i w czarnych spodniach, w białym krawacie i rękawiczkach z psiej skóry. Wyglądał na duchownego. Przechodził z jednego końca pociągu na drugi i na drzwiach każdego wagonu nalepiał za pomocą laku ręcznie napisaną kartkę.

Obieżyświat zbliżył się do drzwi, Aby odczytać jej treść, i dowiedział się, że czcigodny elder William Hitch, misjonarz mormoński, korzystając z pobytu w pociągu nr 48, wygłosi między godziną jedenastą A dwunastą w wagonie nr 117 odczyt o mormonach i zaprasza na niego wszystkich dżentelmenów, którzy pragną oświecić swą myśl tajemnicami religii "Świętych ostatnich dni".

"pójdę bezwarunkowo" - pomyślał Obieżyświat, który o mormonach słyszał tylko tyle, że wielożeństwo uważają za podstawę swego systemu społecznego.

Wiadomość rozniosła się szybko wśród setki pasażerów, którzy znajdowali się w pociągu. Z tych ledwie trzydziestu dało się wziąć na przynętę; można ich było zobaczyć o godzinie jedenastej na ławkach wagonu nr 117. Obieżyświat figurował w pierwszym rzędzie wiernych. Naturalnie Ani Fix, Ani tym bardziej pan Fogg nie uznali za potrzebne fatygować się z tego powodu.

O wyznaczonej godzinie "elder" William Hitch wstał z miejsca i poirytowanym głosem, jakby mu ktoś oponował, wykrzyknął:

- A ja wam mówię, że Joe Smith jest męczennikiem, że jego brat Hiram jest męczennikiem i że prześladowanie proroków przez Rząd Stanów z Brigham Younga też uczyni męczennika! Kto ośmieli się twierdzić, że tak nie jest?

Nikt nie ośmielił się zaprzeczyć misjonarzowi, którego uniesienie dziwnie nie zgadzało się z jego spokojną twarzą. Gniew “eldera” należało chyba tym tłumaczyć, że mormonizm poddany został nader ciężkim próbom. Rząd Stanów Zjednoczonych w ostatnich czasach nie bez trudu okiełznał tych nie uznających władzy fanatyków. Ogłosił się wyłącznym panem stanu Utah i podporządkował go ogólnostanowemu prawu, uwięziwszy przedtem Brigham Younga pod zarzutem buntu i poligamii. Od tego czasu uczniowie proroka wstąpili na ścieżkę wojenną przeciw Kongresowi Stanów, ograniczając się zresztą na razie do walki słownej. Toteż i “elder” Hitcha żarliwość Apostolska nie opuściła, jak widzimy, nawet w pociągu.

Zaczął snuć, wibracjami głosu i gestem przydając swemu wykładowi żaru, historię mormonów od czasów biblijnych: jak to w Izraelu jeden z proroków mormońskich, z rodu Józefa, ogłosił święte księgi nowej religii i przekazał je synowi swemu Mormonowi; jak to wiele wieków później księgi te, pisane hieroglifami, zostały przełożone przez Joe Smitha młodszego, farmera ze stanu Vermont, który w roku 1825 ogłosił się mistycznym prorokiem; jak to, na koniec, wysłannik niebios objawił mu się w świetlistym borze i złożył w jego ręce księgi Pana.

W tym miejscu kilku słuchaczy mniej zaciekawionych historycznymi wywodami misjonarza opuściło wagon; Ale William Hitch mówił dalej, opowiadając, jak to Smith młodszy, zebrawszy kilku uczniów, braci swoich i ojca, stworzył religię “Świętych ostatnich dni” - religię, która rozpowszechniła się nie tylko w Ameryce, Ale i w Anglii, Skandynawii i w Niemczech, A liczy wśród swych wiernych rzemieślników i ludzi wolnych zawodów; jak powstała kolonia w stanie Ohio; jak wzniesiono świątynię za dwieście tysięcy dolarów i zbudowano miasto w Kirkland; jak to Smith stał się ruchliwym bankierem i otrzymał od zwykłego przewodnika, pokazującego mumie, papyrusy pisane ręką Abrahama i różnych sławnych Egipcjan.

Ponieważ wykład się przedłużał, szeregi słuchaczy przerzedziły się znowu i w wagonie pozostało najwyżej dwadzieścia osób.

“Elder”, nie wzruszony tą jawną dezercją, ciągnął dalej swe opowiadanie, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów: jak w roku 1837 Joe Smith ogłosił niewypłacalność, jak jego zrujnowani Akcjonariusze wrzucili go do smoły, A potem wytarzali w pierzu; jak kilka lat później odnaleziono go, czcigodnego i czczonego bardziej niż kiedykolwiek, w stanie Missouri, gdzie stał na czele gminy liczącej co najmniej trzy tysiące wiernych, i jak potem ścigany nienawiścią pogan musiał uciekać na Dziki Zachód.

Najwyżej dziesięciu ciekawych słuchało jeszcze misjonarza, A między nimi nasz zacny Obieżyświat usilnie nadstawiający uszu. Tak więc dowiedział się, że Smith po długich latach prześladowań zjawił się znów w Illinois i założył w roku 1839 nad brzegami Missisipi miasto Nauvoo-la-Belle, liczące dwadzieścia pięć tysięcy dusz, że został burmistrzem tej kolonii, jej sędzią najwyższym i jej głównodowodzącym, że w roku 1843 kandydował w wyborach na prezydenta Stanów Zjednoczonych i że wreszcie został wciągnięty w zasadzkę, wtrącony do więzienia i zamordowany przez bandę zamaskowanych opryszków.

Pod koniec opowiadania Obieżyświat pozostał jedynym słuchaczem, więc "elder" utkwivszy w nim oczy, oszalamiającymi słowami malował ciąg dalszy: w dwa lata po zamordowaniu Smitha jego następcą i natchniony prorok Brigham Young, porzuciwszy Nauvoo, przyszedł nad Słone Jezioro i tu, w pięknej i żyznej okolicy, na szlaku emigrantów ciągnących przez stan Utah do Kalifornii, założył nową kolonię, która zadziwiająco szybko poczęła rozkwitać dzięki poligamicznym obyczajom mormonów.

- Oto dlaczego - grzmiał William Hitch - oto dlaczego Kongres ściga nas swą zawiścią, oto dlaczego żołnierze Stanów zdeptali ziemię Utah; oto dlaczego nasz wódz, prorok Brigham Young, został uwięziony, co urąga wszelkiej sprawiedliwości! Czyż mamy ugiąć się przed siłą? Nigdy! Wygnani z Vermont, przepędzeni z Illinois, wyrzuceni z Ohio, wydziedziczeni z Missouri, wypchnięci z Utah - znajdziemy jeszcze jakąś niepodległą ziemię i rozbijemy na niej swoje namioty. Czy i ty, mój synu - dorzucił wpijając w Obieżyświata połonące gniewem oczy - czy i ty rozbijesz swój namiot w cieniu naszego sztandaru?

- Nie - odparł nieulekły lokaj i czmychnął czym prędzej, pozwalając Apostołowi wygłaszać nadal prawdziwe kazanie na puszczy.

Tymczasem pociąg mknął naprzód i o wpół do pierwszej dotarł do północno-wschodniego krańca Słonego Jeziora. Można było stąd ogarnąć spojrzeniem rozległy krąg wód tego wewnętrznego morza, zwanego również Morzem Martwym, do którego wpada Amerykański Jordan. Jezioro, otoczone dzikimi skałami połyskującymi bielą soli, urzekło pyszną taflą wody. Ongiś zajmowało ono znacznie większą przestrzeń, zanim brzegi, wznosząc się coraz wyżej, nie zmniejszyły obszaru wody, zwiększając za to jej głębię.

Słone Jezioro, czyli Morze Martwe, ma siedemdziesiąt mil długości, trzydzieści pięć szerokości i leży trzy tysiące osiemset stóp nad poziomem morza, w przeciwieństwie do swego palestyńskiego imiennika, którego depresja wynosi tysiąc dwieście stóp. Woda jeziora jest bardzo słona. Jedna czwarta jej ciężaru przypada na substancje stałe. Jeżeli ciężar wody destylowanej przyjmiemy jako tysiąc, to okaże się, że ciężar gatunkowy wód

Słonego Jeziora równa się tysiąc sto siedemdziesiąt. Tym się tłumaczy, że nie mogą tu wyżyć ryby. Rzucane do Jeziora nurtem Jordanu, Weberu czy innych potoków, giną w niedługim czasie. Jednak nie trzeba wierzyć bajce, jakoby gęstość tych wód przeszkadzała człowiekowi zanurzyć się w ich toni.

Okoliczne gospodarstwa są doskonale prowadzone, bo mormoni znają się na rolnictwie. O tej porze trudno się było o tym przekonać, bo śnieg przyprószył rolę cienką warstwą bieli, Ale można sobie wyobrazić te okolice w pełni lata; wszędzie rancza i corrale - zagrody dla zwierząt domowych, pola zasiane żytem, kukurydzą i sorgo, bujne łąki, żywopłoty z dzikich róż, grupy Akacji i wilczomleczka...

O drugiej pociąg wjechał na stację Ogden. Ponieważ odjazd miał nastąpić dopiero o godzinie szóstej, pan Fogg i jego towarzystwo mogli udać się do "Miasta Świętych", dokąd prowadziła boczna linia kolejowa, wychodząca z Ogden. Dwie godziny wystarczyły, żeby zwiedzić to typowo Amerykańskie miasto, podobne do tylu innych rozległych szachownic, pociętych prostymi liniami, pełnych owego "posepnego smutku kątów prostych", o których pisał Wiktor Hugo. Założyciel "Miasta Świętych" nie umiał uniknąć symetrii, której potrzeba jest tak znamieną dla Anglosasów. W tym dziwnym kraju, którego obywatele są znacznie mniej wari niż stworzone przez nich instytucje, wszystko się robi "do kwadratu" - miasta, domy, A nawet głupstwa.

O trzeciej nasi znajomi przechadzali się ulicami Salt Lake City, które rozciąga się między brzegiem Jordanu A pierwszymi wzniesieniami gór Wasatch. W mieście prawie nie było kościołów i podróźni obejrżeli tylko ogólnie czczony dom proroka, gmach sądu i Arsenal. Domy były z niebieskawych cegieł, z werandami i galeriami, stały zwykle pośród ogrodów obsadzonych palmami, Akacją i drzewami świętojańskimi. Miasto opasywał mur z gliny i kamieni, wzniesiony w roku 1853. W głównej ulicy, gdzie odbywał się zwykle targ, widniało kilka hoteli ozdobionych chorągwiami, między innymi "Salt Lake House".

Miasto nie wyglądało na zbyt ludne. Ulice świeciły na ogół pustkami z wyjątkiem ulic w okolicy świątyni, dokąd zwiedzający przedostali się minawszy najpierw parę dzielnic otoczonych parkami. Kobiet widziało się na ogół dużo, tłumaczy się to osobliwą strukturą małżeństw mormońskich. Nie należy wszakże sądzić, że wszyscy mormoni uprawiają wielożeństwo. Mają oni co do tego wolną rękę.

Gwoli ścisłości trzeba zaznaczyć, że to nie obywatele, lecz obywatelki stanu Utah ubiegają się przede wszystkim o wejście w związki małżeńskie, A to z tego powodu, że według religii mormońskiej niebo obdarza szczęśliwością tylko kobiety zamężne. Zresztą kobiety w tym mieście wydają się ubogie i niezbyt szczęśliwe. Niektóre, widocznie

zamożniejsze, miały na sobie luźne kaftany z czarnego jedwabiu, a na głowach kaptury lub skromne szale. Inne ubrane były w suknie z pospolitego kretonu.

Obieżyświat, jako zaprzysiężony kawaler, nie bez przerażenia przypatrywał się mormonkom, których obowiązkiem było uszczęśliwiać w kilka jednego mormona. Zdrowy rozsądek kazał mu litować się zwłaszcza nad mężczyznami. Z przejęciem myślał o losie mormona, który tyle dam naraz musi przeprowadzić przez cierpienia żywota i w całości dostarczyć do mormońskiego raju, aby tam przebywać z nimi po wieczne czasy, na dobitkę w kompanii świątobliwego Smitha, który zapewne stanowi ozdobę tego miejsca błogości. Nie, Obieżyświat stanowczo nie czuł powołania do tej religii i uważał - prawdopodobnie było to tylko złudzenie - że mieszkanki Salt Lake City rzucają nań niepokojące spojrzenia.

Na szczęście jego pobyt w tym mieście miał się niebawem skończyć. Kilka minut przed czwartą pasażerowie zebrali się na dworcu i zajęli swe miejsca w wagonach. Rozległ się gwizdek konduktora i pociąg ruszył.

Rozdział dwudziesty ósmy

w którym Obieżyświat na próżno przemawia ludziom do rozsądku

Pociąg, który od San Francisco zrobił dziewięćset mil drogi, opuściwszy Słone Jezioro i stację Ogden, jechał przez całą godzinę ku północy aż do rzeki Weber. Tutaj skręcił znowu na wschód poprzez kapryśne wyniosłości masywu Wasatch. Teren położony między tymi górami i łańcuchem Gór Skalistych przyczynił inżynierom Amerykańskim bodaj najwięcej kłopotów. Rząd Stanów musiał spieszyć z pomocą, podpisując wysoką subwencję. W każdą milę budowanej tu drogi inwestowano aż czterdzieści osiem tysięcy dolarów, podczas gdy na równinie koszt takiego odcinka wynosił szesnaście tysięcy dolarów. Ale inżynierowie, jak wspomnieliśmy, nie próbowali iść w zapasy z przyrodą, woleli pokonać ją podstępem: Aby dotrzeć do wielkiej równiny po drugiej stronie masywu, przebili tylko jeden tunel długości czternastu tysięcy stóp.

Przy Słonym Jeziorze trasa kolei wspięła się na swój najwyższy położony punkt, od tego miejsca łagodnym łukiem spuszczała się ku dolinie Bitter Creek, Aby następnie bieć aż do działu wód Oceanu Atlantyckiego i Pacyfiku. Po drodze wciąż napotykało się rzeczki, jak Muddy czy Green, które pociąg przebywał po niewielkich mostach. W miarę jak zbliżano się do celu, Obieżyświat okazywał coraz więcej niecierpliwości. A także i Fix chciałby już być u kresu tej mozolnej podróży. Bał się opóźnień, drżał przed wypadkami - było mu pilniej niż samemu Foggowi postawić wreszcie stopę na ziemi Angielskiej.

O dziesiątej wieczór pociąg przystanął na chwilę na stacji Fort Bridger, Aby zaraz ruszyć dalej. Przebywszy dwadzieścia mil, całą długość doliny Bitter Creek, skąd wypływa część wód tworzących dorzecze Kolorado, wjechał na terytorium stanu Wyoming. Nazajutrz, 7 grudnia, zatrzymał się przez kwadrans w Green River. W ciągu nocy napadało dużo śniegu, Ale zmieszany z deszczem, nie mógł on hamować biegu pociągu. Mimo to Obieżyświat nie przestawał się niepokoić, myśląc z rozpaczą, że masy mokrego śniegu mogą oblepić koła i zatrzymać parowóz.

- Też pomysł - zżymał się - jechać zimą w taką podróż! Nie mógł to jaśnie pan poczekać do lata? Miałyby lepsze widoki powodzenia.

Gdy tak wierny sługa troskał się o stan nieba i termometru, pani Auda przeżywała jeszcze żywsze obawy, które pochodziły z całkiem innych powodów.

Na stacji Green River kilku pasażerów wyszło z pociągu i przechadzało się po peronie, czekając na chwilę odjazdu. Między nimi młoda kobieta rozpoznała pułkownika Stampa Proctora, owego Jankesa, który tak grubiańsko zachował się w stosunku do pana

Fogga podczas mityngu w San Francisco. Pani Auda nie chcąc, żeby ją zauważono, cofnęła się gwałtownie od okna. Była pod silnym wrażeniem tego spotkania. Przywiązała się do swego towarzysza, który, mimo chłodnego obejścia, co dzień dawał jej dowody zupełnego oddania. Nie ulega wątpliwości, że młoda Hinduska nie rozumiała jeszcze istoty swego uczucia i nadawała mu miano "wdzięczności", Ale bez jej wiedzy stało się już ono czymś o wiele gorętszym. Nie dziw przeto, że ścisnęło się jej serce, gdy zobaczyła osobnika, któremu pan Fogg obiecał prędzej czy później wystawić rachunek za jego brutalne zachowanie. Oczywiście, tylko zwykły traf zrządził, że pułkownik Proctor znalazł się w tym samym pociągu, Ale kiedy już tak się stało, trzeba było za wszelką cenę przeszkodzić zetknięciu się jego z panem Fileasem.

Korzystając z chwilowej drzemki swego opiekuna, opowiedziała wszystko Fixowi i Obieżyświatowi.

- Co, Proctor jedzie tym pociągiem? - wykrzyknął Fix. - Ha, w takim razie niech pani będzie spokojna. Zanim zetknie się z imć... chciałem rzec z szanownym panem Foggiem, osobnik ten będzie miał najpierw ze mną do czynienia. Jeśli dobrze pamiętam, to przede wszystkim, ja mam z tym panem na pieńku.

- A zresztą i ja się z nim porachuję, mimo że to pułkownik - dorzucił Obieżyświat.

- Panie Fix - podjęła Hinduska. - Pan Fogg nie odstąpi nikomu obowiązku pomszczenia obelgi. Przecież oświadczył, że wróci do Ameryki i odszuka tego gbura. Jeżeli spostrzeże pana Proctora, nie będziemy w stanie zapobiec starciu i może z tego wyniknąć nieszczęście. Trzeba więc, żeby pan Fogg, nie zobaczył Amerykanina.

- Ma pani rację - przyznał Agent. - To spotkanie mogłoby wszystko popsuć. Czy pan Fogg wyjdzie z niego zwycięzcą, czy zwyciężonym, w każdym razie podróż się opóźni, A to...

- A to - podchwycił lokaj - byłoby zbyt wielką przyjemnością dla panów z klubu "Reforma". Za cztery dni będziemy w Nowym Jorku. Jeżeli przez te cztery dni jaśnie pan nie wyjdzie z wagonu, możemy mieć nadzieję, że przypadek nie zetknie go z tym przeklętym Jankesem. Myślę, że jakoś się to zrobi...

W tym miejscu rozmowa się urwała. Pan Fogg przebudził się i zaczął przyglądać się okolicy przez ośnieżoną szybę. Ale później, gdy służący znalazł się sam na sam z inspektorem, zapytał:

- Czy pan naprawdę biłby się za niego?

Usłyszał odpowiedź krótką, wyrażającą niezłomne postanowienie:

- Zrobię wszystko, Aby go przywieźć żywego do Europy.

Obieżyświat wzdrygnął się mimo woli, Ale w niczym nie odmienił swego pojęcia o panu Fogg. Wrócił do rozmyślań nad skutecznym sposobem zatrzymania swego pryncypała w przedziale, tak żeby go ominęła Awantura z pułkownikiem. Miał nadzieję, że sprawa nie nastreczy zbyt trudności, bo pan Fogg był z natury niezbyt ruchliwy i mało ciekawy. Tymczasem detektyw znalazł widocznie rozwiązanie, bo w jakiś czas po tej rozmowie uczynił w obecności pana Fileasa następującą refleksję:

- Jakże wolno mija czas w pociągu.

- Jednak mija - odparł dżentelmen.

- Na pokładzie parowca miał pan, zdaje się, zwyczaj grywać w wista?

- Tak. Lecz tu nie mam Ani kart, Ani partnerów.

- To nic, karty się znajdują. Nie ma takiej rzeczy, której nie można by nabyć w Amerykańskim pociągu. Co do partnerów zaś... gdyby tak pani, na przykład...

- Ależ owszem - odparła z gotowością młoda wdowa. - Umiem grać w wista. To też należy do Angielskiego wychowania.

- Co do mnie - podjął Fix - to pochlebiam sobie, że jestem niezłym graczem. Gdybyśmy więc spróbowali we trójkę "z dziadkiem".

- Jeżeli pan sobie życzy - rzekł Fileas Fogg, zadowolony, że i w pociągu będzie mógł oddać się ulubionej grze.

Obieżyświat pospieszył na poszukiwanie stewarda i po chwili wrócił z dwiema taliami kart, zapasem fiszek, sztonami i małym stolikiem pokrytym suknem. Niczego nie brakowało. Rozpoczęła się gra. Pani Auda grała zupełnie poprawnie, A nawet zasłużyła parokrotnie na pochwałę surowego pana Fileasa. Inspektor policji okazał się świetnym partnerem, godnym stawić czoło naszemu dżentelmenowi.

- No, załatwione - mruknął do siebie Obieżyświat. - Teraz nie ruszy się z miejsca.

O jedenastej rano pociąg dotarł do działu wód obu oceanów. Było to w Passe Bridger, położonym na wysokości siedmiu tysięcy siedmiuset dwudziestu czterech stóp Angielskich ponad poziomem morza, jednym z najwyższych miejsc tej pnącej się przez Góry Skaliste trasy. Przebywszy dwieście mil, podróżni ujrzeli wreszcie rozległą, ciągnącą się Aż do Atlantyku równinę, tak dogodną do budowy linii kolejowych.

Na stoku basenu Atlantyckiego wiły się już pierwsze, mniejsze i większe dopływy North Platte River. Od północy i wschodu cały horyzont przesłaniała półokrągła kurtyna, którą tworzy północna część Gór Skalistych, ze szczytem Laramie. Między tym pasmem górskim A linią kolejową leżały wielkie, dobrze nawodnione równiny. Na prawo zaczynały

się pierwsze wzniesienia górzystego masywu; zakręcał on na południe aż ku źródłom rzeki Arkansas, jednego z większych dopływów Missouri.

O wpół do pierwszej mignęły przed oczyma pasażerów zabudowania fortu Halleck, który strzeże doliny. Jeszcze kilka godzin i ciężka przeprawa przez Góry Skaliste będzie tylko wspomnieniem. Nasi podróżni mogli mieć nadzieję, że ten trudny etap podróży minie bez wypadku. Śnieg przestał padać. Powietrze stało się ostre i suche. W dali zrywały się jakieś ptaki przerażone widokiem parowozu. Drapieżników nie było widać, przez cały czas nie pokazał się Ani jeden wilk czy niedźwiedź. Jak okiem sięgnąć, ciągnęła się naga, pustynna równina.

Po smacznym śniadaniu, które podano do przedziału, pan Fogg i jego partnerzy wzięli się znowu do kart. Ale w tym momencie dały się słyszeć gwałtowne gwizdki i pociąg stanął.

Obieżyświat wysunął głowę przez okno, Ale niczego nie dostrzegł. W zasięgu jego wzroku nie było żadnej stacji. Pani Auda i Fix mieli chwilę obawy, czy przystanek ten nie skłoni pana Fogg'a do zejścia na peron, Ale na szczęście dżentelmen zadowolili się wysłaniem swego lokaja.

- Zobacz, co się stało - rzekł do Obieżyświata.

Ten wysunął się z wagonu. Wysiadło już około czterdziestu podróżnych, w tej liczbie i pułkownik Proctor. Pociąg zatrzymał się przed czerwonym sygnałem zamykającym drogę. Stali tu już palacz i maszynista, żywo dyskutując z dróżnikiem, którego wysłał na spotkanie pociągu zawiadowca najbliższej stacji w Medicine Bow. Podróżni podeszli do kolejarzy i przyłączyli się do dyskusji, A rej wodził, jak zawsze, Arogancki i butny Stamp Proctor. Gdy Obieżyświat znalazł się w pobliżu, doszły go słowa dróżnika:

- Nie, nie ma mowy o tym, żeby dało się przejechać. Most w Medicine Bow jest naruszony i nie wytrzyma ciężaru pociągu.

Most, o którym mowa, zawieszony był nad bystrą rzeką o milę od miejsca, gdzie zatrzymał się pociąg. Według tego, co utrzymywał strażnik, groził zawaleniem, bo niektóre przęsła pękły. Nie można było ryzykować przejazdu i strażnik nie przesadzał w najmniejszym stopniu, mówiąc o niemożliwości korzystania z mostu. Zresztą, gdy narwany z natury Amerykanin staje się ostrożny, byłoby szaleństwem nie pójść w jego ślady.

Obieżyświat nie śmiał powtórzyć złej nowiny swemu panu. Stał nieruchomy jak słup i zaciskał zęby.

- Do diabła! - huknął pułkownik Proctor. - Nie będziemy tu chyba czekać, aż śnieg nas przysypie!

- Panie pułkowniku - odparł maszynista - już telegrafowaliśmy do stacji Omaha o przysłanie pociągu, Ale nie widzi mi się, żeby przyszedł do Medicine Bow wcześniej, niż za sześć godzin.

- Sześć godzin! - zakrzyknął Obieżyświat.

- Ano tak - rzekł maszynista. - Zresztą tyle czasu będzie nam trzeba, Aby dostać się piechotą do stacji.

- Przecież stacja jest nie dalej niż o milę - zauważył ktoś z obecnych.

- O milę, zgoda, Ale na drugim brzegu rzeki.

- Czy nie można by się przeprawić jakąś łodzią?

- Nie ma mowy, rzeka wezbrana po deszczach. To potok górski. Będziemy musieli zboczyć z drogi z dziesięć mil, żeby dotrzeć do brodu.

Pułkownik wyrzucił z siebie wiązanek przekleństw pod Adresem towarzystwa kolejowego i samego maszynisty. Obieżyświat, wściekły, miał wielką ochotę zawtórować mu po swojemu. Oto wyłoniła się przed nimi przeszkoda, której banknoty pana Fogga tym razem nie przewyciężą.

Zresztą niezadowolenie było ogólne. Perspektywa opóźnienia podróży, A także konieczność wędrowania pieszo z piętnaście mil przez zaśnieżoną równinę skwaśliły humory pasażerów. Podniosły się krzyki, wrzawa, rozległy się głośne złorzeczenia, które na pewno ściągnęłyby uwagę pana Fogga, gdyby ten dżentelmen nie był pochłonięty grą.

Wreszcie Obieżyświat uznał, że tak czy inaczej trzeba powiadomić pana o sytuacji. Zwiesiwszy głowę ruszył ku wagonowi, gdy wtem odezwał się głośno maszynista Forster, typ prawdziwego Amerykanina:

- Proszę panów, może by się i znalazł sposób przejechania.

- Przez most? - spytano go.

- Przez most.

- Naszym pociągiem? - rzucił pułkownik.

- Tak.

Obieżyświat zawrócił i chłonął słowa maszynisty.

- Ale most grozi zawaleniem - zdziwił się konduktor.

- To nic - odparł Forster. - Myślę, że jeśli puścić pociąg całą parą, to uda się przejechać.

- Tam do licha! - wykrzyknął Obieżyświat.

Ale pewnej liczbie podróżnych propozycja wydała się kusząca. Najmocniej przypadła do gustu pułkownikowi Proctorowi. Tej szalonej palce rzecz wydała się całkiem

prosta. Powołał się na fakt, że kiedyś inżynierowie powzięli myśl “przeskakiwania rzek bez mostów” - po prostu siłą rozpędu. Po chwili wszyscy zebrani byli już za wykonaniem projektu maszynisty.

- Mamy pięćdziesiąt szans na sto, że przejedziemy - mówił jeden.

- Sześćdziesiąt - dowodził drugi.

- Osiemdziesiąt! Dziewięćdziesiąt na sto!

Obieżyświat stał osłupiały. Jakkolwiek gotów był na wszystko, Aby tylko przebyć rzekę, jednakże wydało mu się, że pasażerowie poczynają sobie zbyt “po Amerykańsku”.

“Zresztą jest dużo prostsze wyjście - myślał sobie - Ale tym wariatom nie przyjdzie to nawet do głowy”.

- Proszę pana - zwrócił się do jednego z podróżnych - czy Aby pomysł maszynisty nie jest zbyt ryzykowny? Może by...

- Osiemdziesiąt szans na sto! - odparł Amerykanin i odwrócił się plecami.

- Możliwe - mówił Obieżyświat zwracając się do innego dżentelmena - Ale jeśli się zastanowić...

- Nie ma się co zastanawiać, to zbyt proste! - krzyknął pasażer wznosząc ramionami.

- Wystarczy, że maszynista jest pewien swego.

- Owszem, przejechać można - perswadował lokaj. - Mimo to byłoby przecież rozsądniej...

- Co?! Rozsądniej?! - pułkownik Aż podskoczył słysząc to słowo. - Pełną parą, słyszysz pan? Pełną parą!

- Wiem... rozumiem... - jękał Obieżyświat, któremu nie dawano dojść do słowa. - Ale byłoby mimo wszystko, jeżeli nie rozsądniej, bo widzę, że to słowo jest panom niemiłe, to bądź co bądź dużo prościej...

- Jak? Co? Gdzie? Czego ten kiep chce tutaj ze swoim “dużo prościej”? - rozległo się ze wszystkich stron.

Biedaczysko opuścił ręce nie wiedząc, do kogo się zwrócić.

- Tchórz pana obleciał? - urągał Proctor.

- Mnie tchórz miałby oblecieć?! - oburzył się lokaj. - Dobrze, niech będzie, co chce! Pokażę wam, panowie, że w potrzebie Francuz zachowa się równie po Amerykańsku, jak wy, Albo i lepiej!

- Proszę do wagonów! Wsiadać! - zawołał konduktor.

- Pal was licha! Do wagonów! - rozsierdził się Obieżyświat. - Ale niech mi nikt nie wmawia, że nie byłoby dużo prościej nagle przejść ten most piechotą, A dopiero potem spróbować owej Amerykańskiej sztuki z pociągiem.

Ale nikt tej roztropnej uwagi nie słyszał i nie chciał słyszeć. Podróżni już siedzieli w przedziałach. Obieżyświat wrócił na swoje miejsce, Ani słówkiem nie wspominając o tym, co zaszło. Gracze zdawali się nie pamiętać o bożym świecie. Parowóz gwizdnął buńczucznie. Maszynista włączył tylny bieg; pociąg prawie przez milę cofał się, niby zawodnik biorący rozpęd do skoku.

Rozległ się drugi gwizd i pociąg ruszył ku przodowi - zrazu wolno, potem żwawiej, wreszcie bieg jego nabrał zawrotnej szybkości. Od strony lokomotywy dochodziło tylko jakby jednostajne zawodzenie. Tłoki uderzały dwadzieścia razy na sekundę. Osie dymiły w łożyskach. Wydawało się, że pociąg, pędząc w tej chwili z szybkością dwu mil na godzinę, nie dotyka już szyn; szybkość jakby pochłonęła wagę.

I - rzecz nie do wiary - most przejechano! Pociąg przeleciał po nim jak iskra po drucie... Nikt go nawet nie zobaczył. Pociąg po prostu przeskoczył z brzegu na brzeg, A rozpęd był tak wielki, że dopiero pięć mil dalej maszynista zdołał zatrzymać parowóz. Ledwie jednak ostatnie koła oderwały się od mostu, budowla z trzaskiem runęła w nurt rzeki.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

w którym jest mowa o różnych wypadkach, mogących się zdarzyć jedynie na szlakach kolei Amerykańskich

Wieczorem tego dnia pociąg, mknąc dalej bez przeszkód, minął fort Saunders, przebył przełęcz Cheyenne i dotarł do przełęczy Evans. Był to najwyższy punkt drogi - osiem tysięcy dziewięćdziesiąt jeden stóp nad poziomem oceanu. Teraz pozostawało już tylko dotrzeć do Atlantyku przez bezkresne, równe jak stół, połacie ziemi. Wkrótce pociąg przetnie boczną linię wiodącą do Denver, stolicy Kolorado. Tereny te słyną z kopalni złota i srebra i ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi założyło już tam swe domostwa.

W ciągu trzech dni i trzech nocy pociąg przebył tysiąc trzysta osiemdziesiąt dwie mile od San Francisco. W ciągu następnych czterech dni i nocy powinien według wszelkiego prawdopodobieństwa dotrzeć do Nowego Jorku. Widać z tego, że podróż pana Fileasa Fogga odbywała się w terminach przewidzianych w jego planie. W nocy zostawiono po lewej ręce obóz Walbah. Dolina Lodge Pole Creek ciągnęła się równolegle ze szlakiem kolejowym po linii prostej, stanowiącej granicę między stanami Wyoming A Kolorado. O jedenastej podróźni znaleźli się w Nebrasce, wkrótce minięto miasto Sedgwick, A potem Julesburg, położone nad South Platte River.

Właśnie w tym miejscu 23 października roku 1867 odbyło się uroczyste otwarcie linii kolejowej Towarzystwa Drogi Żelaznej Pacyfiku, którego inżynierem naczelnym był generał J. M. Dodge, tego pamiętnego dnia zatrzymały się tu dwa olbrzymie parowozy ciągnące dziewięć wagonów z zaproszonymi gośćmi, wśród których znajdował się wiceprezydent Thomas C. Durant. Zabrzmiały oklaski i okrzyki; plemiona Siuksów i Paunisów zaprezentowały tańce wojenne; wystrzelono w górę race i ognie sztuczne, A spod przenośnej prasy wyszedł pierwszy numer dziennika "Railway Pioneer". Tak to hucznie uczczono otwarcie wielkiej drogi żelaznej, która miała być narzędziem postępu i cywilizacji, łącząc na pustyni nie istniejące jeszcze wówczas miasta i osiedla. Gwizd parowozu potężniejszy, jak się okazało, niż dźwięk liry Amfiona wyczarował je wkrótce z ziemi Amerykańskiej.

O ósmej rano pozostał w tyle fort Mac Pherson, oddalony od Omaha tylko o trzysta pięćdziesiąt siedem mil. Szyny biegły wzdłuż lewego brzegu Nebraski, naśladując jej kapryśne skręty. O dziewiątej ukazało się duże miasto, leżące pomiędzy rzekami North Platte River A South Platte River, które poza nim łączą się w potężnym nurcie Nebraski, Aby nieco poniżej Omaha zasilić wody Missouri. Przekroczono 101 południk.

Pan Fogg zasiadł ze swoimi partnerami do dalszej gry. Nikt, nawet "dziadek", nie narzekał na długą podróż. Początkowo Fix wygrał kilka gwinei i teraz był właśnie w trakcie przegrywania ich jedna po drugiej. Okazywał taką samą, jak pan Fogg, namiętność do gry w wista. Panu Fileasowi sprzyjało dziś wyjątkowe szczęście. Atuty i honory jak deszcz spadały do jego rąk. W pewnym momencie, gdy przygotowywał się do bardzo śmiałego wyjścia w piki, dobiegł go z tyłu czyjś głos:

- Ja bym wyszedł w karo.

Pan Fogg, pani Auda i Fix podnieśli głowy. Obok nich stał pułkownik Proctor. Pan Fogg i Amerykanin poznali się natychmiast.

- Więc to pan, panie Angliku! - wykrzyknął pułkownik. - To pan chce wychodzić w piki!

- Tak, właśnie wychodzę w piki - rzekł zimno pan Fileas rzucając na stół pikową dziesiątkę.

- Nie, wyjdzie pan w karo, bo tak mnie się podoba! - wrzasnął poirytowany pułkownik. I wyciągnąwszy rękę, Aby schwycić zagraną kartę, dodał: - Pan nie ma pojęcia o tej grze!

Na to pan Fogg podniósł się z miejsca.

- Może wykażę więcej wprawy w czym innym - rzekł.

- Ano, spróbujmy, szlachetny potomku Johna Bulla!

Twarz pani Audy okryła się bladością. Krew odpłynęła jej do serca. Ścisnęła kurczowo ramię pana Fogg, Ale ten łagodnie usunął jej rękę. Obieżyświat gotów był rzucić się na Amerykanina, który z bezczelną miną przypatrywał się panu Fileasowi. Nagle ze swego miejsca podniósł się pan Fix i zbliżył do pułkownika.

- Pan, zdaje się, zapomina, że to ze mną sprawa. Pan mnie nie tylko znieważył, Ale nawet uderzył.

- Panie Fix - ozwał się Fileas Fogg - proszę mi wybaczyć, Ale to zajście dotyczy tylko mnie i nikogo więcej. Twierdząc, że popełniam błąd wychodząc w piki, pan pułkownik obraził mnie po raz wtóry i teraz zechce się z tego wytłumaczyć.

- W każdej chwili i w dowolnym miejscu. I z bronią, jaka się panu będzie podobać - odpowiedział Amerykanin.

Na próżno pani Auda starała się powstrzymać pana Fileasa. Na próżno inspektor Fix próbował wziąć całą Awanturę na siebie. Obieżyświat miał szczerą ochotę wyrzucić pułkownika za drzwi, Ale powstrzymał go gest pana Fogg. Pan Fileas wyszedł z wagonu, A za nim udał się Amerykanin.

- Panie - ozwał się nasz dżentelmen - jest mi niezwykle pilno wrócić do Europy i najmniejsze opóźnienie mogłoby zaszkodzić moim interesom.

- A cóż mnie to może obchodzić? - rzekł Proctor.

- Zaraz po naszym zetknięciu się w San Francisco - podjął z niezmienną grzecznością pan Fogg - ułożyłem sobie, że wrócę do Ameryki, Aby pana odszukać, gdy tylko załatwię sprawy, które mnie wzywają do Europy.

- Doprawdy? Nadzwyczajne!

- Czy zechce pan spotkać się ze mną za sześć miesięcy?

- Bagatela! A dlaczego nie za sześć lat?

- Powiedziałem: za sześć miesięcy - powtórzył pan Fogg - i stawię się punktualnie.

- Wykręty, mój panie! - krzyknął pułkownik Proctor. - Teraz Albo nigdy!

- Dobrze - rzekł Fogg. - Czy jedzie pan do Nowego Jorku?

- Nie.

- Do Chicago?

- Nie.

- Do Omaha?

- Co to pana obchodzi? Czy zna pan Plum Creek?

- Nie - odparł Fogg.

- To następna stacja. Będziemy tam za godzinę. Pociąg zatrzymuje się na dziesięć minut. W ciągu dziesięciu minut można wymienić kilka strzałów rewolwerowych.

- Dobrze. Zatrzymam się w Plum Creek - rzekł pan Fileas.

- Spodziewam się nawet, że pan tam zostanie - dodał bezczelnie Jankes.

- Wszystko jest możliwe - odpowiedział dżentelmen i wrócił do przedziału, opanowany jak zawsze.

Tu pospieszył zapewnić panią Aude, że famfaroni w rodzaju Proctora nigdy nie są groźni. Następnie poprosił Fixa, Aby zechciał być jego sekundantem. Fix nie mógł odmówić, Fileas Fogg wrócił więc do przerwanej gry i z niezmaconym spokojem wyszedł w piki.

O godzinie jedenastej gwizdek parowozu oznajmił, że zbliżano się do stacji Plum Creek. Pan Fileas wstał i w towarzystwie Fixa wyszedł na platformę. Za nimi postępował Obieżyświat niosąc parę pistoletów. W wagonie została pani Auda blada jak trup. Jednocześnie otworzyły się drzwi sąsiedniego wagonu i na platformie ukazał się pułkownik Proctor wraz ze swoim świadkiem, Jankesem tego samego, co on, pokroju. Ale w chwili

gdy obaj przeciwnicy mieli zejść na peron, nadbiegł konduktor wołając, że nikt nie powinien opuszczać pociągu.

- A to dlaczego? - spytał pułkownik.

- Bo już jesteśmy o dwadzieścia minut spóźnieni i pociąg się tu nie zatrzyma.

- Ale ja muszę się bić z tym panem.

- Bardzo żałuję, Ale zaraz ruszamy. Już dzwonią.

Istotnie dał się słyszeć głos dzwonka i pociąg potoczył się w dalszą drogę.

- Jest mi naprawdę przykro, panowie - mówił tymczasem konduktor. - W innych okolicznościach poszedłbym panom na rękę. Ale ostatecznie, jeżeli dżentelmeni chcą się koniecznie bić, to czemuż tego nie uczynią w pociągu?

- Nie wiem, czy to temu panu odpowiada - zaszydził Proctor.

- Odpowiada najzupełniej - odparł Fileas Fogg.

“od razu widać, że jesteśmy w Ameryce - zauważył w duchu Obieżyświat. - Nawet konduktor pociągu odstawia tu dżentelmena”.

I poszedł za swoim panem. Obaj przeciwnicy i ich świadkowie udali się za konduktorem na sam koniec długiego szeregu wagonów. W ostatnim było ledwie kilka osób. Konduktor zwrócił się do nich z grzecznym pytaniem, czy nie zechcieliby opuścić na kilka minut wagonu i zostawić go do dyspozycji dwóch dżentelmenów, którzy pragną załatwić pewną sprawę honorową. Pasażerowie wyrazili ogromne zadowolenie, że mogą wyświadczyć tę grzeczność obu panom, i wynieśli się na platformę.

Wagon miał pięćdziesiąt stóp długości i nadawał się wyśmienicie na tego rodzaju rozprawę. Przeciwnicy mogli postępować ku sobie między ławkami i dziurawić się kulami, ile wlezie. Nigdy rozstrzygnięcie pojedynku nie było łatwiejsze. Fogg i Proctor, każdy uzbrojony w dwa sześciostrzałowe rewolwery, weszli do wagonu. Świadkowie zamknęli z zewnątrz drzwi. Strzelanina miała się zacząć przy pierwszym gwizdnięciu lokomotywy... Po upływie dwóch minut od ostatniego strzału można będzie otworzyć wagon i wyciągnąć z niego to, co pozostanie z obu dżentelmenów.

Rzeczywiście, nic prostszego. Pan Fix i Obieżyświat uznali to nawet za tak proste, że Aż im serca załomotały w piersiach.

Czekano więc na gwizdy parowozu, gdy naraz zabrzmiały zewsząd dzikie wrzaski. Równocześnie padły strzały, jednak nie wewnątrz wagonu, w którym zostali pojedynkownicy. Strzelano najwyraźniej wzdłuż całego pociągu. Z wagonów dochodziły zmieszane głosy podróżnych.

Panowie Fogg i Proctor wypadli ze swego zamknięcia i z rewolwerami w garści skierowali się ku przodowi pociągu, gdzie wrzawa i kanonada były najsilniejsze. Pojęli natychmiast, że pociąg zaatakowała wataha Siuksów.

Nie po raz pierwszy czerwonoskórzy urządzali tego rodzaju napad na przejeżdżający pociąg. Zgodnie ze swoim zwyczajem nie czekali na jego zatrzymanie się, tylko w galopie skakali z koni na stopnie wagonów jak cyrkowcy. Już około setki najśmielszych uczepliło się pociągu.

Wszyscy mieli strzelby. Wywiązała się strzelanina, bo niemal wszyscy pasażerowie byli uzbrojeni w rewolwery i przywitani Siuksów kulami. Indianie zaatakowali przede wszystkim parowóz, ogłuszając kastetem palacza i maszynistę. Wódz Siuksów chciał zatrzymać pociąg, Ale nie mając pojęcia o manipulowaniu regulatorem, zamiast zamknąć, otworzył na całą szerokość dopływ pary i lokomotywa potoczyła się naprzód ze straszliwą szybkością.

Jednocześnie druga część hordy rzuciła się na wagony. Siuksowie skakali po dachach, wysadzali szyby i rzucali się na pasażerów w ciasnych przejściach. Tymczasem z wagonu bagażowego wylatywały na tor złupione walizy i kufry. Krzyk, hałas i detonacje nie ustawały. Podróżni stawiali zacięty opór. Niektóre wagony zabarykadowano od wewnątrz i odpierano stamtąd oblężenie niczym z małych, ruchomych fortec, pędzących z szybkością stu mil na godzinę.

Pani Auda od pierwszej chwili napadu mogła służyć za przykład męstwa. Broniła się dzielnie, z rewolwerem w rękę, posyłając kulę każdemu napastnikowi, który ukazał się z drugiej strony potrzaskanej szyby. Od kul podróżnych padło już ze dwudziestu czerwonoskórych, A tych, którzy ześliznęli się ze stopni, platform i buforów, miażdżyły rozpędzone koła. Kilku podróżnych, których dosięgła kula lub topór, leżało na ławkach.

Należało za wszelką cenę skończyć walkę, która trwała od dziesięciu minut i mogła przybrać zły obrót dla podróżnych, jeżeli pociąg się nie zatrzyma. Znajdowano się teraz zaledwie o dwie mile od fortu Kearney, gdzie stał posterunek Amerykański. Jednak gdyby przejechano tę stację, to zanim pociąg dotrze do następnej, Siuksowie mogliby opanować pociąg całkowicie. Konduktor bił się u boku pana Fogga, gdy w pewnej chwili trafiła go kula. Padając zdołał zawołać:

- Jeżeli pociąg w ciągu pięciu minut nie stanie, jesteśmy zgubieni!
- Pociąg stanie - odpowiedział pan Fogg i ruszył w kierunku drzwi. Ale jego sługa zastąpił mu drogę.
- Proszę zostać, jaśnie panie! - krzyknął Obieżyświat. - To już moja sprawa.

Pan Fogg nie zdążył zatrzymać naszego zucha. Obieżyświat wysunął się i, nie spostrzeżony przez Indian, zdołał się dostać pod wagon. I podczas gdy walka wrzała w najlepsze, gdy kule gwizdały mu nad głową, Francuz przywołał na pomoc całą swą zręczność dawnego cyrkowca i zaczął przemykać się pod wagonami. Czepiając się różnych części podwozia wagonów, mijał je jeden po drugim, Aż przez nikogo nie zauważony, dostał się w ten sposób na przód pociągu.

Teraz zawisł na jednej ręce między wagonem bagażowym a tendrem parowozu. Drugą zaczął odczepiać łańcuch łączący wagon bagażowy z tendrem. Gorzej szło z rozłączeniem szepiaczy, które w pędzącym pociągu naciągnięte były niezwykle mocno. Z pomocą przyszedł mu przypadek: nagły wstrząs podrzucił parowozem, drążek szepiacza odskoczył i odłączony pociąg zaczął powoli zostawać w tyle, gdy tymczasem lokomotywa jeszcze chyżej pomknęła naprzód. Przez czas jakiś wagony toczyły się własnym rozpędem, Ale oto wewnątrz ktoś pociągnął za hamulec i pociąg stanął o niecałe sto kroków od fortu Kearney.

Już nadbiegali stamtąd żołnierze zaalarmowani strzałami. Siuksowie nie mieli widać ochoty czekać na nich i cała wataha zemknęła, zanim jeszcze pociąg się zatrzymał.

Kiedy pasażerowie zebrali się wreszcie na peronie i zaczęli wzajem się liczyć, okazało się, że niejeden już nie może się stawić na Apel, A między innymi i dzielny Francuz, którego poświęcenie ocaliło wszystkich podróżnych.

Rozdział trzydziesty

w którym pan Fileas Fogg spełnia po prostu swój obowiązek

Trzej pasażerowie, między nimi Obieżyświat, zaginęli. Czy polegli w walce z Siuksami? Czy dostali się do niewoli? Na razie nikt tego nie wiedział. Liczba rannych była dość znaczna, Ale, jak się wkrótce przekonano, żadnemu z nich nie groziła śmierć. Najmocniej ucierpiał pułkownik Proctor, który bił się odważnie i którego powalił strzał w pachwinę. Został przeniesiony na dworzec wraz z innymi, których stan wymagał natychmiastowej pomocy.

Pani Auda wyszła bez najmniejszego szwanku. Pan Fileas, choć przez cały czas był w ogniu, również nie doznał Ani zadraśnięcia. Fixa nieznacznie raniono w ramię. Brakowało tylko Obieżyświata i na samą myśl o tym łzy cisnęły się do oczu pani Audy.

Tymczasem wszyscy podróżni opuścili pociąg. Na kołach widać było ślady krwi. Na białej równinie, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się długie czerwone smugi. Na południu, od strony Republica River, majaczyły sylwetki uciekających Indian.

Pan Fogg stał milczący, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Musiał powziąć doniosłą decyzję. Obok pani Auda wpatrzona w niego bez słowa... Zrozumiał to spojrzenie. Jeżeli jego sługa dostał się do niewoli, czyż nie powinien wszystkiego rzucić na szalę, Aby tylko wyrwać go z rąk czerwonoskórych?

- Odnajdę go martwym lub żywym - odezwał się z prostotą do swej towarzyszki.

- Ach, panie Fileasie! - zakrzyknęła młoda pani ściskając jego ręce i oblewając je łzami.

- Jeżeli nie stracimy Ani chwili, odzyskamy go żywym - dodał pan Fogg.

Decydując się na ten krok, pan Fileas poświęcał wszystko, przesądzał swoją ruinę. Wystarczył jeden dzień zwłoki, Aby spóźnić się na parostatek w Nowym Jorku, A wówczas zakład jego był nieodwołalnie przegrany. Jednak wobec myśli: "Taki jest mój obowiązek", nie wahał się Ani chwili.

Kapitan, dowodzący twierdzą Kearney, był na miejscu. Obok stali w pogotowiu jego żołnierze, razem około stu ludzi, liczyli się bowiem z możliwością napadu Siuksów na dworzec.

- Panie kapitanie - powiedział Fogg - zginęło trzech pasażerów.

- Zabici?

- Zabici Albo w niewoli. Tę niepewność należy wyjaśnić. Czy zamierza pan, kapitanie, wydać rozkaz pogoni za Siuksami?

- Sprawa nie jest błaha, proszę pana - odparł kapitan. - Indianie mogą uciekać aż poza granice stanu Arkansas. Nie mam prawa opuszczać fortu, który powierzono mej pieczy.

- Panie - rzekł Fogg - tu chodzi o życie trzech ludzi.

- Bez wątpienia... Ale czy mogę narażać życie pięćdziesięciu dla ocalenia trzech?

- Nie wiem, czy pan może, kapitanie, Ale wiem, że pan powinien.

- Proszę pana - odpowiedział kapitan - nikt tu nie ma prawa mnie pouczać, na czym polega mój obowiązek.

- Dobrze - zdecydował Fogg. - Pójdę sam.

- Sam?! - zawołał Fix zbliżając się i dodał: - Chce pan w pojedynkę ścigać Indian?

- Chyba pan nie przypuszcza, że pozwolę zginąć nieszczęśnikowi, któremu wszyscy pozostali przy życiu zawdzięczają ocalenie. Idę!

- A więc dobrze, nie pójdzie pan sam! - wykrzyknął komendant fortu, pokonany. - Widzę, że z pana dzielny człowiek! - I zwróciwszy się ku żołnierzom, rzucił: - Hej, chłopcy! Trzydziestu na ochotnika!

Cała kompania ławą wystąpiła naprzód. Pozostawało tylko wybrać między tymi chwatami. Kapitan wyznaczył trzydziestu i postawił na ich czele starego sierżanta.

- Dziękuję panu, kapitanie - rzekł Fogg.

- Czy można panu towarzyszyć? - zapytał go Fix.

- Jak pan uważa - odparł Fileas Fogg. - Jeżeli jednak chce mi pan oddać przysługę, proszę zostać z panią Audą. W razie gdyby mi się przytrafiło coś złego...

Twarz inspektora okryła się nagłą bladością. Stracił z oczu człowieka, za którym wytrwale szedł dotąd krok w krok! Pozwolić mu zapuścić się w tę dziką okolicę! Patrzył uważnie w oblicze dżentelmena i mimo wszystkich uprzedzeń, mimo całej swej rozterki, musiał spuścić oczy przed jego jasnym i otwartym spojrzeniem.

- Zostanę - powiedział.

W kilka chwil potem pan Fogg uścisnął dłoń młodej wdowy, i powierzywszy jej swą drogocenną torbę podróżną, oddalił się wraz z sierżantem i grupką żołnierzy. Ale zanim ruszyli w drogę, skierował do ochotników następujące słowa:

- Przyjaciele! Czeka was tysiąc funtów do podziału, jeżeli odbierzemy jeńców.

Było wówczas kilka minut po dwunastej. Pani Auda schroniła się do poczekalni dworcowej i czekała tam dumając o panu Foggu, o jego wielkiej A prostej duszy i jego pełnym opanowania męstwie. Człowiek ten poświęcił najpierw mienie, A teraz rzucił na

kartę swe życie, i to bez wahania, bez frazesów, po prostu z poczucia obowiązku. Fileas Fogg wyrósł w jej oczach na bohatera.

Co do Fixa, to ten oddawał się zgoła innym myślom i nie mógł dać sobie rady ze swym wzburzeniem. Biegał gorączkowo po peronie. Wreszcie opanował się i rozejrzał w sytuacji. Po odejściu Foggga zrozumiał, jakim był bęcwałem, że pozwolił mu zemknąć! Niesłychane! Dobrowolnie stracić z oczu człowieka, za którym objechało się cały świat!

I znowu niecierpliwa natura Fixa wzięła górę: wściekał się na samego siebie, oskarżał i sypał pod swoim Adresem najgrubszymi wyzwiskami, jak gdyby był komendantem policji stołecznej, który przyłapał swojego Agenta na bezgranicznej naiwności.

“Cóż za osioł ze mnie! Tamten, naturalnie, wyjawiał mu, kim jestem; łobuz czmychnął i tyle go zobaczę. Gdzie go szukać? Dlaczego pozwoliłem się tak sromotnie wywieść w pole, ja, Fix, mając w kieszeni nakaz Aresztowania? Jestem kretyn, co do tego nie ma dwóch zdań!”

W ten sposób dyskutował ze sobą pan inspektor policji, A tymczasem godziny jak na złość wlokły się żółwim tempem. Nie wiedział, co począć. Chwilami ogarniała go chęć wyznania wszystkiego pani Audzie. Ale nie miał złudzeń, jak to wyznanie będzie przyjęte. Co postanowić? Może by się puścić w tropy zbiega na te białe, bezmierne równiny? Impreza nie była całkiem beznadziejna. Ślady oddziału wciąż jeszcze widniały na białej równinie. Ale zanim Fix się zdecydował, spadł śnieg i wszelki trop zagał.

Wówczas ogarnęło Agenta głębokie zniechęcenie. Ach, dać za wygraną i rzucić wszystko! Niewiele brakowało, A byłby uległ tej słabości, zwłaszcza, że nadarzyła się w owym momencie okazja wyjazdu ze stacji i dokończenia podróży. Oto około godziny drugiej po południu, podczas gdy padał gęsty śnieg, od wschodu usłyszano przeciągłe gwizdki. Wkrótce już można było rozróżnić wielką ciemną masę, przed którą jarzyło się rude światło. Ten dziwny, powiększony przez mgłę kształt zbliżał się powoli do stacji.

O tej porze nie spodziewano się z tej strony żadnego pociągu. Pomoc, której żądano telegraficznie, nie mogła nadejść tak szybko, A pociąg z Omaha do San Francisco miał przejeżdżać dopiero nazajutrz. Wkrótce sprawa się wyjaśniła. Maszyna, która oto zbliżała się wolno, wydając raz po raz przeciągłe gwizdy, była lokomotywą odczepioną od pociągu: przez wiele mil gnała naprzód z przerażającą szybkością, unosząc półżywych maszynistę i palacza. Po pewnym czasie nie podsycany ogień wygasł, para się wyczerpała i parowóz, tocząc się coraz wolniej, po godzinie stanął o dwadzieścia mil od stacji Kearney.

Maszynista i palacz, którzy przeleźli bez zmysłów parę godzin, przyszli wreszcie do siebie. Przekonali się, że parowóz stoi w szczerym polu, że wagonów nie ma. Maszynista domyślił się, co zaszło. Ale w jaki sposób parowóz odczepił się od pociągu, tego nie mógł odgadnąć. Za to było dlań sprawą jasną, że pociągowi, pozostawionemu w tyle, grozi niebezpieczeństwo. Maszynista wiedział, co należy uczynić. Posuwać się ku Omaha było rzeczą bezpieczną i rozsądną; wracać ku wagonom wydanym na łup hordzie Indian - równało się szaleństwu. Jednak maszynista nie zawahał się. Rzucił w palenisko kilkanaście szufli węgla i drzewa. Buchnął płomień i około drugiej parowóz podjeżdżał już pod stację Kearney. W ten sposób wyjaśniło się pochodzenie gwizdów słyszanych we mgle.

Radość zapanowała między podróżnymi, gdy ujrzeli, że do bezgłowego węża wagonów znów doczepiają parowóz. Mogli dokończyć tak nieszczęśliwie przerwanej podróży. Pani Auda, ujrzawszy lokomotywę, wybiegła z dworca i odszukała konduktora.

- Czy pociąg już odjeżdża? - spytała.

- Za chwilę, proszę pani.

- Ale jeńcy... nasi nieszczęśliwi towarzysze?

- Nie mogę czekać. Muszę pilnować rozkładu; już i tak mamy trzy godziny spóźnienia.

- Kiedy będzie następny pociąg do San Francisco?

- Jutro wieczorem, proszę pani.

- Jutro wieczorem! Ależ to będzie za późno! Pan musi poczekać.

- Nie mogę - odparł konduktor. - Jeżeli chce pani jechać, to proszę wsiadać.

- Ja nie pojedę - rzekła młoda kobieta.

Fix słyszał tę rozmowę. Rzecz dziwna: kilka minut temu, gdy nie było żadnych środków lokomocji, chciał za wszelką cenę opuścić Kearney.

Teraz, gdy stał przed nim pociąg gotów do odejścia, gdy wystarczyło zająć miejsce w przedziale - niewidzialna siła przykuła go do ziemi. Peron palił mu stopy, a przecież nie mógł ich oderwać! Znów rozgorzała w Agencie walka wewnętrzna. Dusił go gniew pomieszany ze wstydem, że dał się tak zażyć z mańki. Zaciął się, postanowił walczyć do końca.

Tymczasem wszyscy pasażerowie łącznie z tymi, którzy odnieśli rany - wśród nich znajdował się też nieprzytomny pułkownik Proctor - zajęli miejsca w wagonach. Zahuczał ogień w palenisku i para buchnęła przez zawory. Maszynista dał sygnał, pociąg ruszył i wkrótce znikł z oczu. Kłęby białej pary pomieszały się z wirującymi płatkami śniegu.

Inspektor Fix został.

Minęło kilka godzin. Pogoda była szkaradna, zimno przenikliwie. Fix siedział skurczony na ławce w poczekalni. Można było sądzić, że śpi. Pani Auda, nie zważając na zawieruchę, raz po raz opuszczała pokój, który oddano jej do dyspozycji. Szła aż na koniec peronu i wlepiała oczy w zadymkę, usiłując przebić wzrokiem mgłę, która przesłaniała cały horyzont, słuchała chciwie, czy nie dochodzi z dala jakiś dźwięk. Ale nic nie było słyhać. Skostniała wracała na stację, żeby po kilku minutach znów znaleźć się w tym samym miejscu - wciąż bezowocnie.

Zapadał wieczór. Oddziałek, który poszedł na odsiecz, nie wracał. Gdzie mógł się znajdować w tej chwili? Czy doścignął Indian? Doszło do walki czy też żołnierze, oślepieni zadymką, błądzili bez celu? Niepokój ogarnął dowódcę fortu, czego zresztą starał się nie okazywać.

Z nadejściem nocy śnieżycą nieco zrzędła, za to chłód dokuczał coraz bardziej. Najzuchwalszy człowiek nie mógłby się wpatrywać bez lęku w tę czarną, złowrogą głuszę. Dokoła panowała niezmacona cisza. Nie przeleciał ptak, nie odezwał się żaden stepowy drapieżca, pola objął niezmierny spokój.

Przez całą noc pani Auda błądziła myślą po prerii. Serce jej wypełniał smutek i straszne przecucia. Wyobrażenia unosiła ją daleko i ukazywała tysiące niebezpieczeństw. Trudno opisać, co wycierpiała tej nocy.

Fix cały czas tkwił nieruchomo na ławce i także nie zmrużył oka Ani na chwilę. Raz zbliżył się do niego jakiś człowiek i coś mówił, Ale detektyw odprawił go machnięciem ręki. W ten sposób doczekano się brzasku. Tarcza słoneczna wychyliła się do połowy zza widnokregu zasnutego mgłą. Można już było sięgnąć wzrokiem na odległość dwóch mil. Pan Fileas i żołnierze poszli na południe. Była już siódma, A dotychczas nikt się z tej strony nie ukazał. Zaniepokojenie kapitana dosięgło szczytu. Co miał począć? Czy wysłać drugi oddział na ratunek? Czy miał jednak prawo narażać jeszcze i tych ludzi mimo tak małych szans powodzenia? Lecz jego wahanie nie trwało długo. Skinął na jednego z poruczników. Właśnie dawał mu polecenie wyjścia z patrolem w kierunku południa, gdy rozległy się strzały. Byłże to jakiś sygnał? Żołnierze wybiegli z fortu i o pół mili przed sobą zobaczyli oddział wojska wracający w zupełnym porządku. Na czele kroczył pan Fogg, przy nim Obieżyświat i dwaj inni podróżni wydarci z rąk Siuksów.

O dziesięć mil na południe od Kearney doszło do bitwy. Na krótko przed przybyciem odsieczy Obieżyświat i dwaj jego towarzysze próbowali się wyrwać z łap swoich strażników i właśnie Francuz powalił trzech uderzeniem pięści, gdy zjawili się żołnierze z Fortu i pan Fogg.

Cała grupa, tak zbawcy, jak i wybawieni, została powitana okrzykami radości. Fileas Fogg rozdał żołnierzom obiecaną nagrodę, co dało Obieżyświatowi powód do następującej, słusznej zresztą uwagi:

- Nie ma co, trzeba przyznać, że sporo kosztuję mego pana!

Fix w milczeniu patrzył na Fileasa Foggę. Trudno byłoby zbadać różnorodne uczucia, które targęły nim w tej chwili. Pani Auda chwyciła w obie swoje dłonie rękę pana Foggę i ścisnęła ją z całej siły, nie mogąc wydobyć słowa.

Tymczasem Obieżyświat poszukał wzrokiem pociągu. Był pewien, że stoi on tutaj, gotowy do drogi, i miał nadzieję, że jeszcze uda się nadrobić stracony czas.

- Gdzież jest pociąg? - zawołał.

- Odszedł - odpowiedział Fix.

- A kiedy będzie następny? - zapytał Fogg.

- Dopiero wieczorem.

- A! - rzekł krótko niewzruszony dżentelmen.

Rozdział trzydziesty pierwszy

w którym inspektor Fix bierze sobie do serca sprawę pana Fogg

Fileas Fogg był więc spóźniony o dwadzieścia godzin. Obieżyświat, mimowolna tego spóźnienia przyczyna, nie krył swej rozpacz. Było oczywiste, że zrujnował swego chlebowodawcę.

W pewnej chwili Fix zbliżył się do pana Fogg.

- Czy panu naprawdę bardzo pilno? - spytał.

- Bardzo.

- Mówiąc dokładnie: czy rzeczywiście zależy panu na tym, aby się znaleźć w Nowym Jorku 11 grudnia przed dziewiątą wieczór, to znaczy przed odpłynięciem parowca do Liverpoolu?

- Zależy mi ogromnie.

- I gdyby nie przeprawa z Indianami, byłby pan jedenastego rano w Nowym Jorku?

- Tak, na dwanaście godzin przed odejściem statku.

- Dobrze, słowem, jest pan spóźniony o dwadzieścia godzin. Dwadzieścia minus dwanaście - to osiem godzin różnicy. Inaczej mówiąc, musi pan nadrobić osiem godzin. Czy chciałby pan spróbować?

- Pieszko? - spytał Fogg.

- Nie, w sankach. W sankach z żaglami. Pewien człowiek proponował mi ten środek lokomocji.

Fix miał na myśli osobnika, który zwracał się do niego w nocy i któremu odmówił. Fileas Fogg nie odpowiedział. Inspektor wskazał mu człowieka przechadzającego się przed dworcem i Fogg poszedł się z nim rozmówić. Chwilę potem pan Fileas w towarzystwie Amerykanina nazwiskiem Mudge wchodził do szopy stojącej poniżej fortu Kearney.

Tam obejrzał szczególny rodzaj pojazdu. Składał się on z rodzaju skrzyni i dwóch długich belek o końcach wygiętych ku górze jak płozy sań. Skrzynia przytwierdzona była do owych płóz i kilka osób mogło na niej swobodnie siedzieć. Z przodu skrzyni sterczał wysoki maszt ze zwiniętym olbrzymim grotem, dopełnionym na przodzie wielkich rozmiarów fokiem. Z obu stron maszt wzmacniały stalowe wanty. Z tyłu tkwił rodzaj wiosła sterowego, które pozwalało kierować całym Aparatem.

Były to, jak widzimy, sanie wyposażone w osprzęt jednomasztowca. W zimie, gdy pociągi stają z powodu zasp śnieżnych, zastępują je sanie żaglowe i śmigają od stacji do stacji z wielką szybkością. Czasami ożaglowanie ich jest bogatsze niż osprzęt jachtu

regatowego, któremu masa żagla groziłaby wywróceniem. Mając wiatr z tyłu, rozwijają szybkość równą, jeżeli nie większą od szybkości ekspresu.

W ciągu kilku minut pan Fogg dobił targu z właścicielem tej lądowej żaglówki. Wiatr sprzyjał: wielkimi podmuchami dął od wschodu. Śnieg stwardniał i Mudge przechwalał się, że przewiezie swego klienta do Omaha w ciągu kilku godzin. Stamtąd rozchodzi się wiele linii kolejowych i kursuje mnóstwo pociągów w kierunku Chicago i Nowego Jorku. W tych warunkach było całkiem możliwe, że się uda stracony czas nadrobić - nie było więc powodu, żeby nie spróbować szczęścia. Fileas Fogg nie chciał jednak wystawiać pani Audy na przykrości tej gonitwy z wiatrami, na chłód, który wskutek tempa niepomrotnie wzrośnie, i prosił ją, żeby pod opieką Obieżyświata została na stacji Kearney. Wierny służący miał ją potem odwieźć do Europy, wybierając wygodniejszy sposób komunikacji.

Młoda pani nie przyjęła propozycji, co Obieżyświata wprowadziło w zachwyt. Za nic w świecie nie chciał rozstawać się ze swoim panem, bojąc się dlań zdradliwego towarzystwa Fixa. Co o tym wszystkim myślał wówczas inspektor policji, byłoby zaiste trudno powiedzieć. Czy jego opinia o panu Foggu została zachwiana faktem powrotu dżentelmena na stację? Czy też trwał w swoim przekonaniu, w dalszym ciągu uważając Foggą za wyjątkowo zręcznego złoczyńcę, który, dokonawszy podróży dookoła świata, uważa, że najbezpieczniej mu będzie we własnym kraju? Być może, że opinia Fixa uległa pewnej zmianie. Mimo to był po dawnemu zdecydowany dopełnić obowiązku detektywa i, nakazawszy sobie spokój większy niż kiedykolwiek, wszystkimi środkami parł teraz do przyspieszenia powrotu do Anglii.

O ósmej wszystko było gotowe do odjazdu. Podróżni - niby pasażerowie jachtu - zajęli miejsca w saniach, nie zapominając opatulić się przedtem pledami. Rozwinięto oba żagle i sanie ruszyły naprzód, pod naciskiem wiatru rozwijając od razu szybkość czterdziestu mil na godzinę.

Odległość dzieląca Kearney od Omaha wynosi w linii powietrznej - według lotu pszczoły, jak mówią Amerykanie - najwyżej dwieście mil. Jeżeli wiatr się utrzyma, można będzie tę drogę przebyć w ciągu pięciu godzin. Jeżeli nic nieprzewidzianego nie zajdzie, o pierwszej po południu sanie dotrą do Omaha.

Cóż to była za jazda! Podróżni, przyciśnięci do siebie, nie mogli rozmawiać, tak silny był mróz spotęgowany szybkością ruchu; sanki sunęły po śniegu lekko niby statek po powierzchni wody. Gdy z tyłu nadlatywała wichura, zdawało się, że sanie ulecą w powietrze na swych żaglach podobnych do szeroko rozpiętych skrzydeł. Mudge, przy rumplu, starał się jechać po linii prostej, i jednym ruchem steru prostował niesforne odchylenia pojazdu.

Żagle niosły całą swą powierzchnią. Fok wydał się łukiem poza marsel. Podniesiono bukszpryt i wkrótce trójkątny topsel dorzucił swą moc nośną do pracy dotychczasowych żagli. Trudno było robić ściśle obliczenia, Ale wydawało się, że szybkość sanek wynosi nie mniej niż czterdzieści mil na godzinę.

- Jeżeli nic nie trzaśnie, zajedziemy w porę! - oświadczył Mudge.

Był on poważnie zainteresowany w tym, żeby dojechać na czas, bo pan Fogg, stosując swój zwykły system, podniecił jego energię obietnicą wysokiej nagrody. Preria, którą sanie przecinały w prostej linii, była gładka jak powierzchnia zatoki. Można by myśleć, że to olbrzymie, okryte lodem jezioro. Kolej przebiega tu z południo-zachodu na północo-zachód, mijając Grand Island, Columbus - jedno ze znaczniejszych miast stanu Nebraska, Schuyler, Fremont i dociera do Omaha. Przez cały czas trzyma się prawego brzegu Nebraski. Otóż sanie znakomicie skracają tę drogę, ślizgając się po cięciwie łuku zakreślonego przez linię kolejową. Nie zachodziła tu obawa natknięcia się na przeszkodę w postaci Platte River: niewielka jej odnoga, która leżała na linii sanek w pobliżu Fremont, była skuta lodem. Droga więc była prosta i łatwa, A Fileas Fogg mógł się obawiać tylko dwu rzeczy: uszkodzenia pojazdu Albo zmiany czy ucichnięcia wiatru.

Ale ten nie miał wcale zamiaru cichnąć. Odwrotnie, zadał jeszcze gwałtowniej. Naprężone wanty ledwo utrzymywały gnący się maszt. Dźwięczały na podobieństwo strun metalowych, po których przeciąga ktoś smyczkiem. Dziwne, zawodzące pienie unosiło się nad lecącymi z wiatrem sankami.

- W tych linkach słyhać kwintę i oktawę - zauważył Fogg.

Były to jedyne słowa, jakie wypowiedział w ciągu całej drogi. Owinięta w futro i w pledy pani Auda nie mogła się uskarżać na zimno. Obieżyświat był tak czerwony jak zachodzące słońce. Pełną piersią wdychał ostre powietrze. W głębi swej niepoprawnie ufnej natury znów uwierzył w powodzenie. "nie przyjedzie się - myślał - do Nowego Jorku rano, tylko wieczorem, Ale być może, statek liverpoolski będzie jeszcze w porcie". Z radości miał nawet ochotę uścisnąć rękę chwilowego sprzymierzeńca, Fixa. Pamiętał dobrze, że to właśnie on naraił im sanki żaglowe, ów jedyne srodek dostania się na czas do Omaha. Jednak wstrzymał się, bo coś mu mówiło, że lepiej wobec tego człowieka zachować rezerwę.

Za to nigdy nie zapomni poświęcenia, które okazał jego pan, idąc mu bez wahania na pomoc. Narażał wówczas życie i majątek. Nie, takich rzeczy się nie zapomina!

Każdy był pochłonięty własnymi myślami, A tymczasem sanki mknęły po olbrzymim, śnieżnym dywanie. Podróźni nawet nie spostrzegli, gdy prześliznęły się po

jakimś potoku, jednym z rozgałęzionych dopływów Little Blue River. Rzeki, tak jak preria, zniknęły pod jednolitą, białą pokrywą. Wielka przestrzeń była całkowicie pusta. Między główną linią Drogi Żelaznej Pacyfiku a jej odnogą, łączącą Kearney z Saint Joseph, rozciągała się jakby bezludna i ogromna wyspa. Ani jednej wioski, Ani jednej stacji, Ani jednej wojskowej placówki. Czasem mignął biały, bezlistny szkielet drzewa, gnący się pod naporem bezlitosnej wichury. Niekiedy zrywały się roje dzikiego ptactwa lub stada chudych i wynędzniałych wilków stepowych, gnanych okrutnym głodem, i próbowały dopędzić lecące sanie. Wówczas Obieżyświat chwycił rewolwer, gotów powalić bestię, która by się zanadto zbliżyła. Gdyby jakiś złośliwy przypadek zatrzymał sanie, podróżni mieliby niebezpieczną przeprawę z krwiożerczą bandą. Jednakże sanki mknęły z niezawodną szybkością i wkrótce wyjące stado zostało w tyle.

W południe Mudge zorientował się po pewnych wiadomych sobie znakach, że przejeżdża skute lodem nurty Nebraski. Nic nie powiedział, Ale był już pewien, że zrobiwszy jeszcze dwadzieścia mil, znajdą się w Omaha. I rzeczywiście, nie było jeszcze pierwszej, gdy sprytny przewoźnik porzucił rudel, posunął się ku fokowi i zręcznie pozwiął wszystkie żagle. Sanie, niesione rozpędem jeszcze przez pół mili, sunęły bez ich pomocy. Gdy stanęły, Mudge wskazał ręką grupę dachów ubielonych śniegiem i rzekł:

- Jesteśmy na miejscu.

Nareszcie! Nareszcie tu, na tej stacji, skąd liczne pociągi rozchodzą się do wszystkich stanów Ameryki!

Obieżyświat i Fix zeskoczyli na ziemię i zaczęli rozprostowywać zdętwiałe członki. Pomogli wysiąść z sań pani Audzie i panu Fileasowi. Ten opłacił sownie Mudge'a, a Obieżyświat potrząsnął serdecznie jego prawicą. Po czym podróżni ruszyli szybko ku dworcowi Omaha.

W tym dużym mieście stanu Nebraska kończy się właściwie linia tak zwanej Drogi Żelaznej Pacyfiku, która łączy dorzecze Missisipi z Oceanem Spokojnym. Komunikację między Omaha a Chicago organizuje inne towarzystwo kolejowe. Obsługuje ono linię, która biegnie prosto na wschód, zabierając pasażerów z pięćdziesięciu stacji.

Właśnie bezpośredni pociąg stał gotowy do drogi. Nasi podróżni ledwie zdążyli zająć miejsca. Naturalnie na miasto nie zdołano rzucić nawet okiem, Ale Obieżyświat przyznał, że chodzi teraz o rzeczy ważniejsze niż turystyka. Pociąg przebiegł jak wicher stan Iowa, miasta Council, Bluffs, Des Moines i Iowa. W nocy w Davenport przejechał przez Missisipi i przez Rock Island wjechał do Illinois. Nazajutrz, 10 grudnia o czwartej po południu, był w

Chicago. Miasto podniosło się już ze zgliszczy i dumniej niż kiedykolwiek rozsiadło się nad brzegami pięknego jeziora Michigan.

Z Chicago do Nowego Jorku jest dziewięćset mil. Połączeń było dużo. Opuściwszy swój pociąg, pan Fogg natychmiast wsiadł do innego. Rączy parowóz ruszył od razu z wielką szybkością, jakby rozumiejąc, że czcigodny dżentelmen nie ma chwili do stracenia. Jak błyskawica przeleciał przez Indianę, Ohio, Pensylwanię, New Jersey, mijając po drodze miasta o nazwach wziętych z historii starożytnej, gdzie niekiedy widziało się już tramwaje i ulice, choć jeszcze nie było Ani śladu domów. Wreszcie ukazała się rzeka Hudson i 11 grudnia kwadrans po jedenastej pociąg stanął na dworcu położonym na prawym brzegu przystani Towarzystwa Cunard.

Ale parostatku "Chiny", płynącego do Liverpoolu, już nie było. Opuścił port czterdzieści pięć minut temu!

Rozdział trzydziesty drugi

w którym pan Fogg podnosi rękawicę rzuconą mu przez los

Parostatek "Chiny" zabrał na swym pokładzie, jak się zdawało, ostatnią nadzieję pana Fileasa Fogg.

Żaden inny statek kursujący między Ameryką i Europą - Ani transatlantyckie parowce francuskie, Ani statki White Star Line, czy Towarzystwa Imman, Ani te, których portem macierzystym był Hamburg - nie mógł służyć panu Foggowi w jego zamiarach. "pereire" z Francuskiego Towarzystwa Transatlantyckiego, którego statki dorównują szybkością statkom wszystkich innych towarzystw, A na pewno prześcigają je pod względem komfortu, odpływał dopiero za dwa dni, 14 grudnia. Zresztą, podobnie jak parowce towarzystwa hamburskiego, kierował się nie do Liverpoolu czy Lodynu, Ale do Hawru, A dodatkowa przeprawa z Hawru do Southampton wymagała czasu i obracała wniwecz wszystkie wysiłki Fileasa Fogg. Co do parowców Immana, z których jeden, mianowicie "City of Paris", podnosił kotwicę nazajutrz, to nie warto było o nich poważnie myśleć. Są one przeznaczone głównie do przewozu emigrantów, maszyny mają słabe, zależne są w równej mierze od żagli, jak od pary, i rozwijają niewielką szybkość. Na przebycie drogi z Nowego Jorku do Anglii zużywają więcej czasu, niż pozostało go panu Foggowi do terminu oznaczonego w zakładzie.

Dżentelmen dowiedział się tego wszystkiego z rozkładu, który podawał dzień po dniu wykaz wszystkich połączeń transoceanicznych.

Obieżyświat był półżywy z rozpaczy. Spóźnić się na parowiec o głupie czterdzieści pięć minut! Ta myśl go zabijała. Bo była to jego wina, tylko jego! Zamiast być pomocą swemu panu, nie przestawał piętrzyć przeszkód na jego drodze. Kiedy roztrząsał wszystkie dole i niedole tej podróży, obliczał sumy wyrzucone jak w błoto tylko z jego, Obieżyświata, powodu i myślał, że ten olbrzymi zakład wraz z wielkimi kosztami daremnej podróży zrujnują pana Fogg do ostatka - wówczas sam na swą głowę miotał przekleństwa.

Tymczasem pan Fogg nie zrobił swemu słudze najmniejszego wyrzutu, A schodząc z mola dla parowców transoceanicznych, powiedział krótko:

- Jutro coś wymyślimy. Chodźmy.

Przez Hudson przeprawili się promem i najawszy powóz udali się do Hotelu Św. Mikołaja w dzielnicy Broadway. Wyznaczono im pokoje, gdzie przebyli noc, krótką dla pana Fileasa, pogrążonego w niezmaconym śnie, Ale za to uciążliwą dla reszty towarzystwa, gdyż nikt nie mógł zmrużyć oka.

Nadszedł ranek 12 grudnia. Od godziny siódmej rano tego dnia do godziny ósmej czterdzieści pięć 21 grudnia - pozostało dziewięć dni, trzynaście godzin i czterdzieści pięć minut. Gdyby pan Fileas zdążył na "Chiny" - jeden z najszybszych statków transoceanicznych - byłby dotarł do Liverpoolu, a potem do Londynu na czas.

Rano pan Fileas Fogg wyszedł samotnie z hotelu, poleciwszy swemu lokajowi, aby nań czekał i aby uprzedził panią Audę, że powinna być w każdej chwili gotowa. Potem udał się na brzeg Hudsonu i przypatrywał się bacznie przycumowanym tu albo zakotwiczonym na rzece statkom, badając, czy żaden z nich nie przygotowuje się do drogi. Istotnie, wiele statków wciągnęło już flagi wyjścia z portu, co oznaczało, że podniesienie kotwicy nastąpi z pierwszym przypływem.

W porcie tak rozbudowanym, jak Nowy Jork, nie mija dzień, aby nie wyszła zeń setka statków płynących w cztery strony świata. Jednakże w większości były to żaglowce i te nie mogły zadowolić pana Fileasa.

I już wyglądało na to, że ów dżentelmen poniesie porażkę w tej ostatniej próbie, gdy wtem oczy jego padły na wysmukłą sylwetkę handlowego parowca zakotwiczonygo nieopodal. Po kłębach dymu, dobywających się z komina, można było poznać, że statek przygotowuje się do drogi. Fileas Fogg przywołał łódkę, wszedł do niej i już po kilku minutach wchodził na trap parowca "Henrietta". Statek miał żelazny kadłub, ale cała nadbudowa była z drzewa.

Kapitan był na pokładzie i gdy pan Fogg zapytał o niego, zjawił się natychmiast. Był to człowiek pięćdziesięcioletni, typ wilka morskiego, mruk i zrzęda, jak widać, pierwszej wody, z którym trudno się dogadać. Duże oczy, skóra opalona na kolor oksydowanej miedzi, rude włosy, przysadzista postać, słowem - nic ze światowego eleganta.

- Czy mówię z kapitanem? - spytał Fileas Fogg.
- Tak. To ja.
- Jestem Fileas Fogg z Londynu.
- A ja Andrew Speedy z Cardiffu.
- Kiedy pan odpływa?
- Za godzinę.
- W kierunku?
- Do Bordeaux.
- A pański ładunek?
- Kamienie żółciowe. Nie ma ładunku. Tylko balast.
- Pasażerowie?

- Nie biorę nigdy. Do diabła z pasażerami! Kiepski towar i za dużo gada.
- Statek dobrze płynie?
- Jedenaście do dwunastu węzłów. Wiadomo, "Henrietta".
- Czy podejmuje się pan przewieźć do Liverpoolu mnie i jeszcze trzy osoby?
- Liverpool? A czemu nie Chiny?
- Do Liverpoolu, jak powiedziałem.
- Nie!
- Nie?
- Nie. Mam kurs do Bordeaux i popłynę do Bordeaux, A nie do Liverpoolu.
- Bez względu na cenę?
- Bez względu - powiedział kapitan tonem wykluczającym dalszą dyskusję.
- Może jednak właściciele "Henrietty" ... - podjął pan Fileas Fogg.
- Właściciel to ja. Statek jest mój.
- Wynajmę go.
- Nie.
- Kupię.
- Nie.

Pan Fogg Ani mrugnął. A przecież sytuacja przedstawiała się bardzo poważnie.

To już nie był Hongkong, A właściciel "Henrietty" w niczym nie przypominał szypra "Tankadery". Jak dotąd pieniądze dżentelmena zawsze pokonywały wszelkie przeszkody. Teraz i pieniądze zawiodły.

A jednak trzeba było znaleźć statek do przeprawy przez Atlantyk lub przelecieć go balonem, Ale to byłoby rzeczą nazbyt szaleńczą i zresztą niemożliwą do urzeczywistnienia.

Ale pan Fogg wpadł widocznie na jakiś pomysł, bo rzekł do kapitana:

- Więc dobrze, godzi się pan przewieźć nas czworo do Bordeaux?
- Nie, nawet gdyby mi pan dał dwieście dolarów.
- Daję panu dwa tysiące dolarów.
- Na głowę?
- Na głowę.
- I jest was czworo?
- Czworo.

Kapitan Speedy zaczął trzeć czoło, jakby je chciał obedrzeć ze skóry. Osiem tysięcy dolarów zarobku bez żadnej zmiany w kursie to było w każdym razie coś, co mu kazało

odłożyć na bok swoją Antypatię do pasażerów. Zresztą pasażer za dwa tysiące dolarów przestaje być pasażerem - to już cenny towar.

- Odpływam o dziewiątej - powiedział krótko kapitan Speedy. - Więc jeżeli pan i ci drudzy będą na czas...

- O dziewiątej będziemy na pokładzie - odparł równie krótko pan Fogg.

Było już pół do dziewiątej. Fileas Fogg z flegmą, która nie opuszczała go w żadnej okoliczności, zszedł na ląd, wziął dorożkę, udał się do hotelu i zabrał stamtąd panią Aude, Obieżyświata i nieodłącznego Fixa, któremu zaproponował uprzejmie bezpłatną podróż do Anglii.

W chwili gdy "Henrietta" przygotowywała się do drogi, wszyscy czworo byli już na pokładzie. Obieżyświat, dowiedziawszy się, ile kosztuje ta ostatnia morska podróż, wydał z siebie jedno z owych niezmiernie przeciągłych "och", w którym mieściła się chyba cała gama chromatyczna w porządku zstępującym. Co do inspektora Fixa, ten powiedział sobie w duchu, że teraz Bank Angielski nie uniknie już poważnych strat. Istotnie, nawet zakładając, że pan Fogg nie będzie garściami rzucał pieniędzy do morza, po tej podróży sporo ubędzie z jego zasobów!

Rozdział trzydziesty trzeci

w którym pan Fogg staje dzielnie na wysokości zadania

W godzinę potem parowiec "Henrietta" minął latarnię, która stoi u ujścia Hudsonu, okrążył cypel Sandy Hook i wyszedł na pełne morze. W ciągu dnia przesunął się wzdłuż brzegów Long Island, przeciął wody Fire Island i pomknął na wschód.

Nazajutrz, 13 grudnia w południe, na mostek kapitański wszedł jakiś człowiek, by oznaczyć położenie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa musiał to być kapitan Speedy. A jednak grubo pomyliłby się ten, kto by tak sądził. To był czcigodny Fileas Fogg, sam we własnej osobie. Co do kapitana Speedy, to siedział on uwięziony we własnej kabinie i ryczał jak ranny lew.

Stała się rzecz bardzo prosta. Fileas Fogg chciał jechać do Liverpoolu, kapitan statku nie chciał go tam zawieźć. Wówczas pan Fileas zgodził się jechać do Bordeaux i wszedł na statek. Ale od chwili gdy wstąpił na jego pokład, tak przekonywająco manipulował funtowymi banknotami, że po trzydziestu godzinach podróży wszyscy ludzie załogi, majtkowie i palacze - zresztą indywidua spod ciemnej gwiazdy, szczerze nienawidzący swego szefa - byli duszą i ciałem zaprzędani panu Foggowi. To nam wyjaśnia, dlaczego Fileas Fogg dowodził statkiem zamiast kapitana Speedy, dlaczego ten był zamknięty w kabinie i dlaczego "Henrietta" płynęła w stronę Liverpoolu. W każdym razie widać było po sposobie, w jaki Fileas Fogg brał się do manewrowania statkiem, że człowiek ten musiał być kiedyś marynarzem.

Na razie nie można było jeszcze przewidzieć, jak się skończy cała ta Awantura. Pani Adua nie przestawała się niepokoić, milczała jednak. Fix przypatrywał się wszystkiemu z uczuciem oszołomienia. Za to Obieżyświat był, krótko mówiąc, oczarowany.

"Jedenaście do dwunastu węzłów" - mówił kapitan Speedy i rzeczywiście "Henrietta" utrzymywała przeciętnie tę szybkość. Jeżeli więc - ileż jeszcze owych "jeżeli" zasłania przyszłość! - morze nie wzburzy się zanadto, wiatr nie zmieni kierunku, maszyny nie ulegną zepsuciu, "Henrietta" w ciągu dziewięciu dni, od 13 do 21 grudnia, powinna dać sobie radę z trzema tysiącami mil, które dzielą Nowy Jork od Liverpoolu. Inna sprawa, że gdy dżentelmen nasz wreszcie przybędzie do celu, Afera z Bankiem, okraszona Aferą ze statkiem "Henrietta", może go zawieść dalej, niżby chciał.

W ciągu pierwszych dni podróży odbywała się jak najpomyślniej. Morze było względnie łagodne, utrzymywał się wiatr z północnego wschodu. Postawiono żagle i "Henrietta" wkrótce dowiodła, że może śmiało mierzyć się z przestrzeniami Atlantyku.

Obieżyświat był w siódmym niebie. Ostatni wyczyn pana Fogga wydał mu się czymś przepysznym i Ani myślał troszczyć się o jego następstwa. Był wesoły jak szczygieł, żwawy jak fryga, świadczył wiele przyjacielskich usług majtkom i imponował im cyrkowymi sztuczkami. Dodajmy, że nie żałował obfitych poczęstunków i schlebiał każdemu, ile weszło. Zaklinał się, że nigdy przy sterze i linach nie stali tak skończeni dżentelmeni, A palaczom wmawiał, że pracują jak starożytni bohaterowie. W końcu wszystkich zaraził swym wspaniałym humorem. Przeszłość, jej troski i niebezpieczeństwa ulotniły się z jego pamięci. Myślał już tylko o rychłym przybyciu do celu i czasem tak kipiał z niecierpliwości, jakby go wrzucono w jedno z palenisk "Henrietty". Niekiedy kręcił się koło Fixa i choć nie zwracał się do niego Ani słowem, posyłał mu spojrzenia Aż nadto wymowne.

Zresztą Fix, trzeba to otwarcie powiedzieć, stracił zupełnie głowę. Opanowanie "Henrietty", przekupienie załogi, widok Fogga, który poczynił sobie jak stary wilk morski - wszystko to było zbyt oszalamiające. Nie wiedział, co o tym myśleć. Ale ostatecznie dżentelmenowi, który zaczął karierę od kradzieży pięćdziesięciu pięciu tysięcy funtów szterlingów, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby ukraść następnie cały statek. Wychodząc z tego założenia, Fix doszedł do wniosku, że "Henrietta", kierowana przez pana Fogga, płynie nie do Liverpoolu, Ale gdzieś na krańce świata, gdzie przekształcony w pirata złoczyńca znajdzie pełne bezpieczeństwo. Tego rodzaju przekonanie bardzo dogadzało podejrzliwemu umysłowi inspektora; zaczął tedy mocno żałować, że wpłatał się w tę całą sprawę. Co do uwięzionego kapitana Speedy, ten nie przestawał ryczeć w swojej kabinie i Obieżyświat, któremu poruczono czuwać nad jego wyżywieniem, musiał przy tym zachować daleko idące środki ostrożności. Za to dzielny pan Fogg, zdawał się w ogóle nie pamiętać, że na pokładzie "Henrietty" był kiedykolwiek inny, niż on, kapitan.

13 grudnia statek mijał ławicę piasku Nowej Fundlandii. Wody tutejsze mają złą sławę, zwłaszcza w zimie, z powodu częstych mgieł i niebezpiecznych, porywistych wiatrów. Już poprzedniego dnia barometr gwałtownie opadł przestrzegając przed bliską zmianą pogody. Istotnie, w nocy oziębiło się i wiatr powiał z południowego wschodu. Zapowiadała się burza. Aby nie zejść z kursu, pan Fogg musiał zwinąć żagle, A dodać pary. Nie uratowało to sytuacji, bo morze wzburzyło się, natarło długą falą na burty i statek musiał zmniejszyć szybkość. Bywały chwile, że kołysało nim jak huśtawką, co naturalnie hamowało ruch. Bryza zmieniała się wyraźnie w huragan i nad statkiem zawisło niebezpieczeństwo, że wkrótce nie będzie mógł stawić czoła falom. Może przyjdzie zrezygnować z kierunku i uciekać, A wtedy nikt nie wie, co zgotują losy. Twarz Obieżyświata zachmurzyła się jednocześnie z niebem i w ciągu dwóch dni poczciwy sługa

cierpiał katusze. Okazało się na szczęście, że pan Fileas to tęgi żeglarz, który nie tylko że nie zбочył z kursu, Ale nawet uciekł się do sztormowania pod zmniejszonym ciśnieniem pary. Zdarzało się, że "Henrietta" nie miała siły wspiąć się na grzbiet bałwanów, wówczas pruła je dziobem, pokład jej zniknął na chwilę pod masą wody, Ale ona wciąż parła naprzód. Innym razem góra morska wyniosła rufę ponad fale, śruba biła rozpaczliwie powietrze - statek wszakże nie poddawał się.

W każdym razie wiatr nie wzmógł się tak, jak można się było obawiać. Nie był to jeden z tych huraganów, które przelatują z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Podmuchy jego nie były nazbyt groźne, Ale na nieszczęście szły uparcie od południowego wschodu i nie pozwalały na rozpięcie żagli. Jak się wkrótce okaże, było rzeczą użyteczną przyjść maszynom z pomocą.

16 grudnia mijał siedemdziesiąty piąty dzień od czasu wyjazdu z Londynu. W gruncie rzeczy opóźnienie "Henrietty" jak dotychczas nie było zbyt niepokojące. Zrobiono już prawie połowę drogi i najcięższe jej odcinki zostawiono za sobą. Latem można by w tych warunkach ręczyć za powodzenie. Ale co innego w zimie, gdy wszystko zależało od kaprysów pogody. Obieżyświatowi zamknęły się gadatliwe usta. W głębi serca żywił ciągle nadzieję, że nawet przy nieprzyjnym wietrze można się ratować siłą pary. Ale oto tego dnia ujrzał, że pierwszy mechanik wstępuje na mostek kapitański i, żywo gestykulując, rozmawia z panem Foggiem. Sam nie wiedząc czemu, Obieżyświat poczuł nieokreślony niepokój. Byłby chętnie oddał jedno swoje ucho, byle drugim móc uchwycić sens tej rozmowy. Wreszcie udało mu się posłyszeć kilka zdań.

- Jesteście pewni tego, co mówicie? - pytał pan Fogg.

- Najpewniejszy, proszę pana - odpowiedział mechanik. - Proszę zważyć, że od wyjścia z portu palimy, ile wlezie, we wszystkich piecach. Starczyłoby nam węgla na podróż przy małej parze z Nowego Jorku do Bordeaux, Ale na pewno nie starczy, żeby dopłynąć pełną parą do Liverpoolu.

- Pomyślę o tym - rzekł pan Fogg.

Obieżyświat pojął, o co chodzi, i struchlał; węgiel był na wyczerpaniu.

- No - szepnął w rozpacz - tutaj i diabeł nie poradzi. A jeżeli mój pan tego dokáže, to może się nazwać cudotwórcą.

Spotkał na swej drodze Fixa, i zapomniawszy o wszystkim, zwierzył mu się z wielkiego zmartwienia. Ale Agent w odpowiedzi wycedził przez zęby:

- Tak, więc pan się łudzi, że my płyniemy do Liverpoolu?

- A gdzież by, do licha?

- Dureń - rzucił krótko inspektor i odszedł wzruszając ramionami.

Obieżyświat miał już ostro odparować to niegrzeczne określenie, którego powodu zupełnie nie rozumiał, gdy nagle uświadomił sobie, że pechowy pan Fix, zjechawszy oto cały świat po fałszywym tropie, musi być mocno zawiedziony i dotknięty w swej miłości własnej; dał więc pokój zemście.

Co przedsięwzięmie teraz pan Fogg? Trudno to było odgadnąć. Ale wszystko wskazywało, że flegmatyczny dżentelmen ma już plan gotowy. Wieczorem kazał zawołać do siebie pierwszego mechanika i rozkazał:

- Palić bez ustanku we wszystkich piecach, aż do ostatecznego wyczerpania węgla.

W parę minut potem kominy "Henrietty" zaczęły wyrzucać gęste kłęby dymu. Statek szedł więc w dalszym ciągu pełną parą. Ale po dwóch dniach, 18 grudnia, mechanik zapowiedział, że tak, jak to przewidział, w ciągu dnia zabraknie węgla.

- Nie zmniejszać ognia - odpowiedział pan Fogg. - Przeciwnie. Zamknąć wszystkie zawory.

Około południa Fileas Fogg oznaczył długość i szerokość geograficzną, po czym wezwał Obieżyświata i kazał mu sprowadzić kapitana Speedy. Służący przyjął ten rozkaz z taką miną, jakby mu kazali spuścić z łańcucha tygrysa. Idąc na rufę, gdzie mieściła się kabina kapitańska, mówił sobie: - Chyba będzie gryzł z wściekłości.

Parę minut potem wśród przekleństw i ryku na pokład wtoczyła się bomba w osobie kapitana Speedy. Było oczywiste, że lada chwila bomba wybuchnie.

- Gdzie jesteśmy? - wyrzucił z siebie, dusząc się z wściekłości. Gdyby człowiek ów był Apoplektykiem, wzbierający gniew z pewnością by go zabił. - Gdzie jesteśmy? - powtórzył z posiniąłą twarzą.

- O siedemset siedemdziesiąt mil od Liverpoolu - odrzekł pan Fogg z niezachwianym spokojem.

- Piracie! - wrzasnął Andrew Speedy.

- Kazałem pana prosić do siebie...

- Rozbójniku!

- Kazałem pana prosić - podjął Fogg - Aby zaproponować panu kupno jego statku.

- Nie, do stu par starych diabłów! Nie!

- Żałuję, gdyż będę musiał spalić statek.

- Spalić mój statek?

- Tak, w każdym razie będę musiał spalić całą górę, bo zabrakło paliwa.

- Spalić mój statek - charkotał kapitan Speedy ledwie wymawiając zgłoski. - Statek, który wart jest pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

- Oto sześćdziesiąt tysięcy - odpowiedział Fileas Fogg podając kapitanowi paczkę banknotów.

Uczyniło to na Speedym piorunujące wrażenie. Nie byłby Amerykaninem, gdyby na widok takiej masy dolarów nie ogarnęło go wzruszenie. Natychmiast zapomniał o gniewie, o więzieniu, o całej śmiertelnej urazie do swego pasażera. Jego statek miał już dwadzieścia lat... Sprzedać go za taką cenę to złoty interes. Bomba już nie miała siły wybuchnąć. Pan Fogg wyrwał z niej lont.

- A żelazny kadłub zostanie dla mnie? - spytał dziwnie łagodnie.

- Kadłub i maszyny. Czy sprawa załatwiona?

- Załatwiona.

Andrew Speedy chwycił banknoty, przeliczył i wsunął do kieszeni. Podczas tej sceny Obieżyświat pobladł jak kreda, wręcz odwrotnie niż Fix, którego krew omal nie zalała. Znowu prawie dwadzieścia tysięcy funtów straconych i na domiar ten Fogg zostawia kapitanowi darmo kadłub i maszyny, czyli to, co stanowi istotną wartość statku. Po prawdzie suma ukradziona Bankowi Angielskiemu wynosiła Aż pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów.

Gdy Andrew Speedy schował pieniądze, Fogg odezwał się w te słowa:

- Niech to wszystko pana nie dziwi. Proszę przyjąć do wiadomości, że stracę dwadzieścia tysięcy funtów, jeżeli nie wrócę do Londynu 21 grudnia przed ósmą czterdzieści pięć wieczorem. Otóż ponieważ spóźniłem się na parowiec pasażerski w Nowym Jorku i ponieważ nie chciał mnie pan przewieźć do Liverpoolu...

- I miałem słuszną, do wszystkich rogatych mieszkańców piekła! - wykrzyknął Andrew Speedy. - Miałem słuszną, bo zarabiam na tym co najmniej czterdzieści tysięcy dolarów.!

Po czym dodał poważnie:

- Wie pan, co panu powiem, kapitanie...

- Fogg...

- Kapitanie Fogg, w panu siedzi Jankes, ot co.

I wypowiedziawszy ten wielki, jak mu się wydawało, komplement pod Adresem swego pasażera, zabrał się do odejścia.

Wówczas rzekł pan Fogg:

- Więc statek do mnie należy?

- Ma się rozumieć, od kilu do szczytu masztów należy do pana wszystko, co jest drewniane.

- Dobrze. Niech pan każe rozebrać urządzenia wewnętrzne i palić tym w piecach.

Można sobie wyobrazić, ile musiało pójść tego suchego drzewa, Aby utrzymać wystarczające ciśnienie. Tego dnia rufówka, nadbudówka pokładowa, kabiny, messa, pokład nadwnętrza - wszystko zostało obrócone w parę. Nazajutrz, 19 grudnia, poszło omasztowanie i jego części zapasowe. Zwalono je na pokład i porąbano siekierami. Załoga wykazała przy tej robocie niespodziewany zapał. Obieżyświat rznął, rąbał, ścinał, pracując za dziesięciu. Ludzi ogarnął szal niszczenia.

20 grudnia oddano na pastwę płomieni skrzynię od hamaków, nadburcie i większą część pokładu. "Henrietta", wygolona do czysta, wyglądała jak ponton. Ale za to jeszcze tego dnia ujrano brzegi Irlandii i światło latarni morskiej w Fastenet. Jednakże o godzinie dziesiątej wieczorem statek był dopiero na wysokości Queenstown. Panu Foggowi pozostały tylko dwadzieścia cztery godziny do dotarcia do Londynu, czyli tyle, ile potrzebowała "Henrietta", Aby przy użyciu całej mocy pary dopłynąć do Liverpoolu. Tymczasem lada moment pary miało zabraknąć!

- Żałuję, że tak źle się panu układa - powiedział kapitan Speedy, który zaczął się mimo woli interesować sprawą swego pasażera. - Wszystko jest przeciw panu. Jesteśmy dopiero koło Queenstown.

- Ach! - rzekł pan Fogg. - Więc te światła to Queenstown?

- Tak.

- Czy można teraz wejść do portu?

- Nie wcześniej niż za trzy godziny po przyplywie.

- Zaczekajmy - zdecydował spokojnie Fileas Fogg nie zdradzając najmniejszym drgnieniem twarzy, że w tej chwili wola jego czyniła jeszcze jeden nadludzki wysiłek, Aby pokonać zły los.

Queenstown jest portem na brzegu irlandzkim, gdzie statki płynące ze Stanów Zjednoczonych zostawiają worki z pocztą. Poczta owa przewożona jest natychmiast do Dublina specjalnymi pociągami, gotowymi w każdej chwili do odjazdu. Z Dublina listy płyną do Liverpoolu na szybkich parowcach, wyprzedzając w ten sposób o całe dwanaście godzin najprędsze statki transatlantyckie. Otóż te dwanaście godzin, które zyskiwały listy wysłane z Ameryki, pan Fogg postanowił wygrać dla siebie. Zamiast płynąć do Liverpoolu na pokładzie "Henrietty" i znaleźć się tam dopiero nazajutrz wieczorem, będzie na miejscu już w południe i zdąży jeszcze do Londynu przed ósmą czterdzieści pięć.

O pierwszej po północy "Henrietta", korzystając z przyływu, weszła do portu Queenstown. Fileas Fogg, odpowiedziawszy na mocny uścisk dłoni kapitanowi Speedy, zostawił go na ogołoconym kadłubie statku, który jeszcze teraz wart był połowę ceny, jaką za niego zapłacono. Wsiadła także reszta pasażerów. Fix poczuł nagle dziką ochotę zatrzymania od razu pana Fogga. Nie uczynił jednak tego. Z jakiej przyczyny? Co się działo w duszy Agenta? Czy stanął wreszcie po stronie niezwykłego dżentelmena? Zrozumiał może, że uległ pomyłce? W każdym razie Fix nie opuścił dotychczasowego towarzystwa. Wraz z panem Foggiem, panią Audą i Obieżyświatem udał się bez najmniejszej zwłoki na dworzec i opuścił Queenstown o wpół do drugiej w nocy. O świcie przyjechali do Dublina i natychmiast weszli na jeden z tych ciężkich, stalowych, podobnych do cygara parostatków, które nawet nie raczą się wspinać na grzbiety fal, przecinając je po prostu swoim mocnym dziobem.

21 grudnia, dwadzieścia minut przed dwunastą w południe, pan Fileas Fogg znalazł się wreszcie na molu liverpoolskim. Tylko sześć godzin dzieliło go od Londynu.

Ale oto w tej wielkiej chwili zbliża się Fix, kładzie mu rękę na ramieniu i, pokazując jakiś papier, mówi:

- Pan jest Fileasem Foggiem?
- Tak.
- W imieniu królowej Aresztuję pana.

Rozdział trzydziesty czwarty

w którym Obieżyświat ma okazję zachwycić się "koronkową robotą"

Fileas Fogg był w Areszcie. Zamknięto go w liverpoolskim urzędzie celnym. Miał tam spędzić noc czekając na przewiezienie go do Londynu.

W momencie Aresztowania Obieżyświat chciał się rzucić na detektywa, Ale policjanci w porę go zatrzymali. Pani Auda, porażona jak gromem brutalnością tego zajścia, nieświadoma sytuacji, niczego nie mogła pojąć. Obieżyświat musiał tłumaczyć, o co chodzi. Pan Fogg, ten wspaniałomyślny i śmiały człowiek, został zatrzymany jako złodziej. Młoda kobieta protestowała przeciw takiemu bezprawiu, protestowała z całego serca. A kiedy przekonała się, że nic tu nie pomoże, że nie zdoła uratować swego zbawcy, rzesiste ły puściły się z jej oczu.

Co do Fixa, zdecydował się Aresztować dżentelmena, bo obowiązkiem jego, jako detektywa, było zatrzymać tego człowieka bez względu na to, czy był winien, czy nie. Rozstrzygnięcie wątpliwości było sprawą sądu.

W owej chwili okropna myśl nawiedziła Obieżyświata: któż, jeżeli nie on, był przyczyną całego nieszczęścia? Po cóż krył przed swoim panem wiadomą sobie tajemnicę? Czy nie należało wszystkiego powiedzieć, gdy tylko Fix wyjawiał, że jest Agentem policji i jakie zadanie mu powierzono? Pan Fogg, w porę uprzedzony, byłby dostarczył inspektorowi dowodów swej niewinności. Wyjaśniłby fatalne nieporozumienie. W każdym razie nie byłby woził na swój koszt i na swoje utrapienie tego nieszczęsnego Agenta, który, gdy tylko dotknął nogą ziemi Zjednoczonego Królestwa, w te pędy Aresztował własnego dobroczyńcę. Obieżyświat przypomniał sobie wszystkie błędy, wszystkie głupstwa, które popełnił, i zgnębiony oddał się strasznym wyrzutom sumienia. Aż przykro było patrzeć, gdy szlochał i załamywał ręce, to znów zrywał się, jakby chciał sobie głowę roztrzaskać o mur. On i pani Auda pozostali w przedsiönku urzędu celnego, mimo że zimno dawało im się srodze we znaki. Pragnęli choć raz jeszcze spojrzeć na pana Fogga.

Fileas Fogg był doszczętnie zrujnowany, dotknęło go to na chwilę przed osiągnięciem celu, gdy już wyciągał rękę po owoce swego wyścigu z czasem. Aresztowanie w tej chwili równało się dla niego miążdżącej kłęsce. Przybywszy 21 grudnia przed dwunastą do Liverpoolu, miał przed sobą do godziny ósmej czterdzieści pięć, kiedy to upływał termin stawienia się w klubie "Reforma", przeszło dziewięć godzin, gdy na podróż do Londynu wystarczało tylko sześć.

Ktoś, kto by zajrzał w tym czasie na posterunek straży celnej, gdzie przebywał pan Fileas Fogg, znalazłby tego pana siedzącego na drewnianej ławie z twarzą doskonale spokojną, bez śladów gniewu. Czyżby już ostatecznie zrezygnował? Trudno to powiedzieć. W każdym razie nieoczekiwany cios nie zdołał go wyprowadzić z równowagi, tak się przynajmniej wydawało. Czy jakowaś niezmożona siła zamieszkała w jego sercu? Któż to odgadnie! Oto widzimy go siedzącego na ławie spokojnego, czekającego... Ale na co? Czy zachował resztkę nadziei i czy wierzył w zwycięstwo teraz, gdy zamknęły się za nim bramy więzienia?

Jedno tylko można było naocznie stwierdzić: mianowicie pan Fogg umieścił na stole przed sobą otwarty zegarek i nie spuszczał oka z posuwających się wskazówek. Ani jedno słowo nie wyszło z jego ust, za to we wzroku dżentelmena czuło się szczególne napięcie. Trudno zaprzeczyć, że sytuacja była straszna i, wobec nieprzeniknionej postawy pana Fogga, można ją było streścić w ten sposób:

Albo człowiek uczciwy i poważny, Fileas Fogg "esquire", jest zrujnowany w sposób ostateczny, Albo człowiek nieuczciwy, przestępca - w osobie tegoż Fileasa Fogga - jest schwytyany i uwięziony.

Co teraz ten człowiek zamyśla? Czy rozważa szanse ucieczki? Czy szuka jakiegoś wyjścia, którym by się dało wymknąć z Aresztu? Tak by można sądzić, gdyż w pewnym momencie więzień wstał i obszedł dookoła pokój. Ale drzwi były solidnie zabezpieczone, a okno opatrzone żelazną kratą. Wówczas więzień wrócił na ławkę i wyciągnął z portfela plan swojej podróży. W rubryce, która była już częściowo wypełniona słowami: "21 grudnia sobota przyjazd do Liverpoolu", dopisał "osiemdziesiąty dzień podróży, godzina jedenasta minut czterdzieści rano".

Zegar na budynku urzędu celnego wybił godzinę pierwszą. Pan Fogg stwierdził, że jego zegarek spiesz się o dwie minuty. Wybiła godzina druga. Gdyby wsiadł teraz do pociągu pospiesznego, zdążyłby jeszcze przed ósmą czterdzieści pięć do klubu "Reforma". Czoło dżentelmena sfałdowało się nieznacznie...

O drugiej trzydzieści trzy za drzwiami dał się słyszeć hałas, ktoś otwierał drzwi. Równocześnie do uszu pana Fogga doszedł głos Obieżyświata, potem głos inspektora Fixa. Oczy więźnia zapłonęły na chwilę...

Drzwi się otwarły i do izby wpadli pani Auda, Obieżyświat i Fix. Inspektor ciężko dyszał, miał zwichrzone włosy. Nie mógł z siebie głosu wydobyć.

- Szanowny panie - wyjąkał wreszcie - ja... przepraszam... Przekłęte podobieństwo... Złodziej siedzi już od trzech dni. Pan jest wolny...

Fileas Fogg był więc wolny! Podszedł do Agenta, spojrzął mu prosto w oczy, zamachnął się - był to pierwszy i jedyny błyskawicznie szybki ruch, jaki wykonał w swoim życiu - i z precyzją Automatu obiema pięściami jednocześnie wymierzył panu Fixowi tęgi cios.

- Koronkowa robota! - krzyknął Obieżyświat i dodał: - Prawdziwie Angielski haft, jak pragnę zdrowia!

Fix, znalazłszy się na ziemi, nie zaprotestował Ani słowem. Otrzymał to, na co zasłużył. W tej chwili pan Fogg, pani Auda i Obieżyświat spieszenie opuścili budynek urzędu celnego. Wskoczyli do najbliższego powozu i po kilku minutach przybyli na dworzec liverpoolski. Fileas Fogg spytał, czy jakiś pociąg pospieszny odchodzi w kierunku Londynu. Była godzina druga czterdzieści... Pociąg odszedł trzydzieści pięć minut temu!

Wtedy pan Fogg zamówił pociąg specjalny. Na dworcu stało pod parą kilka szybkieżnych lokomotyw. Niestety, żadna nie mogła być uruchomiona bez załatwienia pewnych formalności, to znaczy przed godziną trzecią.

O trzeciej pan Fogg w towarzystwie pani Audy i wiernego sługi pędził w stronę Londynu. Przedtem powiedział maszyniście kilka ważkich słów na temat nagrody pieniężnej, która może się stać jego udziałem. W ciągu pięciu i pół godziny Fileas Fogg musiał dojechać do Londynu - rzecz możliwa do wykonania, jeżeli tory są cały czas wolne. Ale naturalnie tory nie zawsze były do dyspozycji dżentelmena i gdy ten wysiadał na dworcu londyńskim, wszystkie zegary miasta wskazywały godzinę ósmą pięćdziesiąt.

Fileas Fogg, dokonawszy nieprawdopodobnej podróży dookoła świata, przybył do celu z pięciominutowym opóźnieniem!

Przegrał zakład!

Rozdział trzydziesty piąty

w którym Obieżyświat nie każe sobie powtarzać dwa razy pewnego zlecenia

Nazajutrz mieszkańcy Saville Row byliby mocno zdziwieni, gdyby im ktoś powiedział, że pan Fogg wrócił do domu. Drzwi i okna pozostawały wciąż zamknięte. Na zewnątrz nie było widomego znaku, że właściciel mieszkania powrócił. Pan Fileas Fogg po przyjeździe z dworca kazał lokajowi kupić nieco produktów spożywczych i zamknął się w czterech ścianach swego domostwa.

Dżentelmen z właściwym sobie spokojem przyjął fatalny cios. Był zrujnowany, i to na skutek idiotycznej pomyłki tego niezdary inspektora policji! O ironio losu! Przebyć pewną stopą olbrzymie połacie globu ziemskiego, pokonać mnóstwo przeszkód, stawić czoło tysiącom niebezpieczeństw, po drodze znaleźć czas na piękne, wspaniałomyślne uczynki i na krok przed metą przegrać wyścig z powodu głupiego przypadku, którego nie był w stanie przewidzieć, któremu nie mógł zapobiec! Z wielkiej sumy pieniędzy, jaką zabrał w podróż, została nędzna resztką. Całym jego mieniem było teraz dwadzieścia tysięcy funtów złożonych u "Braci Baring", Ale należały one już do pięciu panów z klubu "Reforma". Gdyby pan Fogg wygrał zakład, pokryłoby to jedynie wielkie wydatki, które pochłonęła podróż. Zresztą prawdopodobnie nie miał zamiaru bogacić się w taki sposób, bo należał do ludzi zakładających się dla samej namiętności hazardu. Za to przegrawszy tę ryzykowną grę, był doszczętnie zrujnowany. Fileas Fogg wiedział, co mu pozostało do zrobienia i powziął już decyzję.

Jeden z pokoi domu został oddany do dyspozycji pani Audy. Piękna pani poddawała się rozpaczom bez granic. Z pewnych słów pana Fogga wywnioskowała, że jej dobroczyńca nosi się z tragicznym zamiarem.

Wiadomo przecież, że Anglicy, opanowani maniacką myślą, często posuwają się do ostateczności godnych pożałowania. Toteż Obieżyświat nieznacznie A pilnie śledził zachowanie się swego pana. Ale przedtem jeszcze, zaraz po przyjeździe, dzielny sługa pobiegł do swego pokoju i zamknął kurek gazu, który palił się od osiemdziesięciu dni. W skrzynce na listy znalazł rachunek gazowni i słusznie mniemał, że był już najwyższy czas położyć kres wydatkom, za które był całkowicie odpowiedzialny.

Tak przeszła noc.

Pan Fogg położył się do łóżka, Ale czy spał? Nie wiemy. Pani Auda nie mogła zmrużyć oka. Obieżyświat jak wierny pies czuwał całą noc u drzwi swego pana.

Z rana pan zawołał go i polecił zająć się śniadaniem pani Audy. Sam zadowolili się szklanką herbaty i jedną grzanką. Prosił, by pani Auda zechciała mu wybaczyć nieobecność przy śniadaniu i obiedzie, bo cały czas zamierzał poświęcić na uporządkowanie swych spraw. Prosił również młodą kobietę o chwilę rozmowy w godzinach wieczornych.

Obieżyświat przypomniał sobie ustalony rozkład swych zajęć i nie pozostawało mu nic innego, jak wziąć się do pracy. Ale gdy spojrział na pana Foggę, niewzruszonego jak zawsze, nie starczyło mu sił, aby wyjść z pokoju. Serce poczciwca wezbrało żalem, dręczyły go ciężkie wyrzuty sumienia - całą winę za katastrofalny obrót sprawy przypisywał swojej lekkomyślności. Tak! Nie miał co do tego wątpliwości. Gdyby był uprzedził pana Foggę, gdyby odsłonił piekielne knowania Fixa, pan Fogg pozbyłby się Agenta gdzieś po drodze, a wówczas...

Obieżyświat nie mógł już wytrzymać i zawołał:

- Jaśnie panie! Jaśnie panie! Przekleństwo na moją głowę. To wszystko moja wina, to ja...

- Nie jest to niczyja wina - przerwał pan Fileas. - Możesz odejść.

Obieżyświat wyszedł z pokoju i powlókł się do pani Audy, aby pomówić z nią o swoim panu.

- Ja tu nic nie poradzę - mówił. - Nie mam żadnego wpływu na jaśnie pana. Za to gdyby pani...

- A cóż ja mogę? - odpowiedziała młoda wdowa. - Niestety pan Fogg nie ulega żadnym wpływom. Czyż zwrócił kiedy uwagę na to, jak gorąca jest moja wdzięczność do niego? Czy zechciał choć raz zajrzeć w moje serce? Drogi przyjacielu, Ani na chwilę nie można spuścić go z oczu. Mówiłeś mi, że chce się widzieć ze mną tego wieczora?

- Tak, proszę pani. Zapewne chodzi mu o zabezpieczenie pani losu w Anglii.

- Zaczekamy do wieczora - odrzekła w zamyśleniu pani Auda.

Przez cały ten dzień niedzielny nie zauważyłbyś w domu przy Saville Row najmniejszego ruchu, można było sądzić, że nie ma w nim żywej duszy. Po raz pierwszy od czasu gdy tu zamieszkał, Fileas Fogg nie udał się do swego klubu z wybicciem na wieży Parlamentu godziny jedenastej minut trzydzięści. Bo i w jakim celu miałby tam iść? Koledzy go nie oczekiwali. Poprzedniego dnia wieczorem, owego fatalnego dnia, 21 grudnia o godzinie ósmej czterdzieści pięć, nie stawił się w salonie klubu "Reforma" i przegrał zakład. Pan Fogg nie potrzebował się nawet udawać do swego bankiera, aby podjąć przegrane dwadzieścia tysięcy funtów. Przeciwnicy mieli w rękę podpisany przez niego

czek i wystarczyło napisać słowo do "Braci Baring", żeby suma, o którą chodziło, została przelana na ich konto.

Pan Fogg nie miał tedy po co wychodzić z domu i nie wychodził. Pozostał w swoim pokoju i porządkował papiery. Przez cały czas Obieżyświat krążył po schodach między jednym piętrem a drugim. Biedak miał wrażenie, że godziny przestały płynąć. Podśluchiwał pod drzwiami swego pana, czując, że ma do tego prawo. Podglądał przez dziurkę od klucza, wiedząc, że nie popełnia niedyskrecji. W każdej chwili oczekiwał katastrofy. Często przychodził mu na myśl inspektor Fix, jednak nie żywił już gniewu do tego człowieka. Fix pomylił się co do pana Fogga, tak jak i inni się pomylili. A idąc po jego tropie i potem Aresztując go spełniał w swoim mniemaniu zwykły obowiązek detektywa. Podczas gdy on, Obieżyświat... ugiął się pod ciężarem swoich myśli i uważał siebie za ostatniego nędznika. A gdy nie mógł znieść już samotności, pukał do drzwi pani Audy, wsuwał się do jej pokoju, siadał bez słowa w kącie i wpatrywał się w zamyśloną kobietę.

Około wpół do ósmej wieczorem pan Fogg kazał zapytać młodą panią, czy może go przyjąć, w kilka chwil potem znaleźli się w jej pokoju sam na sam. Fileas Fogg wziął krzesło, postawił je koło kominka i usiadł naprzeciw pani Audy. Twarz jego nie zdradzała wzruszenia. Fogg, który wrócił z podróży, był jota w jotę podobny do Fogga, który kiedyś w tę podróż wyruszał. Ten sam spokój, to samo opanowanie. Przez pięć minut siedział nic nie mówiąc. Potem podniósł oczy na panią Audę.

- Czy zechce mi pani kiedykolwiek wybaczyć, że przywiozłem panią do Anglii?

- Czy zechcę, proszę pana? - odpowiedziała cicho młoda kobieta usiłując opanować gwałtowne bicie serca.

- Proszę, niech pani pozwoli mi skończyć. Gdy powziąłem swego czasu myśl wywiezienia pani ze stron tak dla pani niebezpiecznych, byłem wówczas bogaty i zamierzałem część swego majątku oddać do pani dyspozycji. Życie pani byłoby wolne i szczęśliwe. Ale teraz nie mam już majątku.

- Wiem o tym - odpowiedziała Hinduska - i z kolei ja zapytam, czy przebaczy mi pan kiedykolwiek, że jechałam za panem i, być może, opóźniając podróż byłam przyczyną pana ruiny?

- Pani nie mogła pozostać w Indiach. Ocalenie pani zależało od tego, czy pani opuści ten kraj. Inaczej schwytałaby panią ta banda fanatyków.

- Więc pan nie tylko wyrwał mnie z rąk oprawców - mówiła wdowa - pan zamierzał jeszcze zabezpieczyć mój byt w Anglii!

- Tak, proszę pani. Niestety, wypadki stanęły w poprzek moim zamiarom. Zostało mi niewiele z całego mienia, Ale proszę, by tę resztę zechciała pani uważać za swoją.

- A pan, drogi panie, co z panem będzie?

- Ze mną... - rzekł zimno dżentelmen. - Mnie nic nie trzeba.

- Jakże więc wyobraża pan sobie przyszłość?

- Tak jak powinienem.

- Bądź co bądź - ciągnęła pani Auda - nędza nie może pana dotknąć. Pańscy przyjaciele...

- Nie mam przyjaciół...

- Pańscy krewni...

- Nie mam krewnych...

- Jakże mi pana żal, drogi przyjacielu! Samotność jest rzeczą straszną! Jak to, Ani jednego serca, któremu mógłby pan zwierzyć swe troski? Ludzie mówią, że we dwoje łatwiej znosi się przeciwności losu i że wówczas nawet nędza nie jest groźna.

- Tak mówią, proszę pani.

Pani Auda wstała i wyciągnęła rękę do dżentelmena.

- Drogi panie, czy zechce pan mieć we mnie oddaną przyjaciółkę i krewną w jednej osobie? Czy zechce mnie pan za żonę?

Na te słowa pan Fogg podniósł się z krzesła. W oczach jego pojawił się niezwykajny blask, po wargach przebiegło coś jakby drżenie. Młoda kobieta wpatrywała się w jego twarz. Szczerłość, uczciwość, prostota i słodycz spojrzenia tej szlachetnej pani, gotowej na wszystko, byle ocalić człowieka, któremu tyle zawdzięczała, najpierw zdumiały pana Fogg, A potem poruszyły do głębi. Na chwilę zamknął oczy, jakby obawiając się, że to spojrzenie przeniknie go jeszcze głębiej... Po chwili otworzył je i rzekł z prostotą:

- Kocham panią. Tak jest, kocham panią ponad wszystko na świecie i duszą całą należę do pani.

- Ach... - szepnęła pani Auda przyciskając rękę do serca.

Zadzwoniono na Obieżyświata. Gdy się zjawił, pan Fogg trzymał jeszcze w swojej dłoni rękę pani Audy. Obieżyświat pojął wszystko i jego puciołowata twarz zaświeciła jak słońce stojące w zenicie nad równikiem. Pan Fogg spytał, czy nie byłoby zbyt późno uprzedzić wielebnego Samuela Wilsona, proboszcza z parafii St. Mary.

Obieżyświat odpowiedział uśmiechem od ucha do ucha.

- Nigdy nie jest zbyt późno! - rzekł.

- A więc jutro, w poniedziałek? - powiedział pan Fogg patrząc pytająco na młodą panią. Ta powtórzyła jak echo:

- Jutro, w poniedziałek.

Obieżyświat pędem wybiegł z pokoju.

Rozdział trzydziesty szósty

w którym Akcje "Fogg" znowu idą w górę

Czas już powiedzieć, jaki zwrot zaszedł w opinii publicznej na wiadomość o zatrzymaniu prawdziwego złodzieja pieniędzy Banku Angielskiego - niejakiego Jakuba Stranda, którego Aresztowano 17 grudnia w Edynburgu. Jeszcze trzy dni temu pan Fogg był w oczach wszystkich przestępcą zaciekle ściganym przez policję, A teraz stał się oto znowu najczcigodniejszym z dżentelmenów, który z matematyczną ścisłością kończył swą dziwną podróż dookoła świata.

Co za wrażenie, co za krzyk w całej prasie! - Wszyscy, którzy porobili ongiś zakłady "za" czy "przeciw", A zapomnieli już o tym na śmierć, zbudzili się do życia, jakby pod działaniem czarów. Wszystkie dokonane poprzednio operacje odzyskały swą wartość. Przypomniano sobie o zaryzykowanych stawkach i nowe zakłady zaczęły się mnożyć z większą jeszcze siłą. Akcje "Fileas Fogg" zwykowały wyraźnie.

Pięciu partnerów pana Fogg'a z klubu "Reforma" spędziło te trzy dni w niezwykłym podnieceniu. Ten Fogg, o którym już zdążyli zapomnieć, znowu stanął im przed oczyma. Gdzie on się teraz podziewa? 17 grudnia, to znaczy w dniu Aresztowania Jakuba Stranda, minęło siedemdziesiąt sześć dni od chwili wyjazdu pana Fogg'a i dotychczas nie było od niego wiadomości. Czyżby ustąpił przed trudnościami? Czy zaniechał dalszej walki, czy też posuwał się po swym szlaku według ustalonego planu? Czy w sobotę 21 grudnia o godzinie ósmej czterdzieści pięć człowiek ten, niby bóg punktualności, rzeczywiście pojawi się na progu klubowego salonu?

Darmo kusić się o odmalowanie niepokoju, który na przeciąg trzech dni zapanował w sferach towarzyskich Londynu. Słano depesze do Azji i Ameryki, żeby zasięgnąć jakichś wiadomości o panu Fogg'u. Od rana do wieczora obserwowano dom na Saville Row, lecz nie zauważono nic. Policja ze swej strony nie wiedziała, gdzie się obraca detektyw Fix, który tak niefortunnie rzucił się na fałszywy trop. Wszystko to nie przeszkodziło nowej fali wielkich zakładów. Fileas Fogg, niby koń wyścigowy, dobiegał do ostatniego zakrętu... Akcji jego nie notowano już w pakietach po sto, Ale po dwadzieścia, po dziesięć, A nawet po pięć sztuk, stary zaś, sparaliżowany lord Albermale nabywał je pojedynczo. W sobotę wieczorem na Pall-Mall i sąsiednich ulicach zebrał się tłum, rzekłbyś, wielka Armia maklerów giełdowych, stacjonująca w pobliżu klubu "Reforma" i tamująca ruch uliczny. Dyskutowano, starano się wzajem przekrzyczeć w podbijaniu ceny "Fileasa Fogg'a", tak jakby chodziło o wartościowe papiery państwowe. Policjanci z trudem radzili sobie z tą

ciżbą. W miarę jak zbliżała się godzina, o której miał przybyć pan Fogg, rozgorączkowanie tłumu przybrało nieprawdopodobne rozmiary.

W głównym salonie klubu pięciu partnerów naszego dżentelmena oczekiwało tej wielkiej chwili już od dziewiątej rano. Bankierzy John Sullivan i Samuel Fallentin, inżynier Andrew Stuart, dyrektor Banku Angielskiego Gauthier Ralph i piwowar Thomas Flanagan - wszyscy siedzieli jak na szpilkach.

Gdy ścienny zegar w salonie wskazał godzinę ósmą dwadzieścia pięć, Andrew Stuart wstał i rzekł:

- Za dwadzieścia minut, proszę panów, minie termin umówiony między nami a panem Foggiem.

- O której przyszedł ostatni pociąg z Liverpoolu? - zapytał Thomas Flanagan.

- O siódmej dwadzieścia trzy - odparł Gauthier Ralph - A następny przychodzi dopiero dziesięć minut po północy.

Wobec tego zabrał znów głos Andrew Stuart:

- Gdyby Fileas Fogg przybył pociągiem o siódmej dwadzieścia trzy, byłby już tutaj. Możemy więc uważać, że zakład jest wygrany.

- Czekajmy, nie mówmy jeszcze "hop" - rzekł Samuel Fallentin. - Wszyscy wiemy, że nasz przeciwnik jest dziwakiem pierwszej wody. Jego pedanteria jest przecież ogólnie znana. Ten człowiek nigdy nie pojawia się ani za późno, ani za wcześnie i wcale bym się nie zdziwił, gdyby tu przybył w ostatniej sekundzie.

- Co do mnie, prędzej uwierzę w zjawienie się ducha niż Fogg'a - rzekł nerwowo, jak zwykle, Stuart.

- Zgadza się - mówił dalej Fallentin - że zamiar Fogg'a był wyzuty z wszelkiego rozsądku. Choćby dokazywał cudów dokładności, zawsze znajdą się na drodze jakieś niespodziewane przeszkody; niech się spóźni choćby o dzień czy dwa, a już zakład przegrywa.

- Zważcie również, panowie - wtrącił John Sullivan - że przez cały czas nie dostaliśmy od niego znaku życia, a przecież drutów telegraficznych na jego drodze nie brakło.

- Przegrał! - wykrzyknął Andrew Stuart. - Nie ma o czym mówić, przegrał! Wiecie zresztą, panowie, że "Chiny", jedyny parowiec, którym Fogg mógł dostać się w odpowiednim czasie z Nowego Jorku do Liverpoolu, przybył tam wczoraj.

A oto macie listę pasażerów ogłoszoną przez "Shipping Gazette". Nazwiska Fogg'a nie ma ani śladu. W najlepszym wypadku, przy najbardziej sprzyjających okolicznościach,

mógł zaledwie dotrzeć do Ameryki! Ręczę panom, że spóźni się nie mniej niż o dwadzieścia dni! A nasz staruszek lord Albermale będzie musiał, biedaczysko, pożegnać na wieki swoje pięć tysięcy funtów.

- To jasne - zgodził się Gauthier Ralph. - Cóż, jutro rano będziemy musieli okazać wiadomy czek w kasie "Braci Baring".

Zegar wskazywał godzinę ósmą czterdzieści.

- Jeszcze pięć minut - rzekł Andrew Stuart.

Pięciu panów spojrzęło po sobie. Należy sądzić, że ich serca zaczęły uderzać w tempie nieco szybszym. Nawet dla tak wytrawnych graczy partia była poważna. Nie chcieli się jednak z niczym zdradzić i, na propozycję Samuela Fallentina, zasiedli do kart.

- Nie oddałbym już moich czterech tysięcy funtów udziału, nawet gdyby mi ofiarowano natychmiast trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć - powiedział Andrew Stuart siadając przy stoliku.

W tym momencie zegar wskazywał godzinę ósmą czterdzieści dwie minuty. Gracze wzięli karty do ręki, jednak oczy ich nie były w stanie oderwać się od tarczy zegara. Trzeba przyznać, że mimo całej ich pewności siebie, nigdy czas zawarty w minucie nie wydawał się tym panom równie długi, jak teraz.

- Ósma czterdzieści trzy! - rzekł Thomas Flanagan przekładając talię kart, którą mu podsunął Gauthier Ralph.

Na chwilę zapadło milczenie. W dużym salonie panowała cisza. Za to za oknami słyhać było nieustanną wrzawę tłumu, z której wybijały się czasem ostre krzyki. Wahadło zegara poruszało się rytmicznie, sekundy mijały. Gracze mogliby zliczyć poszczególne tyknięcia, które ze spotęgowaną mocą rozlegały się w ich uszach.

- Ósma czterdzieści cztery! - rzekł Thomas Flanagan przekładając ponownie talię kart, którą mu podsunął Gauthier Ralph.

Trochę więcej niż minuta i zakład będzie wygrany! Andrew Stuart i jego partnerzy już nie grali w karty! Złożyli je na stole. Wszyscy liczyli sekundy.

W czterdziestej sekundzie wciąż nic. W pięćdziesiątej - nic. W pięćdziesiątej piątej usłyszano na zewnątrz jakby grzmot, potem huragan oklasków, wiwaty, A także złożeńca, które zamieniały się w nieprzerwany hałas. Gracze powstali.

W pięćdziesiątej siódmej sekundzie otworzyły się drzwi i zanim wahadło oznaczyło sześćdziesiątą sekundę, do salonu wkroczył pan Fileas Fogg otoczony szalejącym z entuzjazmu tłumem.

- Oto jestem, panowie - powiedział spokojnie.

Rozdział trzydziesty siódmy

w którym udowodniono, że Fileas Fogg nic nie wygrał dokonawszy tej wspaniałej podróży co najwyżej swoje osobiste szczęście

Tak, to był Fileas Fogg we własnej osobie. Pamiętamy, że o ósmej minut pięć wieczorem, A więc w dwadzieścia pięć godzin po przybyciu podróżnych do Londynu - Obieżyświatowi polecono uprzedzić wielebnego Samuela Wilsona o ślubie mającym odbyć się następnego dnia.

Obieżyświat pobiegł uradowany i szczęśliwy. Wkrótce znalazł się w mieszkaniu wielebnego Samuela Wilsona, Ale ten jeszcze nie wrócił. Lokaj musiał czekać dobre dwadzieścia minut.

Dobiegła ósma trzydzieści pięć, gdy opuścił dom duchownego. Ale w jakimże niezwykłym stanie stamtąd wybiegł.

Bez czapki, z włosami w nieładzie, sadył olbrzymimi susami, jakby go ktoś ścigał, przewracając po drodze przechodniów, niby trąba powietrzna siejąca zniszczenie na chodnikach. Po trzech minutach był już na Saville Row i wpadł bez tchu do pokoju pana Fogg. Nie mógł mówić.

- Co się stało? - spytał go Fileas.

- Jaśnie panie - bełkotał Obieżyświat - ślub... niemożliwy.

- Niemożliwy?

- Niemożliwy... jutro!

- Dlaczego?

- Bo jutro niedziela!

- Jutro poniedziałek - powiedział pan Fogg.

- Nie... bo dziś jest sobota!

- Sobota? Wykluczone!

- Tak, tak, jaśnie panie, właśnie, że tak! Pan się pomylił o jeden dzień! Przyjechaliśmy o całą dobę wcześniej, niż było trzeba... mamy już tylko dziesięć minut...

To mówiąc Obieżyświat uchwycił swego chlebodawcę za kołnierz i jak orkan uniósł go za sobą. Porwany w ten sposób pan Fogg, zanim zdążył pomyśleć, już był na ulicy i wskakiwał do przejeżdżającej dorożki. Obiecał sto funtów woźnicy, przejechał po drodze dwa psy, zderzył się z pięcioma wozami i dotarł do klubu "Reforma".

Zegar wskazywał ósmą czterdzieści pięć, kiedy dżentelmen wchodził do salonu...

Fileas Fogg objechał świat dookoła w ciągu osiemdziesięciu dni! Fileas Fogg wygrał dwadzieścia tysięcy funtów zakładu.

Ale jakże się to stało, że człowiek tak dokładny, tak drobiazgowy mógł się pomylić w rachubie czasu o całą dobę? Dlaczego sądził, że przybywa do Londynu w sobotę wieczór, 21 grudnia, gdy w rzeczywistości był to dopiero piątek, 20 grudnia, czyli siedemdziesiąty dziewiąty dzień podróży?

Zaraz wyjaśnimy przyczynę tej omyłki. Przyczynę zresztą wcale prostą.

Fileas Fogg zyskał mimo woli w swej podróży cały dzień, bo okrążył kulę ziemską jadąc na wschód; gdyby posuwał się w kierunku odwrotnym - to znaczy na zachód - byłby cały dzień równie "mimo woli" utracił.

Jadąc na wschód szedł słońcu naprzeciw, z czego wynika, że z każdym przebytym stopniem geograficznym doba stawała się krótsza o cztery minuty. Otóż obwód ziemi wynosi 360), jeżeli więc pomnożymy owe cztery minuty przez trzysta sześćdziesiąt - otrzymamy Akurat dwadzieścia cztery godziny, czyli dobę, bezwiednie nadrobioną przez pana Fogg'a. Innymi słowy, podczas gdy Fileas Fogg, posuwając się na wschód, oglądał słońce w zenicie osiemdziesiąt razy, jego koledzy klubowi w Londynie widzieli je tylko siedemdziesiąt dziewięć razy. Oto dlaczego w dniu dzisiejszym, który był sobotą, a nie niedzielą, jak mniemał Fileas Fogg, panowie ci czekali na niego w salonie klubu "Reforma". Dodajmy, że zjawisko to stwierdziłby również sławetny zegarek Obieżyświata, który uparcie, jak wiadomo, przestrzegał godziny londyńskiej, gdyby miał właściwość wskazywania dni, tak jak wskazywał godziny i minuty.

Pan Fileas Fogg wygrał więc dwadzieścia tysięcy funtów, Ale zważywszy, że po drodze wydał około dziewiętnastu tysięcy, musiał uznać, że rezultat finansowy tej podróży był całkiem nikły. Jednak nasz niezwykły dżentelmen nie szukał, jak się już rzekło, wygranej, Ale walki. Nawet pozostałe tysiąc funtów rozdzielił między wiernego Obieżyświata i nieszczęsnego Fixa, do którego bynajmniej nie chował urazy. Natomiast dla zasady odtrącił swemu lokajowi sumę zapłaconą za gaz palący się z jego winy przez tysiąc dziewięćset dwadzieścia godzin.

Jeszcze tego samego wieczora pan Fogg, jak zawsze chłodny i niewzruszony, mówił do pani Audy:

- Czy trwa pani w zamiarze poślubienia mnie?

- Proszę pana - odparła młoda dama - to raczej ja powinnam o to zapytać. Był pan zrujnowany, teraz jest pan bogaty...

- Proszę wybaczyć, Ale ten majątek należy do pani. Gdyby nie przyszło pani na myśl ofiarować mi sejr ręki, mój służący nie poszedłby do wielebnego Samuela Wilsona i nigdy bym się nie dowiedział o swej pomyłce, A wówczas...

- Drogi panie... - szepnęła piękna Hinduska.

- Droga Audo... - odparł Fileas Fogg.

Nie trzeba dodawać, że ślub odbył się w dwa dni potem, A wspaniały, strojny, promieniejący radością Obieżyświat był świadkiem młodej pary. Czyż był ktoś godniejszy tego zaszczytu niż on, który uratował życie pani Audy?

Ale nazajutrz o świcie lokaj zastukał gwałtownie do drzwi swego pana. Drzwi otworzyły się i stanął w nich pan Fogg.

- Co się stało, Janie?

- Niestety, jaśnie panie. Oto dowiedziałem się przed chwilą...

- Cóż znowu?

- Że mogliśmy zrobić podróż dookoła świata w siedemdziesiąt osiem dni, A nie w osiemdziesiąt...

- Owszem - odparł pan Fogg - mogliśmy tego dokonać nie przejeżdżając przez Indie. Ale gdybym ominął Indie, nie uratowałbym pani Audy i nie zostałaby ona moją żoną, i...

I pan Fileas zamknął spokojnie drzwi.

Tak więc Fileas Fogg wygrał zakład, odbył podróż dookoła świata w ciągu osiemdziesięciu dni. W tym celu użył wszystkich istniejących środków lokomocji: płynął parowcami, jechał koleją, powozem i saniami, żeglował jachtem, dosiadał słońca... W tym przedsięwzięciu wykazał całą swoją zimną krew i niezwykle zalety umysłu. Ale cóż dalej? Jaką z tej imprezy wyniósł korzyść? Co zyskał?

- Nic - odpowiedzie zapewne. Zgoda, nic prócz uroczej kobiety, która uczyniła go - jakkolwiek wyda się to może nieprawdopodobne - najszczęśliwszym z ludzi. Zaiste, czyż dlatego nie warto udać się w podróż dookoła świata?